ROZMOWA „DO RZECZY”

Minister Przemysław Czarnek o walce z patologiami w edukacji

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 28/535 10–16 LIPCA 2023

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Ludobójstwo na Wołyniu w polskiej literaturze

WOJCIECH CEJROWSKI RADZI FRANCUZOM, JAK ODZYSKAĆ FRANCJĘ

Piotr Jacoń poucza – czyli co ma być normalne w nienormalnym świecie

DYNASTIA SOROSÓW

George przekazuje władzę nad swym imperium synowi Alexandrowi

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

9 772299 850000 28 >

Nakład: 52 000 egzemplarzy

eprasa.pl 04f299c0b7

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

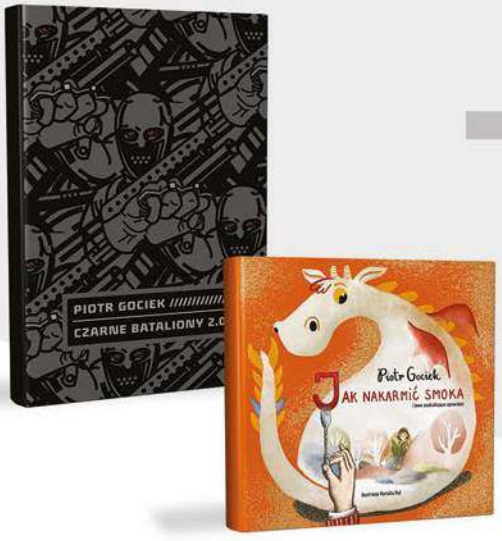

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

PIOTR GOCIEK:
„CZARNE BATALIONY 2.0"
i „JAK NAKARMIĆ SMOKA"
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~983~~ZŁ

345,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 638ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 04f299c0b7

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Niechciany głos Antygony

Wszystko wskazuje na to, że 80. rocznica krwawej niedzieli na Wołyniu zakończy się kompromitacją. To znaczy nie zakończy się ani, jak można by oczekiwać, jasną i jednoznaczną decyzją Kijowa zezwalająca na ekshumację zwłok Polaków pomordowanych na Wołyniu wskutek działań Ukraińców podczas drugiej wojny światowej, ani też żadnym poważnym gestem ze strony polityków z Kijowa, potępiającym i odcinającym się od kultu zbrodniarzy. Do tej grupy należy zaliczyć tak Stepana Banderę, jak innych ideologów i przywódców radykalnego skrzydła ukraińskich nacjonalistów. Gorzej, że również nie wiadomo, jaka będzie ranga uroczystości w Polsce. Być może się mylę, być może nastąpi cud, ale na razie trzeba być realistą, nie ma oznak przebudzenia.

Przeciwnie. O tym, co nas czeka, najlepiej zdaje się świadczyć dziwna wymiana zdań między prezydentem Andrzejem Dudą a księdzem Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim, kapelanem rodzin wołyńskich. W wywiadzie sprzed kilku dnia dla Radia Zet prezydent powiedział: „Wolałbym, żeby ks. Isakowicz-Zaleski nie zajmował się polityką, tylko tym, czym powinien zajmować się ksiądz". To słowa Andrzeja Dudy, odnoszące się do dyskusji na temat uczczenia ofiar zbrodni wołyńskiej. Cóż, trudno o bardziej nieszczęśliwy dobór słów. Można się z ks. Isakowiczem-Zaleskim zgadzać bądź nie, ale twierdzenie, że księża nie powinni się wtrącać do polityki w ustach prezydenta, który do tej pory starał się pokazywać wrażliwość katolicką, brzmią wielce nie na miejscu. Jako żywo przypominają bowiem słowa całkiem innych polityków z nieodległej przeszłości, kiedy to Polska państwem suwerennym nie była. Wątek niemieszania się księży do polityki to stały element propagandy PRL. Zresztą jaką to niby polityką zajmuje się ks. Isakowicz-Zaleski? Kogo wspiera? Gdzie startuje? Tak troska o godny pochówek ofiar, jak sprzeciw wobec kultu zbrodniarzy dokładnie mieszczą się w zakresie obowiązków księdza. Ba, szkoda, że podobnych do ks. Isakowicza-Zaleskiego jest tak niewielu.

Gorsza była, jeśli to możliwe, druga część wypowiedzi głowy państwa. „My prowadzimy spokojną politykę, a nie politykę biegania z widłami, politykę spokojnego szukania porozumienia w sprawach trudnych historycznie, które liczą sobie wiele dziesięcioleci, są bardzo skomplikowane, niezwykle bolesne dla istotnej grupy naszych rodaków" – tak Andrzej Duda wyjaśniał problem ekshumacji ofiar zbrodni wołyńskiej i upamiętnienia zabitych.

Doprawdy, aż trudno w to uwierzyć. Zarzucenie, w domyśle, że ksiądz „biega z widłami", od razu rodzi skojarzenie z jedną z najczęstszych i najbardziej morderczych form mordowania Polaków przez Ukraińców na Wołyniu. Jak ktoś może się posługiwać takim językiem wobec kapelana rodzin wołyńskich? Ksiądz Isakowicz-Zaleski występuje od lat konsekwentnie w roli swego rodzaju sumienia narodowego albo, bardziej patetycznie, stał się polskim głosem Antygony. Besztanie go, pohukiwanie na niego, objawy lekceważenia to przejaw, przykro to powiedzieć, arogancji i braku roztropności. Autentyczni księża są od tego, żeby nie pasować do pragmatycznej gry władzy, taka jest ich najważniejsza rola.

Niechęci polityków partii rządzącej do mocnego postawienia kwestii pamięci wołyńskiej nie tłumaczą, tak często przywoływane, szczególne okoliczności, w jakich znalazła się dziś, wskutek agresji Rosji, Ukraina. Nie rozumiem tego argumentu. Czy zagrożenie rosyjskie nie powinno właśnie skłaniać obecne elity ukraińskie do przewartościowania swojego stosunku do mrocznej przeszłości OUN? Czy ktoś, kto mówi tyle o zbrodniach rosyjskich, nie byłby bardziej wiarygodny, gdyby był w stanie potępić zbrodnie UPA? Skąd ta niemożność jasnego stanowiska w tak oczywistej sprawie jak ludobójstwo na Polakach? Skąd ta ciągła próba relatywizowania, rozmywania i symetryzowania win? Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to to, że zarzuty o odrodzenie się ukraińskiego nacjonalizmu są prawdziwe.

Polscy politycy, razem z prezydentem, twierdzą, że kwestia Wołynia jest podsycana przez Moskwę. Ale gdyby Kijów zrobił to, co do niego należy, a Polska potrafiła upomnieć się o pamięć o własnych ofiarach, Moskwa nie miałaby czego podsycać.

Polscy politycy mówią też, że kwestia pamięci nie może być przedmiotem, jak to nazywają, polityki transakcyjnej. Nie wolno domagać się od Kijowa zmiany podejścia do przeszłości i łączyć tego z pomocą finansową i militarną dla Ukrainy – słyszę. Rozumiem, że mam przyjąć inną transakcję: w zamian odłożenie sprawy godnego uczczenia pomordowanych ad Kalendas Graecas zyskujemy większą skuteczność wojska ukraińskiego w walce z Rosją. Jakoś nie mogę dostrzec słuszności tego dealu. Nie słyszałem o żadnym poważnym narodzie, który godziłby się relatywizować zbrodnie na swoich obywatelach, a tym jest brak protestów wobec kultu sprawców, w zamian za jakieś pragmatyczne, bieżące, zresztą wielce nieokreślone, korzyści. Nikt na tym nigdy dobrze nie wyszedł. ©℗

eprasa.pl 04f299c0b7

TEMAT TYGODNIA

14 WOJCIECH GOLONKA
TERAZ ALEXANDER SOROS
Rodzina, która chce nam meblować świat

KRAJ

18 ROZMOWA Z PRZEMYSŁAWEM CZARNKIEM
CHCEMY OGRANICZYĆ OBCHODZENIE OBOWIĄZKU SZKOLNEGO
Polska szkoła się zmienia

21 PIOTR SEMKA
AMBITNY PAN WEBER

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
TANIEC TUSKA

26 ŁUKASZ WARZECHA
SAMORZĄDOWA ŚCIEMA

30 ZUZANNA DĄBROWSKA
ŚWIAT NA OPAK

KULTURA

32 KRZYSZTOF MASŁOŃ
SŁOWA W KRWI SKĄPANE
Rzeź wołyńska w literaturze

37 PIOTR GOCIEK
PLAN NA ŚMIERĆ

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 MACIEJ PIECZYŃSKI
ZROZUMIEĆ „IMPERIUM ZŁA"
Wojna cywilizacji

49 LECH MAŻEWSKI
OBAWIAĆ POWINNIŚMY SIĘ NIEMCÓW

52 PAWEŁ CHMIELEWSKI
FRANCISZEK, PAPIEŻ DYKTATOR?

54 TOMASZ ROWIŃSKI
PREFEKT CZY SŁUGA REWOLUCJI?

HISTORIA

56 ROZMOWA Z ANDRZEJEM S. POŁOSAKIEM
GAZELA, OSA I JUNAK
Kto zniszczył polski przemysł motocyklowy

ŚWIAT

60 OLIVIER BAULT
OSTATNIE OSTRZEŻENIE PRZED WOJNĄ DOMOWĄ?
Po zamieszkach we Francji

63 ROZMOWA Z PATRYKIEM JAKIM
KRACH OTWARTEGO SPOŁECZEŃSTWA

66 PIOTR WŁOCZYK
GDZIE JEST EMANUELA?

EKONOMIA

70 JACEK PRZYBYLSKI
POJEDYNEK MILIARDERÓW
Elon Musk kontra Mark Zuckerberg

„DO RZECZY" NA WAKACJE

74 RADOSŁAW WOJTAS
WSZĘDZIE WIERNI
Polskie ślady na świecie

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (59), PRZYBYLSKI (68), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 04f299c0b7

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Brukselа)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło.**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **F. Coffrini/AFP/East News, B. Raglin/Getty Images**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKA WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„A znaczków żal", Piotr Semka, „DRz" nr 26/2023

Szanowny Panie Piotrze,
jako przedstawiciela jeszcze młodego pokolenia bardzo zainteresował mnie Pański felieton o znaczkach pocztowych. Spieszę z wyjaśnieniami, iż w Krakowie sklep filatelistyczny znajduje się przy placu Szczepańskim, tj. w niedalekim sąsiedztwie Rynku. Stała reprezentacja „branży", w postaci dojrzałych panów z siwymi włosami, nadaje temu miejscu klimat raczej senny. Nie na tyle jednak,

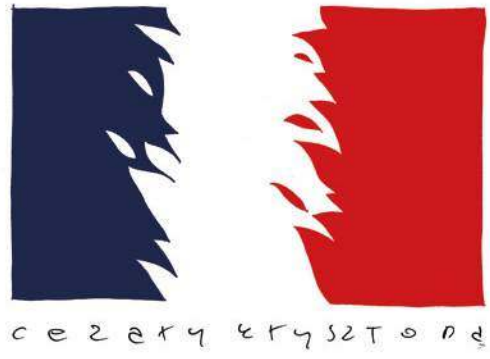

żeby przy temacie znaczków można było zupełnie zasnąć. Co czwartki, przy ul. Zyblikiewicza 1, w budynku Klubu 6. Brygady Powietrznodesantowej, odbywają się spotkania filatelistyczne. Jako że raz w życiu miałem okazję w takowym uczestniczyć, mogę zapewnić, że filatelistyka żyje.

Może ludzi, którzy się nią zajmują, nie ma już zbyt wielu i są oni starsi wiekiem, ale na pewno nie brak im niezaspokojonej ciekawości, a znaczki są jedynie pretekstem do spotkania i snucia pasjonujących historii. O pierwszej kolekcji, zdobytej w wyniku wojennej zawieruchy, czy odkupowaniu oryginalnych strojów ludowych od starej Hucułki. Ot, takie filatelistyczne gawędziarstwo.

Z pozdrowieniami
Maciej Filipek

Sprostowanie dotyczące rozmowy z ks. Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim „Prezydenci Duda i Zełenski grają na czas", „DRz" nr 27/2023

Kancelaria Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej informuje, że Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej objął Patronatem Honorowym następujące wydarzenia:

1. obchody 80. rocznicy tzw. Krwawej Niedzieli na Wołyniu, które odbędą się w dniach 8–9 lipca 2023 roku w Chełmie – na wniosek Pana Jakuba Banaszka – Prezydenta Miasta Chełm;

2. obchody 80. rocznicy tzw. Krwawej Niedzieli na Wołyniu, które odbędą się w dniu 11 lipca 2023 roku – na wniosek Pana Jana Józefa Kasprzyka – Szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych (współorganizatorami obchodów są: Instytut Pamięci Narodowej, Urząd Dzielnicy Żoliborz m.st. Warszawy, Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej Okręg Wołyń, Stowarzyszenie Upamiętnienia Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów);

3. uroczystość odsłonięcia Pomnika Ofiar Zbrodni Wołyńskiej, która odbędzie się w dniu 30 września 2023 roku w Zielonej Górze – na wniosek Pani Małgorzaty Gośniowskiej-Koli – Prezesa Zarządu Stowarzyszenia „Huta Pieniacka" we Wschowie.

Informacja o inicjatywach, nad którymi patronat objął Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej RP, jest dostępna publicznie na stronie internetowej: https://www.prezydent.pl/aktualnosci/patronaty-prezydenta-rp/patronat-honorowy/przyznane-patronaty.

Diana Głownia
Dyrektor Biura Prasowego
w Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej

Od redakcji

Za tydzień opublikujemy dpowiedź ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego.

eprasa.pl 04f299c0b7

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Wnuki enkawudzistów osądzą akowców

Reżim Aleksandra Łukaszenki przeforsowuje nowe przepisy prawne. Umożliwią one rozpoczęcie procesów dowódców i żołnierzy Armii Krajowej działających na Białorusi w czasie drugiej wojny światowej. Nikt z wyższych dowódców już nie żyje, a najmłodsi partyzanci mają blisko sto lat – ale białoruskim legislatorom to nie przeszkadza. Nowe prawo pozwoli osądzić zmarłych.

Nowelizacja k.p.k. ma na celu podjęcie „dodatkowych wysiłków na rzecz wszechstronnego, pełnego i obiektywnego wyjaśnienia okoliczności ludobójstwa ludu białoruskiego w latach wielkiej wojny ojczyźnianej i okresie powojennym". Nieżyjących będzie można postawić przed sądem za 10 różnych przestępstw, w tym zbrodnie ludobójstwa, wojenne i przeciw ludzkości. Sąd będzie orzekał: „winny" bądź „niewinny". Prokuratura ma zadbać o odnalezienie i sprowadzenie przed oblicze sądu nielicznych żyjących jeszcze świadków i krewnych domniemanych ofiar. A wielu prokuratorów białoruskich może już dziś uznać, że szykuje się robota łatwa i przyjemna. Na dodatek mogąca pomóc zdobyć wdzięczność władzy i odpowiednie premie okolicznościowe.

Widać wyraźny pośpiech i wsparcie z samego szczytu władzy w celu zorganizowania „pokazuchy" – jak w krajach rosyjskojęzycznych nazywa się propagandowy show służący aktualnej polityce państwa. Ustawa zdaje się mieć dwa cele. Przede wszystkim ma ożywić antypolskie nastroje na Białorusi i dać władzy w Mińsku kartę przetargową – żądanie odszkodowań od państwa polskiego i przeprosin za „polskie zbrodnie". To, jak się zdaje, jest aktualny priorytet. Jak podaje „Dziennik Gazeta Prawna", podczas debaty zorganizowanej w 2022 r. przez prezydencki dziennik „SB. Biełaruś siegodnia" Andrej Skurat, zastępca prokuratora obwodu grodzieńskiego, mówił, że śledczy powinni najpierw zbadać sprawy dotyczące akowców. W dalszym planie jest możliwość zdobycia materiału do roszczeń wobec Niemców. Ci rzeczywiście palili i mordowali białoruskie wsie na ogromną skalę.

Gdy czytałem te informacje o planach pomagierów Łukaszenki, trudno mi było uniknąć gorzkiej myśli. W jakim stopniu pomysł ten przyszedł do głowy łukaszenkowcom pod wpływem naszych wewnątrzpolskich ataków na akowców i Wyklętych? Wielu polskich publicystów włożyło dużo wysiłku, aby sypać oskarżeniami pod adresem polskich niepodległościowców. W paru wypadkach są one uzasadnione, ale „odbrązawiacze" od wielu lat już mówią o Wyklętych jako mordercach. Czy można się dziś dziwić, że taka autonienawiść zainspirować mogła władze w Mińsku? ©℗

FOT. STANISLAV IVANOV/GLOBAL IMAGES UKRAINE/GETTY IMAGES

ROSYJSKIE RAKIETY NISZCZĄ LWÓW

Co najmniej 10 osób zginęło, a ponad 40 zostało rannych (w tym troje dzieci) w najpotężniejszym ataku rakietowym przeprowadzonym na Lwów przez Rosję od rozpoczęcia pełnowymiarowej inwazji na Ukrainę. Rosjanie uszkodzili 35 budynków. Zamieszkany przez 700 tys. mieszkańców Lwów położony jest kilkaset kilometrów od linii frontu i zaledwie 70 km od granicy z Polską. „Z pewnością wróg otrzyma odpowiedź. Odczuwalną" – oznajmił prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 04f299c0b7

dwaj panowie g

Coś cicho się zrobiło o nowym sztabie wyborczym PiS. I nie dziwota. Achim Jojo Brudziński, który stanął na czele sztabu, uznał, że ma być on niewidoczny. Widoczne mają zaś być efekty. A efekty są takie, że efekty marszu Miasteczka Wilanów z przyległościami z 4 czerwca blakną coraz bardziej. I to do tego stopnia, że najwierniejsi nawet medialni akolici zaczęli wieszczyć trzecią kadencję PiS. I to nawet ci z portalu Stankiewicza.

Nie bylibyśmy sobą, gdybyśmy jakichś tam wieści o sztabie jednak nie mieli. Achim Jojo oczywiście siedzi teraz głównie w Polsce, choć jest europosłem. Ale ciekawsze jest to, że sztab zrobił się, modnie mówiąc, inkluzywny. Znaczy poszerzony o różne opcje. Oczywiście wzrosła rola Pawła Szefernakera, ale z uwagą słuchany jest i inny z panów S. – Paweł Szrot, minister prezydencki, który jest łącznikiem z pałacem Andrzeja Sebastiana. Nawet głos Patryka Jakiego z SuwPolu jest wysłuchiwany.

Jeszcze o kampanii: tak, prawdą są zapowiedzi Ryszarda Terleckiego, że na serio to się wszystko zacznie po 15 sierpnia. Trochę też wiemy o tym, w jakim kierunku. W PiS zdają sobie sprawę, że część cennego elektoratu, jakim niewątpliwie są kobiety, zaczęła partii uciekać. Trwa burza mózgów, jak je odzyskać. W związku z tym w najbliższym czasie można się spodziewać programów związanych z porodówkami, ginekologią itepe oraz ulgami podatkowymi dla matek, których pracą jest macierzyństwo.

Co do samego Terleckiego, legendy hippisów o ksywie Pies, to słyszeliśmy, że wolałby startować do Sejmu z Nowego Sącza niż z Krakowa. Gdyż ma wątpliwości, czy elektorat zrozumie jego wysiłki dla Polski. My to rozumiemy. Drobnomieszczanie spod Wawelu zawsze zwalczali kontrkulturę.

Tymczasem w Eine Totalopposition. Doszły nas słuchy o prawdziwej przyczynie słynnego wystąpienia Donalda Tuska o imigrantach. Otóż wyszło PeŁo z badań, że ich najwierniejszy elektorat tylko deklaruje, że jest multi-kulti. Kiedy pogrzebać głębiej, okazuje się, że strach przed niekontrolowaną imigracją jest u nich taki sam, jak w elektoracie prawicy. Jeśli nie większy. To trochę tak, jak z lewicą. Liderzy mogą, ile chcą, wyginać śmiało ciało na paradach równości, co nie zmienia faktu, że ich elektorat się tym brzydzi.

Apropos Donalda Tuska. Od czasu, jak ogłosił przy brexicie, że na jego autorów czeka „specjalne miejsce w piekle", brytyjscy politycy i prasa ze szczególną uwagą śledzą jego wybryki. „Nie ma większej satysfakcji niż skrucha grzesznika" – rzekł nawet David Jones, były minister do spraw brexitu w rządzie Theresy May. I spytał, kiedy Tusk rzuci hasło polexitu – skoro już przechwycił hasło brexitu o tym, że trzeba przywrócić kontrolę nad granicami. Bardzo nam się też podobało, że „The Telegraph" nazywa Donalda eurofilem. Lubimy, gdy ktoś odpowiednie daje rzeczy słowo.

Apropos odpowiedzialności za słowo. Musimy teraz pisać dość oględnie – ze względów procesowych. Czy znacie Michaela Gahlera? Nie? Spokojnie, nikt go nie zna. To taki nieistotny niemiecki europoseł z drugiego szeregu, który nagle w wywiadzie dla Deutschlandfunk rozmarzył się słowami: „W październiku jest możliwe, że w Polsce powstanie nowy rząd. Mam nadzieję, że moi polityczni przyjaciele wraz z koalicjami będą prowadzili inną politykę". Gahler, jak widać, rzuca słowa dość beztrosko. Tym bardziej my teraz będziemy ostrożni.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Otóż sprawa bardzo ciekawa. Zanim został europosłem, Herr Gahler (CDU) był niemieckim dyplomatą. Specjalizował się w Afryce, to znaczy tam przebywał, pełniąc różne funkcje dyplomatyczne. Nie to jednak jest ciekawe, lecz powód, dla którego przestał być dyplomatą. I tu pojawia się pole dla dociekliwych reporterów śledczych, a podobno najlepszych mają media zaprzyjaźnione z Eine Totalopposition. W europarlamencie wiedza na temat dawnych kłopotów Gahlera jest na tyle powszechna, że nazwać ją możemy wiedzą europosła Poliszynela. A i Jacek Saryusz-Wolski coś wie. No, orły, do śledztwa, dalej! My akurat jesteśmy na wakacjach.

Apropos orłów dziennikarstwa Eine Totalopposition. Bardzo nas rozbawiły opowieści, jak to Pati Koti od pięciu lat próbowała zwolnić niejakiego Andrzeja Stankiewicza z roboty. Nicolas Sarkozy usiłował przydać sobie wzrostu, zakładając buty na koturnach. AS usiłuje sobie nadać dodatkowe znaczenie, wycierając sobie buzię małżonką Ziobry. Musimy jednak zmartwić Stankiewicza. Znamy Pati Koti jeszcze z czasów, gdy była dziennikarką. I już wówczas nie zabierała się do tematów, w których nie miała szans powodzenia. Innymi słowy, gdyby Pati uznała, że może doprowadzić do zwolnienia Stankiewicza, od dawna byłby już na kuroniówce.

Kronika przemocy. Jest tylko kwestią czasu, kiedy wierzyciele rozszarpią Janusza Palikota. A że go rozszarpią, to więcej niż pewne. Otóż, jak się okazuje w momencie, kiedy biznes stopniowo tracił płynność, szerokiego gestu nie tracił sam Palikot. Wypady do Marakeszu z noclegami w najdroższych hotelach czy kasa na album poświęcony kamienicy, w której mieszka Palikot nieopodal Zamku Lubelskiego, powoli uświadamiają inwestorom, że ich pieniądze zostały bezpowrotnie utopione. Kupiliśmy popcorn. ©℗

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Wyższa kultura prawna

Informowaliśmy swego czasu o nieprawidłowościach (najuprzejmiej to nazywając) podczas zakupu przez Komisję Europejską od firmy Pfizer szczepionek przeciwko COVID-19. Począwszy od faktu, że z punktu widzenia prawa unijnego zakup dokonany został „w żadnym trybie", poprzez gargantuiczną liczbę zakupionych dawek (ponad osiem na każdego obywatela UE, z noworodkami i starcami włącznie), a skończywszy na zawyżonej cenie, wszystko w tym dealu wzbudzało podejrzenia europejskich instytucji kontrolnych. Nic one jednak nie zdołały skontrolować, bo pani von der Leyen odmówiła wyjaśnień, a jej prawnicy wykazali, że jako szefowa KE nie podlega żadnej odpowiedzialności za podejmowane decyzje. W tej sytuacji dziewięć miesięcy temu powołano specjalną komisję europarlamentu, która zapowiedziała, że sprawa „musi" zostać wyjaśniona, bo tego typu sprawy „muszą być transparentne". Niestety, przewodnicząca KE odmówiła jakichkolwiek wyjaśnień także temu gremium, a szef Pfizera nie skorzystał z zaproszenia – mimo że aby go zachęcić, europarlament nadał pracom komisji status poufności (tajna transparentność – czego w tej Unii nie wymyślą!). Przynajmniej uprzejmie przysłał swoją zastępczynię, tyle że ta powiedziała komisji, że nic nie wie, bo wszystko negocjował osobiście szef z przewodniczącą, a wszelkie dokumenty tego dotyczące, jeśli w ogóle zostały wytworzone, stanowią tajemnicę firmy.

W tej sytuacji komisja została rozwiązana. Przypadkiem zbiegło się to w czasie z przyjęciem przez parlament niemiecki ustawy ucinającej śledztwo w sprawie domniemanych nadużyć finansowych, których miał się swego czasu dopuścić obecny kanclerz, Olaf Scholz, jako mer Hamburga. Kwota 47 mln euro, którą wskutek jago decyzji stracił niemiecki budżet, warta jest tak znakomitego kanclerza – uznali partyjni koledzy Scholza oraz ich koalicjanci i ukręcili sprawie łeb.

Tak to się robi w krajach, które tak chętnie wychodzą naprzeciw błaganiom polskiej lewicowo-liberalnej opozycji o „przywrócenie w Polsce praworządności". ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Pochodnia Postępu

Nie spodziewałem się, że będę chwalił „Le Monde", ale muszę, bo francuski odpowiednik „Gazety Wyborczej" dał ostatnio prawdziwy dowód sprawiedliwości. Jedną z jej miar jest przecież zdolność uznania niewygodnej prawdy.

Otóż „Le Monde" umieścił niedawno w sieci jeden z archiwalnych tekstów, przypominający, że zdanie „dobry glina – to glina w szpitalu" wcale nie pochodzi od jakiegoś ekscytowanego chuligana. Pierwszy wypowiedział je przeszło pół wieku temu (oficjalnie, na konferencji prasowej) jeden z przywódców paryskiego Maja '68, Alain Geismar, sekretarz generalny Związku Zawodowego Pracowników Szkolnictwa Wyższego. Geismar był potem przywódcą ultrakomunistycznej Lewicy Proletariackiej, bojownikiem o wolne konopie, a w końcu, po wstąpieniu do Partii Socjalistycznej, za prezydentury François Mitterranda, został (a jakże) ministrem edukacji narodowej. Dziś może naprawdę świętować osiągnięcia swej polityki. Bo dla człowieka, który poświęcił się jakiejś sprawie (tym bardziej jeśli był ministrem edukacji), nie ma większego sukcesu od wychowania sobie godnych następców.

Warto mieć świadomość tej rzeczywistej genezy współczesnej francuskiej tragedii. Nawet u nas bowiem słyszę, że francuskie rozruchy to reakcja na tamtejszy „rasizm". Tymczasem przez ostatnie pół wieku Republika wykluczała z życia publicznego nie jakiekolwiek mniejszości religijne, rasowe, etniczne, ale przeciwników imigracjonizmu, którym „rasizm" imputowano. Oficjalną ideologię Republiki najlepiej streścił Bernard Stasi (centrowy minister za prezydentury Georges'a Pompidou) w tytule swej książki „Imigracja to szansa dla Francji". Wokół tej ideologii konstytuowała się przez ostatnie pół wieku „jedność republikańska" i dzięki tej ideologii nad Paryżem raz jeszcze zapłonęła pochodnia Postępu. ©℗

eprasa.pl 04f299c0b7

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O taksówkach we Wrocławiu, w Atenach i Rzymie

Gościłem w rodzinnym Wrocławiu. Wsiadłem pod Dworcem Głównym do taksówki na postoju, który – jak informowano na tablicy – obsługuje wyłącznie jedna korporacja, zapewne dzięki słonej opłacie za przywilej. Kierowca uprzedził mnie, że kurs będzie kosztował 50 zł, co mnie niepomiernie zdziwiło, bo poprzedniego dnia na tej samej trasie w drugą stronę, z domu na Dworzec Główny, zapłaciłem 20 zł. W stanie lekkiego wzburzenia wysiadłem i złorzecząc, podreptałem grzecznie do tramwaju. Jak mi powiedziano, podobne obyczaje panują pod wrocławskim lotniskiem. Słowem – zarabiający na szalbierstwie, władze miejskie albo PKP i na pewno korporacja, zmówili się, żeby bezczelnie skroić klienta, żądając opłaty 150 proc. wyższej. Jest to gangsterka, nie wiedzieć czemu zgodna z prawem.

Lata temu na lotnisku w Atenach wziąłem taksówkę do hotelu w centrum. Po kilku kilometrach jazdy taksówkarz zaczął kląć i walić pięścią w licznik. Wyjaśnił mi łamaną angielszczyzną, że maszyna przestała funkcjonować. Dojechaliśmy pod hotel. Gdy taksówkarz rzucił cenę, nogi pode mną się ugięły. W desperacji powiedziałem mu więc, że zmieniamy kurs, i poprosiłem, żeby mnie zawiózł na najbliższy posterunek policji. Gdy spytał dlaczego, wyjaśniłem: „Bo ktoś chce mnie szpetnie okraść". Szalbierz najpierw zdębiał, a po chwili obniżył cenę czterokrotnie. Potem rozłożył ręce i uśmiechnął się, szeroko życząc udanego urlopu. Zupełnie jakby chciał powiedzieć: „Cóż, próbowałem, ale się nie udało".

W Rzymie, jeśli chodzi o kurs z lotniska Ciampino lub Fiumicino do centrum w obrębie murów aureliańskich, lub odwrotnie, opłata jest stała, odpowiednio 30 i 50 euro. Odpowiada mniej więcej temu, co wystukałby taksówkowy licznik. Natomiast na ogromny postój pod dworcem głównym Termini ma prawo podjechać każdy rzymski taksówkarz, a o cenie decyduje taksometr zgodnie z normalną taryfą za kilometr. A więc jednak można normalnie... ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 04f299c0b7

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

AFERA JAJECZNA

Zenek Martyniuk został obrzucony jajkami podczas koncertu. Do skandalu doszło we Włodawie, gdzie największa gwiazda polskiego disco polo koncertowała podczas Dni Włodawy. – Koncertów, w trakcie ponad 30-letniej kariery, zagraliśmy bardzo dużo. Ale pierwszy raz się nam zdarzyło tu, we Włodawie, że ktoś rzucił jajkami. Jeszcze nigdy nie spotkałem się z takim czymś, a zagrałem kilkanaście tysięcy koncertów – mówił ze sceny rozgoryczony (i słusznie) muzyk. Łobuz szybko został spacyfikowany przez ochronę. – No i co, mamy tego pana, panowie ochroniarze? Chcielibyśmy go poznać. Jak pan taki chojrak, zapraszamy na scenę. Pan basista chciałby poznać – nie przestawał niekryjący wzburzenia Martyniuk. Przyznał, że odechciało mu się występować. Jednak nie przerwał koncertu ze względu na obowiązującą umowę.

FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

– Przez jednego pana straciliśmy, kurde, humor i w ogóle wszystko, chęć do grania – powiem państwu szczerze. Chętniej bym zakończył i pożegnał się z państwem, ale mam umowę jakoś zobowiązującą, więc niestety. Ale to będzie bardzo smutny koncert – dodał Zenek. Ostatecznie „jajcarz" będzie musiał zapłacić 500 zł grzywny i otrzymał dwuletni zakaz uczestniczenia w imprezach masowych. Sprawca zamieszania przyznał, że po prostu nie lubi muzyki Zenka i dlatego użył jaj. Jakby to delikatnie… Nie pochwalamy czynu, ale rozumiemy pobudki.

ŻENADA NA LOTNISKU

To jednak nie koniec afer, których znaczenie dla Polski, Europy i świata jest nie do przecenienia. Małgorzata Rozenek-Majdan uraczyła instagramowych fanów krótkim nagraniem z lotniska. Owo nagranie uwieczniło kłótnię celebrytki z mężem zwanym przez Małgosię „Radziem". Kłótnia dotyczyła… pakowania bagażu i odbyła się w samym środku kolejki ludzi czekających na lotniskową odprawę. – Nie umiesz się pakować, wysyłam Cię na kurs pakowania – stwierdził wkurzony Radziu. – Nie chce mi się nawet tego słuchać – odparła Gosia. – Proszę o kontakt, jeśli ktoś prowadzi taki kurs, bo moja żona jest totalnie zagubiona w pakowaniu się. Bierze dwie walizki na siebie – nie dawał za wygraną mąż „perfekcyjnej pani domu". To nie koniec! Okazało się, że Rozenek przekroczyła dopuszczalną wagę bagażu o bagatela 15 kg, więc musiała dokupić dodatkową walizkę wyłącznie na swoje rzeczy. – Kompletnie wymyka ci się to spod kontroli, jesteś w panice. Bierzesz wszystko to, co spotkasz w domu. 37 kilo, 15 kilo nadbagażu, Małgosi walizki – zauważył zrezygnowany Radosław. – Myślę, że jak kiedyś będziesz udzielać rad, jak się spakować, to nie będziesz wiarygodna – podsumował, nawiązując do telewizyjnego show na temat sprzątania, który kiedyś prowadziła Małgorzata. Wyrazy współczucia dla współpasażerów. Podróż z celebrytami musi być nie lada wyzwaniem.

DZIECI DRĘCZĄ ADASIA

Afera nr 3, czyli Nergal kontra dzieci. A dokładniej podopieczni punktu opieki dziennej na warszawskim Powiślu. Właściciele placówki dla maluchów kupili mieszkanie z możliwością dzierżawy ogródka, a więc – co całkowicie zrozumiałe – dzieci z tego właśnie ogródka korzystają. I to nie jakoś dużo, bo przez niemal dwie godziny dziennie (od ok. godz. 11 do godz. 13). Jednak mieszkańcy są niezwykle zmęczeni i interweniują u administracji. E-maila do zarządcy budynku napisał mieszkający tam Adam Darski ps. Nergal. Skarży się nie tylko na hałas, lecz także… smród. „Jeśli któryś z nas zacząłby hodować kozy albo założył schronisko dla psów, sąsiedzi mieliby z tym problem. Dzisiaj ZNOWU obudziły mnie wrzaski dziatwy, które niosą się też po klatce. W załączeniu zdjęcie siatki pełnej pampersów, gówna. Wszedłem na klatkę i na dzień dobry uderzyła mnie fala smrodu" – czytamy w wiadomości. No cóż, będzie nieco złośliwie, ale trudno – lepsze piski dzieci niż śpiew Nergala.

NAJWAŻNIEJSZA SPRAWA

„Przedwyborcze odmęty szaleństwa". Aktor Andrzej Chyra kibicuje opozycji, aby ta odsunęła jesienią PiS od władzy. W rozmowie z „Wprost" podkreślił, że to najważniejsza sprawa teraz – nie program, nie propozycje dla Polaków, ale odsunięcie PiS od władzy. Chyra zaznacza, że opozycja ma moc, by to zrobić, co pokazała podczas marszu 4 czerwca. – Jesteśmy poddani ciężkiej próbie, Polska się nam rozłazi, cofnęliśmy się o osiem lat, a może nawet więcej. Ja z polityki staram się wybierać to, co jest mi bliskie, i to, gdzie czuję skuteczność działania. 4 czerwca mieliśmy pokaz pewnej skuteczności i ta skuteczność polityków po opozycyjnej stronie deprymuje wszystkich tych, którzy nie są tak skuteczni – ocenił Chyra. Zdaniem aktora wciąż w społeczeństwie brakuje świadomości tego, jak ważna jest zmiana rządzących. – Mam poczucie, że ciągle nie rozumiemy, że najważniejszą rzeczą jest jak najskuteczniej, w jak największym stopniu odsunąć PiS od władzy. Ich ciągnący się ogon będzie nam jeszcze przeszkadzał przez długie lata, dodatkowo nie wiemy, czy nie zamiecie wszystkiego pod siebie […]. Wierzę, że na koniec wygramy to, ale jeżeli wygramy, to nie wiem, czy z tak dużą przewagą, jaką moglibyśmy mieć – ocenił gwiazdor. I to jest właśnie artysta zaangażowany! ©℗

eprasa.pl 04f299c0b7

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, słyszeliście może o protestach we Francji, gdzie mniejszości wyszły na ulice w walce o swoje prawa, sprzeciwiając się białej supremacji i w aktywny sposób negując zasady panujące w późnym kapitalizmie, czyli manifestując zasadę „towar prawem, nie towarem"?

W ramach upodmiotawiania towarów spod kapitalistycznego jarzma zostawały wyzwolone np. nowe samochody z salonów, mamy tylko nadzieję, iż były to elektryki, iż powietrze we Francji od spalonych opon i tak było ostatnio pełne pyłów.

Natomiast, co warte podkreślenia, gniew tłumu został też skierowany w bibliotekę publiczną w Marsylii, która została puszczona z dymem. I jak sobie tak pomyślimy, to jest to nieunikniony etap na drodze wdrażania postępu, iż taka biblioteka może obrażać uczucia wielu i dyskryminować kultury inne niż, nazwijmy to umownie, cywilizacji judeochrześcijańskiej.

W końcu ile książek w takiej bibliotece zostało napisanych przez przedstawicieli mniejszości, a ile dla przedstawicieli mniejszości? Obstawiamy, iż przynajmniej mniejsze pół. Większe pół to różne średniowieczne poezje kościelne czy inne jakieś dzieła o miłości heteronormatywnej dwojga białych osób.

Dlatego of kors nie popieramy, ale rozumiemy.

Ech, kochani, znów o tych Polakach na wakacjach, no ale nie mamy wyboru. Wielokrotnie pisaliśmy o polskim mindsecie cebulaka, który jeździ starym autem i mieszka w małym domu, a na wakacje jeździ tanio i blisko.

A teraz się jeszcze okazuje, iż wybiera opcję bez wyżywienia. Tak, tak. Taki Janusz, jak już pojedzie zobaczyć kawałek świata na Chorwację albo do Mielna, to zapakuje swojego poloneza na ropę po dach jakimiś konserwami, gotowymi daniami, tanim browarem i kiełbasą na grilla (co oni wszyscy mają z tym grillem…).

Zamiast więc kosztować lokalnych smaków, odkrywać kulturę przez doznania kulinarne, taki przeciętny Polak woli się zadowolić byle czym i zamiast do modnej restauracji pójdzie do biedry i tam zostawi pieniądze.

Pół biedy, o ile się to dzieje w Polsce, ale serio – gdy oni tak jeżdżą za granicę, to jakie wystawiają nam świadectwo? Znów się musimy wstydzić, a powoli nam się kończy miejsce w harmonogramie wstydzenia się.

A wiecie, o czym Polacy będą rozmawiać na wakacjach? Dotarliśmy do wyników ciekawego badania, według którego będą to oczywiście same smutne rzeczy: inflacja, wojna na Ukrainie oraz opieka zdrowotna, a więc zapewne również choroby.

Of kors ponad połowa Polaków będzie mówiła o niskich zarobkach i problemach finansowych, a druga mniejsza połowa będzie słuchała i potakiwała.

To strasznie smutne, tak naprawdę. Mieszkaniec zachodniej Europy, kiedy pojedzie na wakacje, to porozmawia o sztuce, nowych produkcjach Netflixa, trochę o literaturze, prawach mniejszości, elektromobilności, zmianach klimatycznych i mikroplastiku w Gangesie. A więc o wszystkim tym, co jest naprawdę ważne, ale o czym da się rozmawiać w sposób pozytywny, z nadzieją.

A Polacy będą jeść te gotowce z dyskontu, gadać o wojnie, biedzie i że bolą ich plecy. No i sami widzicie – znów siara w sami już wiecie co przed Europą. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Spójność w trampkach

Donald, jakoś się głupio czuję po tej twojej wypowiedzi o migrantach.
Franek, wyobraź sobie, jak ja się głupio czułem,kiedy zasuwałeś pod granicą z torbą z Ikei.

No nie, ale tutaj chodzi o spójność. Rozumiesz: ja muszę być za imigrantami, a przeciwko samochodom.
Pamiętam, jak pomykałeś na rowerku po procentach…

To prowokacja była! A jak ja mam się teraz tłumaczyć z tego, co ty powiedziałeś, jak mnie wyborcy pytają…
Stasiu, przecież ciebie nikt o nic nie pyta, bo nikt cię nie zna. A spójność? Człowieku, my politykę robimy, a nie kółko różańcowe. Chleb błogosławimy, a przed biskupami nie klękamy. Coś jeszcze?

No, skoro tak, to już nic.
I dobrze. Trampki sobie nowe kup, bo te masz jak kloszard jakiś. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Pokazywanie w TVPiS szyfrogramów MSZ to ułatwianie wrogom Polski łamania naszych szyfrów".

RADOSŁAW SIKORSKI, *europoseł KO, na Twitterze o serialu „Reset"*

eprasa.pl 04f299c0b7

OSTATECZNA KONCEPCJA CPK ZAPREZENTOWANA

Spółka Centralny Port Komunikacyjny pokazała w ubiegłym tygodniu wizualizacje stworzone na podstawie ostatecznego projektu polskiego megalotniska. Nad projektem portu lotniczego, podziemnego dworca kolejowego z sześcioma peronami oraz terminalu autobusowego pracowało 250 architektów i inżynierów nie tylko z Polski, lecz także z różnych krajów świata.
– W tym miejscu za 10–15 lat zbiegać się będą nitki życia gospodarczego całej Europy Środkowo-Wschodniej – mówił podczas czwartkowej konferencji prasowej pełnomocnik rządu do spraw CPK oraz wiceminister funduszy i polityki regionalnej Marcin Horała.

Jak podała spółka w przesłanym „Do Rzeczy" komunikacie, przyjęcie przez CPK koncepcji architektonicznej lotniska, przygotowanej przez brytyjskie konsorcjum Foster + Partners i Buro Happold, oznacza przejście do kolejnego etapu, czyli opracowania projektu budowlanego.

Największe w Polsce lotnisko wraz z węzłem kolejowym oraz odcinkiem Kolei Dużych Prędkości łączącym CPK z Warszawą oraz z Łodzią ma powstać w 2028 r. w odległości 37 km na zachód od Warszawy i obsługiwać do 40 mln pasażerów rocznie. Budowa lotniska ma kosztować ok. 36 mld zł. ***(jap)*** © ℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE CPK (X2)

Teraz Alexander

Wojciech Golonka

George Soros odchodzi – w końcu, bo w wieku 92 lat! – na emeryturę. Jego syn Alexander przejmuje po ojcu sieć fundacji na rzecz społeczeństwa otwartego. Soros Junior zamierza jeszcze bardziej niż ojciec mieszać się do polityki, dociskając pedał gazu w kwestiach światopoglądowych

Alexander Soros deklaruje, że jego priorytetami pozostają uniemożliwienie Donaldowi Trumpowi reelekcji w przyszłorocznych wyborach prezydenckich oraz walka na rzecz „prawa" do aborcji. Tak z grubsza – trafnie co do meritum i zbyt uogólniająco zarazem – brzmiały nagłówki i przekazy w ubiegłym miesiącu, kiedy świat obiegła wiadomość o przekazaniu sterów dowodzenia w sławnych nie sławnych

eprasa.pl 04f299c0b7

Soros

FOT. JASON ALDEN/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

Open Society Foundations – sieci fundacji George'a Sorosa będącej ogólnoświatową siłą napędową demoliberalnej rewolucji.

Jeśli samego George'a Sorosa na łamach „Do Rzeczy" przedstawiać nie trzeba – pisałem o nim już kilkakrotnie, nie tylko ja zresztą – to jego przekazanie pałeczki synowi w dziele demokratyzacji świata poprzez burzenie barier i wysadzanie kolejnych fundamentów (narodowych, społecznych, obyczajowych, antropologicznych – o religijnych nie wspominając) naturalnie skłania do podsumowania jego dokonań i rodzi pytanie o kontynuację Sorosowego dzieła w wydaniu jego syna, publicznie wciąż szeroko niepoznanego, acz cieszącego się w wieku 38 lat wybornymi koneksjami, od Białego Domu, przez Davos, do Pałacu Elizejskiego.

Podsumujmy zatem najpierw dzieło, które George zbudował i zradykalizował w ostatnich latach, a następnie spróbujmy przyjrzeć się nieco jego rodowemu następcy.

BANKIER Z WĘGIER

„Filantropijna" działalność George'a Sorosa nie budziła większych kontrowersji do czasu, kiedy w 2003 r. ogłosił publicznie, że jego ówczesnym „głównym zadaniem życiowym" – a nawet „kwestią życia i śmierci" (!) – było uniemożliwienie reelekcji Georga Busha Jr. To tchnące megalomanią i radykalizmem wystąpienie miliardera, gotowego szczodrze inwestować dolary w najróżniejsze kampanie wyborcze w USA, skupiło większą uwagę na jego dotychczasowej działalności, przedstawiając ją jednocześnie w innym świetle niż tylko jako hojna działalność organizacji pozarządowej na rzecz demokratyzacji krajów Europy Środkowej z byłego bloku sowieckiego.

George Soros, węgierski Żyd, rozpoczął po drugiej wojnie światowej karierę w bankowości w Londynie, by następnie spróbować własnych sił za oceanem, na Wall Street, w domenie światowej finansjery. Jego powstały w 1970 r. fundusz inwestycyjny okazał się jednym z najbardziej dochodowych w historii, przy czym geniusz finansowy Sorosa wyróżniał się głównie w lukratywnych spekulacjach finansowych. Analizując dane, Soros trafnie przewidywał ewolucję rynków finansowych, a następnie inwestował, najczęściej w „zakłady" finansowe na rynku walut.

W 1992 r., podejmując ze wspólnikami masowe działania wobec przewartościowanego brytyjskiego funta, Soros zarobił w jeden dzień miliard dolarów (podobny manewr powtórzył w 1997 r. wobec tajskiego bata, a w 2013 r. wobec japońskiego jena, rozwścieczając po kolei poszczególne rządy).

To właśnie ta osobista fortuna zbita na rynkach finansowych posłużyła za kapitał dla jego dzieł filantropijnych, które z czasem utworzyły rozsianą po świecie sieć fundacji na rzecz społeczeństwa otwartego. Co ważne, ten model funkcjonuje do dziś: głównym celem funduszu Soros Fund Managment o wartości ok. 25 mld dol. jest, oprócz utrzymywania jego rodziny, zasilanie jego fundacji na poziomie ok. półtora miliarda dolarów rocznie – fundacji, nad którymi stery w roli przewodniczącego (chair) przejął właśnie jego syn Alexander.

STARCIE Z PRAWICĄ

Aby należycie uzupełnić to podsumowanie, trzeba przypomnieć coraz bardziej zażarty antagonizm, który w ciągu ostatniej dekady zaszedł na linii Soros – poszczególne prawicowe rządy na świecie, z Donaldem Trumpem i Viktorem Orbánem na czele (ale do tej listy można by dopisać wielu polityków z całego świata, z Polski włącznie). George Soros stał się dla prawicy wyborczym „straszakiem", z powodzeniem wykorzystywanym w kampaniach i poza nimi (jak najbardziej zasadnie). Wszak to ten sam George Soros raz po raz, z wysokości swego biura na Manhattanie i z właściwą sobie megalomanią, okładał polityczną fatwą „populistów" wszelkiej maści, rozdzierał szaty nad odradzającymi się w jego oczach największymi zagrożeniami dla „społeczeństwa otwartego", a w szczególności nad nacjonalizmami (przez co rozumie narodowy patriotyzm), popierał projekty i procesy godzące w tradycyjne normy społeczeństwa (odczytywane przezeń jako „bariery") – od zalewu imigracyjnego Europy do rewolucji światopoglądowej. Przede wszystkim jednak nie szczędził srebrników na rzecz kandydatów mogących pokonać w różnego rodzaju wyborach objętych jego fatwą wrogów – w tym jego zaangażowanie w ostatnich latach osiągnęło wręcz apogeum szczodrości. Jeśli do roku 2014 r. Soros wydawał ze swego funduszu w danym roku wyborczym po kilkaset tysięcy dolarów na wybranych przez siebie kandydatów, to od 2016 r. są to już wydatki sięgające po kilka, kilkadziesiąt milionów dolarów, a nawet więcej. Jak donosił pod koniec ubiegłego roku „The Wall Street Journal", od czasu zaprzysiężenia prezydenta Bidena w styczniu 2021 r. do wyborów uzupełniających do Kongresu w listopadzie

eprasa.pl 04f299c0b7

ubiegłego roku miliarder, miłośnik społeczeństwa otwartego, poszedł na całość i wpompował aż 128 mln dol. w różne kandydatury demokratów, aby utrzymać ich władzę zarówno na poziomie federalnym, jak i na innych stanowych stanowiskach. To uplasowało go na pierwszym miejscu wśród wyborczych darczyńców w USA w tym okresie, choć być może przy tej skali pomocy finansowej należałoby bardziej mówić o „inwestycji politycznej" niż o darowiznach. Nawiasem mówiąc, o czym szerzej za chwilę, zapowiedź jego syna, że bardziej niż ojciec będzie angażował się w politykę, daje do myślenia. Czy chodzi po prostu o poodcinanie kuponów z inwestycji taty czy może o jeszcze śmielsze finansowanie „demokracji otwartej"?

Jeśli morze Sorosowych pieniędzy nie uratowało pod koniec ubiegłego roku większości demokratów w Kongresie, który przeszedł z powrotem w ręce republikanów (trzeba jednak zauważyć, że zapowiadana wcześniej „czerwona republikańska fala" nie miała miejsca, filantrop nie odniósł zatem zupełnej porażki), to mniej widoczną, ale brzemienną w skutkach i wydajną inwestycją, podług Sorosowych ambicji, było wyłożenie w ostatnich latach 40 mln dol. w kampanie wyborcze, które wyniosły do władzy 75 prokuratorów na obraz i podobieństwo ich sponsora – pisał o tym w ostatnim czasie Jonathan Tobbin w „Washington Examiner", w artykule poświęconym przekazaniu władzy u Sorsów o wymownym tytule „Dynastia destrukcji". Chodziło o wspieranie kandydatów dopatrujących się, jak sam Soros, rasizmu w dotychczasowym amerykańskim wymiarze sprawiedliwości, zwolenników tzw. miękkiego podejścia do „drobnej" przestępczości, jeśli nie przestępczości w ogóle. Tobbin w swym artykule wskazuje na wiele prokuratorów, m.in. w Los Angeles, Filadelfii, Chicago, Nowym Jorku czy San Antonio, na których kampanie Soros wydał czasem nawet po kilka milionów dolarów. Za ich kadencji przestępczość – a zwłaszcza rozboje – w ich dystryktach po prostu eksplodowała. Tobbin konkludował – a chodzi o prokuratorów, których jurysdykcja odpowiada jednej piątej populacji Stanów Zjednoczonych – „Fakty z praktycznie każdego miasta i hrabstwa, gdzie panują Sorosowi prokuratorzy, wskazują, że paradygmat odejścia od ścigania (de-prosecution approach) sprowadził nieszczęście na życie zwykłych obywateli, którym przyszło funkcjonować w miastach, w których każdy wie, że przestępczość jest coraz mniej ryzykownym zawodem, z ekonomicznymi niedostatkami i zapaścią bezpieczeństwa osobistego".

Ten akcent położony na ostatnie boje słynnego miliardera nakreślił, jaki okręt (wojenny) i na jakim kursie (kolizyjnym z cywilizacją) u schyłku swej wieloletniej kariery George Soros pozostawia swemu synowi.

KAPITAN CZY MAJTEK?

W przypadku młodego kapitana, który nie zdążył jeszcze odbić własnego piętna na dziele ojca, pojawia się na razie więcej pytań niż odpowiedzi. Począwszy od tego, czy kapitanem nie został przypadkiem okrętowy majtek.

George Soros zadeklarował onegdaj, że nie przekaże fundacji swym dzieciom, a jedynie osobie naprawdę odpowiedniej do tego zadania. To ówczesne oświadczenie było być może pokłosiem nieco burzliwego odejścia starszego syna Sorosa (z pierwszego małżeństwa), Jonathana, z fundacji w 2011 r. (wcześniej, będąc ekonomistą, ustabilizował ojcowski fundusz po kryzysie z 2008 r.). Jak twierdzi Gregory Zuckerman na łamach „The Wall Street Journal", który rozmawiał z Alexandrem (synem z drugiego związku), jego współpracownikami i ze współpracownikami jego ojca, młody Soros na tę pozycję w oczach swego ojca po prostu zasłużył, pracując w fundacji od 2015 r., reprezentując ją na zewnątrz i obficie rozmawiając z ojcem właśnie o społeczeństwie i polityce. Co nie daje jednak do końca odpowiedzi na zagadkę o jego kwalifikacjach do objęcia dzieła, które – by sparafrazować założyciela – jest sprawą „życia i śmierci", jeśli chodzi o krucjatę na rzecz społeczeństwa otwartego.

Po pierwsze, Alexander, lubujący się w towarzystwie modelek, w szykownych klubach miał onegdaj bardziej reputację lekkoducha niż profil doświadczonego przewodniczącego sieci międzynarodowych organizacji z 25-miliardowym funduszem zasilającym w tle.

Po drugie, przeglądając jego konta społecznościowe i liczne zdjęcia z możnymi i mniej możnymi tego świata, również z ikonami amerykańskiego obozu demokratów (jak Barack Obama, Bill Clinton, czy, najczęściej, Nancy Pelosi), równie dobrze można odnieść wrażenie, że chodzi o jakiegoś ambitnego reprezentanta młodzieżówki partii politycznej, budującego swój wizerunek i rozpoznawalność w oparciu o kolekcję sweet foci z politykami wagi ciężkiej. Podobne pytanie – czy George rzeczywiście wybrał osobę odpowiednio dojrzałą do powierzonej jej misji – rodzi też dość infantylne wrzucanie na swe konta społecznościowe zdjęć zaproszeń czy to na oficjalną kolację do Białego Domu, czy to do Pałacu Elizejskiego.

Do tego trzeba dodać pewien dysonans między krążącą reputacją charyzmatycznego lidera (bynajmniej nie wytworzoną przez samego Alexandra) a totalną klapą jego publicznych wystąpień. Gdy przemawia bez kartki, nie jest pewne, czy rzeczywiście ma cechy przywódcze.

W różnych mediach pojawiła się informacja, że Alexander Soros był członkiem Forum Młodych Globalnych Liderów z edycji 2018, podlegającej pod Światowe Forum Ekonomiczne (dla przypomnienia: w roku 2016 wśród podobnych liderów znalazł się młody charyzmatyczny francuski minister, przyszły prezydent Francji, Emmanuel Macron). Otóż informacja ta jest nieprawdziwa, oparta na krążącym w Internecie sfabrykowanym zestawieniu młodych liderów z 2018 r. Prawdą jest, że na stronie Światowego Forum Ekonomicznego można znaleźć jego notkę biograficzną, ale to dlatego, że w styczniu tego roku reprezentował on w Davos fundację swego ojca i wziął udział w jednym drobnym panelu, w zasadzie wywiadzie, który okazał się totalną klapą. Młody Soros, choć wykształcony na kilku uczelniach, z doktoratem z Uniwersytetu w Berkley w Kalifornii, nie był w stanie tam swobodnie i płynnie odpowiadać na zadawane mu pytania, zresztą przez bardzo życzliwego mu rozmówcę. A kiedy w jednej, niespełna dwuminutowej odpowiedzi użył aż 35 razy przerywnika „no wiesz" (you know), stanowiącego przeszło połowę jego siekanej w ten sposób co chwila odpowiedzi, można było naprawdę się zastanawiać, czy przypadkiem na jego nominacji nie zaważyła po prostu

eprasa.pl 04f299c0b7

Alexander Soros z ojcem – George'em Sorosem

FOT. TWITTER.COM/ALEXANDERSOROS

bardzo zażyła relacja z ojcem, a nie osobiste kompetencje.

Ma się rozumieć, brak swobody w przemówieniach publicznych (potwierdzony na innych nagraniach i w materiale Zuckermana) nie musi oznaczać braku cech przywódczych, które winne czynić Alexandra odpowiednim człowiekiem na odpowiednim miejscu. W rzeczy samej być może jest on świetnym, ale lubiącym spokój analitykiem, wykazującym pewność siebie i swobodę, ale w prywatnych rozmowach w ograniczonym kręgu, jak zdają się sugerować jego zdjęcia z politycznymi celebrytami (ostatnio był członkiem świty Billa Clintona podróżującego do Albanii, a następnie towarzyszył mu, w ubiegłym tygodniu, na prywatnej audiencji u Franciszka). Przede wszystkim młody Soros zdaje się świetnie rozumieć cele wojenne wyznaczone przez ojca, co potwierdzałoby kilka jego lakonicznych wypowiedzi, przedstawionych buńczucznie przez Zuckermana jako „pierwszy wywiad" od czasu objęcia stanowiska.

CELE SIĘ NIE ZMIENIAJĄ

To, po pierwsze, neutralizacja polityczna wspomnianego już Donalda Trumpa – cel wyborczy numer jeden w roku 2024 – oraz lobbing na rzecz „prawa" do aborcji po werdykcie Sądu Najwyższego rewidującego orzeczenie Roe vs. Wade z 1973 r.

Po drugie, jeszcze większe zaangażowanie się w politykę niż ojciec. Pod tym względem Alexander być może nie zdaje sobie sprawy, że George Soros zawiesił tu poprzeczkę bardzo wysoko i jest osiągalna jedynie dla panteonu megalomanów (w dosłownym tego słowa znaczeniu). W 1993 r. stwierdził bowiem: „To pewnego rodzaju choroba, gdy czujesz się jak jakiś bóg, stwórca wszystkiego; jednak czuję się swobodnie od czasu, gdy zacząłem tym żyć". Oczywiście Alexander może próbować prześcignąć ojca w coraz bardziej astronomicznych kwotach wydawanych w obronie „społeczeństwa otwartego". Prostodusznie stwierdził zresztą, że wyborcze pompowanie pieniędzy we wspieranych przez Sorosów kandydatów będzie konieczne dopóty, dopóki druga strona (wrogowie społeczeństwa otwartego) także będzie finansować swe własne kampanie. W końcu, w ramach lapidarnego programu, poprawno-polityczne zapewnienia odnośnie do jeszcze większego zaangażowania w sprawy dotyczące zmian klimatycznych, równości genderowej czy praw do głosowania – co, zauważmy, w przypadku młodego człowieka tchnie jednak dziaderstwem pokolenia Sorosa seniora, Joe Bidena czy Nancy Pelosi – Alex byłby bardziej oryginalny i postępowy, gdyby ogłosił np. program zrównania praw ludzi i zwierząt.

Złośliwości na bok. Różnica między nim a ojcem wydaje się zasadzać na tym, że tam, gdzie George był przede wszystkim finansowym pragmatykiem o wyrobionym internacjonalistycznym lewicowym credo, mającym wręcz znamiona religii – („Proces zastępowania starych teorii lepszymi nie ma końca. […] Potrzebujemy polegać na wierzeniach, religijnych bądź innych, które pomogą nam podejmować decyzje" – twierdził w 2004 r.), jego syn jawi się bardziej jako szablonowy centrowo-lewicowy intelektualista (z domieszką religii przodków, w przeciwieństwie do ojca, obchodzi on najważniejsze święta judaizmu). Nie oznacza to jednak, że Alexander nie wykazuje pewnego pragmatyzmu. Uważa on np., że obecny przekaz demokratów powinien zostać stonowany i docenić pewne wartości konserwatywne: „Nasza strona powinna być lepsza w byciu bardziej patriotycznym i inkluzywnym. To, że ktoś głosuje na Trumpa, nie oznacza, że jest zagubiony czy rasistą". Wręcz stanowczo pragmatyczny, jeśli potrzeba: inkluzywny debiut Alexandra rozpocznie się, na razie, od zwolnienia 40 proc. personelu z całej sieci fundacji na świecie, zaplanowanej jeszcze za rządów jego ojca (centralizacja działań dzięki współczesnym technikom komunikacji i pracy zdalnej).

Stare nazwisko, ale nowa twarz, nieobciążona bagażem kontrowersyjnego spekulanta; stare, wyświechtane wręcz cele, ale zapowiedź kroku w tył w polityce stygmatyzacji przeciwników; przede wszystkim stare dobre pieniądze, „nerw wojny", jak mawiają Francuzi, ze starymi dobrymi beneficjentami tej szczodrości, najwyraźniej gotowymi zaspokoić odczuwalną słabość do politycznej megalomanii u nowego młodego zarządcy kurka z pieniędzmi, wprowadzając go na salony światowej polityki. Za prezydentury Joe Bidena w oficjalnym rejestrze odnotowano jego obecność w Białym Domu aż 17 razy. Abdykował król, niech żyje król! – nowy strategiczny sponsor wyborczy, to się ceni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 04f299c0b7

Z Przemysławem Czarnkiem, ministrem edukacji i nauki
rozmawia Karol Gac

Chcemy ograniczyć obchodzenie obowiązku szkolnego

KAROL GAC: Ministerstwo Edukacji i Nauki przygotowało raport na temat edukacji domowej w Polsce. Wynika z niego, że w ostatnich latach gwałtownie wzrosła liczba dzieci i nastolatków uczących się w domu. Obecnie w ten sposób realizuje obowiązek szkolny prawie 1 proc. wszystkich uczniów (ok. 42 tys.). To ponad dwukrotnie więcej niż dwa lata temu. To powód do zadowolenia czy wręcz przeciwnie?

PRZEMYSŁAW CZARNEK: Wręcz przeciwnie, ponieważ nie mówimy tu wyłącznie o właściwej edukacji domowej. Gdyby tak było, to byłby to powód do zadowolenia. Świadczyłoby to o tym, że rodzice coraz częściej mają warunki, czas i środki finansowe, by brać bezpośrednio odpowiedzialność za edukację swoich dzieci. Są oczywiście rodzice – i sam takich znam – którzy zdecydowali się na edukację domową. Nie mam nic przeciwko temu. Oczywiście to nie jest tak, że edukacja domowa jest lepsza od edukacji powszechnej. Swoje dzieci wykształciłem w tradycyjny sposób, jak 99 proc. rodziców, i uważam, że jest bardzo dobry, ale jeśli ktoś ma warunki i czas, to bardzo proszę. Jednak te 42 tys. to nie jest niestety tylko właściwa edukacja domowa.

Tylko co?

Niestety, w części także patologia, która wyrosła na edukacji domowej, korzystając z przepisów o edukacji domowej. Mówimy przede wszystkim o tzw. szkołach w chmurze, które mają po kilkanaście tysięcy uczniów, z których wielu, zwłaszcza w szkołach ponadpodstawowych, omija obowiązek szkolny, korzystając z przepisów o edukacji domowej. Trzeba więc rozróżnić te dwie rzeczy. Edukację domową niezwykle szanuję i dlatego na samym początku swojego urzędowania podniosłem finansowanie edukacji domowej z poziomu 0,6 do 0,8. Co więcej, bronię tego poziomu finansowania przed zakusami samorządowców, którzy żądają ode mnie, bym obniżył to finansowanie do poziomu 0,2 lub 0,4.

Musimy jednak stworzyć przepisy, które będą ograniczały patologię, i takie przepisy były w ustawie zawetowanej przez prezydenta. Chodzi o to, by egzaminy klasyfikacyjne odbywały się wyłącznie w sposób stacjonarny, pod nadzorem kuratora, żeby móc stwierdzić, że mają one miejsce. To by ukróciło sytuacje, które są niezwykle niekorzystne.

eprasa.pl 04f299c0b7

Musimy stworzyć przepisy, które będą ograniczały patologię, i takie przepisy były w ustawie zawetowanej przez prezydenta

FOT. MINISTERSTWO EDUKACJI I NAUKI

Mówi pan o tzw. Szkole w Chmurze. Rok szkolny zakończyła ona z liczbą ok. 20 tys. uczniów, ale przewiduje się, że we wrześniu będzie ich nawet trzy razy więcej. W jaki sposób MEiN zamierza to „ukrócić"? Będzie „lex Czarnek 3.0" albo inne rozwiązania ustawowe?

Uważam, że dwie rzeczy rozwiązałyby problem – stacjonarne przeprowadzanie egzaminów klasyfikacyjnych ze zgłoszeniem do kuratorium oświaty, aby mogło ono zaplanować wizytę, oraz rejonizacja do województwa macierzystego i sąsiedniego. Wówczas w Szkole w Chmurze zostaliby klasyczni edukatorzy domowi, bo klasycznym edukatorom nie przeszkadzają te rzeczy, o których wspomniałem.

Załóżmy jednak, że nie uda się wprowadzić tych zmian. Co wtedy? Łatwo sobie wyobrazić wiele negatywnych konsekwencji dla dzieci, łącznie z brakiem odpowiedniej socjalizacji społecznej.

To prawda. Przecież tu nie chodzi wyłącznie o edukację, ale to także kwestia socjalizacji, o której pan mówi, przebywania we wspólnocie i kondycji psychologicznej. Jeśli chodzi o wiedzę, to najlepiej to będzie widać po maturach, ale można już wskazać niepokojący trend na poziomie podstawowym. W Szkole w Chmurze wyniki ósmoklasistów prezentowały się poniżej średniej. Jeśli chodzi o język polski, to było to o dziewięć punktów procentowych niżej niż średnia ogólnopolska i aż 12 punktów procentowych mniej niż w Warszawie. W przypadku matematyki było to odpowiednio o 12 i 18 punktów procentowych niżej. Tylko język angielski wyszedł lepiej, ale w tych dwóch kluczowych przedmiotach ta średnia jest wyraźnie niższa. Może to oczywiście wynikać z różnych powodów, ale jednak to są twarde dane. Chcemy jednoznacznie doceniać rodziców, którzy biorą odpowiedzialność za swoje dzieci i poświęcają im swój czas. Chcemy jednak ograniczyć maksymalnie obchodzenie obowiązku szkolnego i desocjalizację.

A może popularność tej formy edukacji pokazuje również, że nie wszystko w systemie jest w porządku? Rodzice tych uczniów wskazują m.in. na przeładowane programy, nielubiane przedmioty, stres oceniania czy nieprzyjazne środowisko w szkole.

Są różne szkoły, a jest ich 25 tys. Są takie, gdzie kadra jest wspaniała, a uczniowie osiągają doskonałe wyniki, a są takie, w których zdarzają się rzeczy, o które pan pyta. Zapewne część rodziców z tych względów podejmuje decyzję o edukacji domowej. Proszę jednak zwrócić uwagę, że edukacja domowa jest najczęstsza w wielkich miastach. Dlaczego? Wynika to m.in. z tego, że w tych wielkich miastach samorządowcy ideologizują szkoły oraz wprowadzają tam lewackie organizacje. Bardzo często z tego powodu rodzice zabierają dzieci, aby je chronić, i przenoszą je do edukacji domowej.

Mówił pan przed chwilą o subwencji dla edukacji domowej. Tymczasem wiceprezydent Warszawy zarzuca MEiN, że ignoruje fakt wzrostu liczby uczniów w trakcie roku szkolnego, ponieważ samorząd otrzymuje subwencję według stanu na koniec września, a nie co miesiąc, jak to miało miejsce np. w przypadku uczniów z Ukrainy. Bierze pan takie rozwiązanie pod uwagę?

Tak, ponieważ niektóre postulaty wiceprezydent Kaznowskiej są zasadne. To nie jest tak, że nie współpracujemy z samorządami wielkich miast. To z panią Kaznowską układaliśmy przepisy dotyczące przyjmowania ukraińskich dzieci do szkół i sposób ich rozliczania. Rozumiem ten postulat, ale biorąc pod uwagę nasze warunki kadrowe, ciężko będzie to spełnić w 100 proc. Jednak ten kierunek jest na pewno godny rozważenia i o nim myślimy.

Zmieńmy temat. Co dalej z edukacją włączającą?

Edukacja włączająca w pozytywnym tego słowa znaczeniu na skalę największą i najbardziej efektywną jest prowadzona przez szkoły specjalne. Jesteśmy zwolennikami rozwoju szkół specjalnych i inwestujemy w nie bezprecedensowe środki. Promujemy szkoły specjalne na niespotykaną skalę, czego dowodem jest np. ogólnopolskie zakończenie roku w takiej placówce oraz planowane rozpoczęcie roku szkolnego 2023/2024. Chcemy pokazać rodzicom dzieci z orzeczeniami o potrzebie kształcenia specjalnego, że najwłaściwsze miejsce jest w szkole specjalnej, bo tam są znakomici specjaliści, oraz że nie trzeba na siłę wpychać tych dzieci do szkół ogólnodostępnych. Oczywiście nie zamierzamy zabierać tego prawa rodzicom, którzy podejmują tę decyzję od wielu lat, ale chcemy pokazać, że w sposób szczególny troszczymy się o szkoły specjalne. Trudno się też dziwić rodzicom, którzy mieliby swoje ukochane dziecko odwieźć

eprasa.pl 04f299c0b7

do odległej, zagrzybiałej i niedoinwestowanej placówki. Kadry w tych szkołach są znakomite, więc chcemy poprawić też ich warunki lokalowe. Czymś, co powstrzyma ideologiczną edukację włączającą na modłę Zachodu promowaną przez UE, będzie radykalne dofinansowanie i rozwój szkolnictwa specjalnego, aby pokazać ten kierunek.

Mówi pan bardzo jasno o szkołach specjalnych. Tymczasem według raportu NIK z lat 2016–2021 w Polsce zlikwidowano 500 takich placówek.

To kwestia decyzji poszczególnych organów prowadzących, czyli samorządów. Jeśli w tych szkołach nie było dzieci, to taką decyzję podejmowali. Mam jednak dane z ubiegłego roku, które wskazują, że tych szkół przybyło, a w ślad za nimi także dzieci. Zresztą pilotaż, który prowadziliśmy, czyli Specjalistyczne Centra Edukacji Włączającej, dał nam czytelne efekty. Nie zamierzamy go kontynuować. Najlepszym efektem jest zespół szkół w Kaliszu. Pod wpływem nauczycieli dwudziestu kilku uczniów trafiło ze szkół ogólnych do szkół specjalnych, dlatego że pokazały one, iż to one mają kompetencje do tego, by udzielać dzieciom wsparcia. To będzie nasz kierunek: promocja i dofinansowanie szkół specjalnych. Jestem w tej sprawie po rozmowie z premierem i prezesem PiS. Sami dyrektorzy mówią mi, że warunki lokalowe są podstawowym powodem, przez który rodzice podejmują decyzję o posłaniu dzieci do szkół ogólnych.

Jak pan patrzy w takim razie na krytykę, która płynie także ze środowisk konserwatywnych? Jak wskazują, edukacja włączająca spowoduje m.in. obniżenie poziomu nauczania i spustoszenie w systemie edukacji.

Jestem zasadniczo tego samego zdania jak ci krytycy. Tylko tych krytyków zapraszam do rozmowy, a nie do pikiet pod MEiN. Kierownictwo tego resortu wspiera na niespotykaną skalę szkolnictwo specjalne. Problem w tym, że ci krytycy nie przyjmują do wiadomości rzeczywistości, która ich otacza. Nasz kierunek ma powstrzymać ideologiczną edukację włączającą, która chce wepchnąć wszystkie dzieci z niepełnosprawnościami do szkół ogólnodostępnych. Owszem, tam jest miejsce dla dzieci z niepełnosprawnościami, bo są różne typy niepełnosprawności, ale są też takie schorzenia, które absolutnie powodują, że przebywanie takich dzieci w szkole ogólnodostępnej szkodzi im, rodzicom i klasie. To jest rzecz, z którą musimy walczyć.

Rok szkolny 2023/2024 przyniesie sporo zmian. Pojawi się nowy przedmiot – biznes i zarządzanie, po latach powróci język łaciński, a do podstawy programowej z polskiego wprowadzono gry wideo.

Nowy przedmiot wynika z otwarcia się na praktykę w podejmowaniu decyzji finansowych np. w sytuacjach jednostkowych. Jesteśmy nastawieni na kontakt z praktykami i szkołami wyższymi. Jeśli chodzi o łacinę, to zyskała ona status języka obcego. To zachęta do powrotu do edukacji klasycznej, której łacina jest podstawą. To nowoczesna przyszłość w oparciu o tradycję. W trzecim przypadku chodzi o pewien ukłon w kierunku polskiego sektora gier, który jest na najwyższym poziomie na świecie. Są takie gry, które warto promować i wykorzystać, jeśli nauczyciele będą chcieli.

> **Dokładamy miliardy złotych i jest to efekt naszych starań, aby pensje nauczycieli były wyższe. I będą wyższe**

Do 14 października szkoły wypłacą nauczycielom nagrody specjalne z okazji 250. rocznicy utworzenia Komisji Edukacji Narodowej. Na ich konta trafi 1125 zł brutto, czyli 900 zł netto. Opozycja wytyka jednak, że nauczyciele zarabiają za mało.

Też tak uważam. Zrobiliśmy jednak krok w kierunku poprawy warunków płacowych. Zwiększyliśmy subwencję oświatową o 24 mld zł, z czego tylko w tym roku o 11 mld. Będziemy to kontynuować, także w związku z podnoszeniem wynagrodzenia minimalnego. Musi być też różnica w wynagrodzeniu między nauczycielem, który jest na końcu drogi zawodowej, a tym, który dopiero na nią wchodzi. Dokładamy miliardy złotych i jest to efekt naszych starań, aby pensje nauczycieli były wyższe. I będą wyższe. Wystąpiliśmy już w tej sprawie do Ministerstwa Finansów i na Radzie Ministrów, co zostało przyjęte ze zrozumieniem. Jednocześnie wymaga to pewnej reorganizacji pracy nauczycieli. Chcemy, żeby było jeszcze mniej biurokracji i jeszcze więcej nauczyciela w szkole dla ucznia. To sprawi, że ten system będzie bardziej efektywny.

Lewica, wraz z ZNP, złożyła w ubiegłym tygodniu w Sejmie projekt ustawy zakładający 20 proc. podwyżki dla pracowników nauki i szkolnictwa wyższego. To realny postulat?

To są te ogromne miliardy, o których mówię. Lewica i ZNP nie dostrzegły faktu, że na przestrzeni ostatnich siedmiu lat podnieśliśmy wynagrodzenia dla najmniej zarabiających nauczycieli o 76 proc., a dyplomowanych, których jest najwięcej, o blisko 50 proc. Będziemy dążyć do spełnienia tego postulatu, ale różnica między nami a Lewicą jest taka, że my to robimy, a oni to tylko głoszą. Kiedy mieli taką możliwość, to tego nie robili. Gdzie był ZNP np. w latach 2012–2015, gdy podwyżki wynosiły 0 proc.? Gdyby podwyższano pensje nauczycieli np. o 5 proc., to bylibyśmy dzisiaj w zupełnie innym miejscu. Jakoś nie widziałem ZNP z postulatami pod adresem rządu PO-PSL.

Na koniec ważny temat dla wielu rodziców. Może pan ich zapewnić, że szkoły, a także uniwersytety, będą wolne od ideologizacji i promocji LGBT?

Zacznę od przykładu – siłą argumentów dokonaliśmy zmiany absurdalnego rozporządzenia rektora Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu, który chciał traktowania zgodnie z tzw. deklarowaną tożsamością płciową. To ma sens. W szkołach zmroziliśmy proces wchodzenia do nich organizacji seksualizujących dzieci. Zmroziliśmy, bo to się nie udaje na taką skalę, na jaką chcieliby to zrobić w największych miastach, a na wsiach oraz w miasteczkach to jeszcze nie weszło i nie wejdzie. Pokazaliśmy skalę szkód, jakie niesie ze sobą neomarksistowska, genderowska rewolucja w szkołach Europy Zachodniej. Przy okazji polecam na ten temat książkę „Woke S.A.", która napisał Vivek Ramaswamy. Chcemy, żeby rodzice mieli realny wpływ na to, czego chcą uczyć organizacje pozarządowe. Dopóki my rządzimy, a MEiN ma takie kierownictwo, dopóty będziemy stawiać tamę wszelkim negatywnym zjawiskom, które znamy z Europy Zachodniej. Proszę też o poparcie obywatelskiego projektu „Chrońmy dzieci, wspierajmy rodziców".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 04f299c0b7

Ambitny pan Weber

Piotr Semka

Manfred Weber jest zdecydowanym wrogiem ekipy Jarosława Kaczyńskiego i będzie się starał zerwać lub choćby rozluźnić więzy pomiędzy partiami zrzeszonymi w EKR. Cały ten polityczny proces będzie jednocześnie walką o zachowanie niemieckiej dominacji w Unii Europejskiej

Są trzy teutońskie wynalazki, które potrafią zwalić z nóg: niemiecki sportowy kabriolet, pędzący z użyciem całej mocy, niemiecka jedenastka, która na mundialu wygrywa w ostatniej minucie meczu, i wreszcie niemiecki polityk na forum europejskim prący do władzy". Te dość malownicze porównania usłyszałem kiedyś w Parlamencie Europejskim od francuskiego gaullisty. Dziś najbardziej znanym politykiem zza Odry, który ma niezwykle ambitne plany jest Manfred Weber, szef Europejskiej Partii Ludowej. W Polsce zasłynął niedawno swoją wypowiedzią o potrzebie stworzenia zapory przeciwogniowej, która ma zatrzymać PiS. Za tę brutalną, ale szczerą deklarację zwolennicy PiS odwdzięczyli się porównaniem Grupy Wagnera do grupy Webera. Jednak chęć pomagania w odsunięciu partii Jarosława Kaczyńskiego od władzy to tylko jeden z elementów planu Webera. Warto poznać go w szczegółach.

WALKA O DUSZĘ GIORGII MELONI

Premier Włoch i polski szef rządu fotografowani w pałacu Na Wodzie w warszawskich Łazienkach w oczach przypadkowego turysty mogliby wyglądać jak para 50-latków przeżywających późną miłość. Szarmancki Mateusz Morawiecki z ogromnym bukietem kwiatów, premier Meloni przesyłająca swemu koledze najbardziej promienne uśmiechy, wspólne zdjęcie na tle łazienkowskiego stawu. Obie strony dbały, aby każdy mógł odnieść wrażenie, że alians na linii Warszawa – Rzym to niezwykle solidna koalicja. Premier Meloni komplementowała polskie władze. „Jest kwestią podstawową, aby PiS i Mateusz Morawiecki nadal stali na czele tego kraju, ponieważ jest to w dobrym interesie całej Europy" – mówiła włoska pani premier.

Szefowa rządu w Rzymie mówiła w Warszawie rzeczy, których w niektórych stolicach europejskich niechętnie się słucha. Na przykład to, że mainstreamowa europejska narracja o włoskich konserwatystach spod znaku Braci Włochów była i jest fałszywa. „W kampanii straszono, że jeśli wygramy, to gospodarka włoska upadnie, a kraj będzie poddany izolacji. Mija osiem miesięcy, a Włochy są szanowanym partnerem na scenie międzynarodowej, a jednocześnie są w stanie bronić interesów narodowych".

Meloni zadbała, aby obsypać Morawieckiego odpowiednią liczbą komplementów. Wyraziła opinię, że Europa powinna podziękować Polsce za jej pracę wykonaną w ciągu ostatnich paru miesięcy, wyraziła uznanie dla polskiego wsparcia dla Ukrainy i wreszcie zadeklarowała, że podziwia Morawieckiego za siłę, z jaką broni narodowych interesów.

Najbardziej drażliwy element wizyty – to, że Włochy poparły wykreowany przez Niemcy europejski pakt solidarności imigracyjnej, a nasz kraj nie – Giorgia Meloni skomentowała tak: „Świetnie rozumiem pozycję Polski, jeśli chodzi o pakt azylu i imigracji. Rozumiem tę trudność w przyjęciu dodatkowych imigrantów. Tym bardziej do kraju, który przecież przyjmuje tak wiele uchodźców ukraińskich. Nigdy nie będę narzekała na kogoś, kto ochrania swoje interesy narodowe. Bo uważam, że jest to coś, co musimy robić dla swojego kraju". Sygnałem życzliwości dla sytuacji Polski były też słowa: „Będziemy pracować na rzecz rozwiązania, które będzie skuteczne dla wszystkich". Meloni dosyć sprawnie połączyła politykę podtrzymania swojego wsparcia dla paktu imigracyjnego z demonstracjami solidarności z Polską.

Spotkanie włoskiej premier z polskim szefem rządu odbyło się przy okazji spotkania frakcji europejskich konserwatystów i reformatorów w Warszawie. W wypadku Meloni było to pośrednie potwierdzenie, że Braciom Włochom w EKR jest dobrze i że na razie nie przewidują żadnych zmian.

Jeśli miała być to demonstracja polityczna, to na pewno słowa Giorgii Meloni uważnie śledził szef Europejskiej Partii Ludowej Manfred Weber. Jednak lider EPL liczy na pragmatyzm włoskiej premier i na wpływy Niemiec w Komisji Europejskiej. Szeroko krąży w Brukseli opinia, że poparcie Meloni dla paktu

eprasa.pl 04f299c0b7

imigracyjnego wymuszono groźbą obcięcia dla Włoch sumy 19 mld euro z KPO. Przeciągnięcie Włoch na stronę zwolenników paktu imigracyjnego w niemieckich mediach przedstawiano jako wspólny sukces kanclerza Olafa Scholza, który przekonał do paktu włoską premier oraz właśnie Manfreda Webera, który bombardował miłością Braci Włochów. – Georgia Meloni postanowiła w Warszawie pokazać, że nie ma zamiaru zmieniać politycznej frakcji w Parlamencie Europejskim – mówi jeden z polskich polityków PiS. – Ale Niemcy nie zaprzestaną kuszenia. Jej słowa, że jest dumna z tego, że „Włochy są szanowanym partnerem na scenie międzynarodowej", pokazują, że może być podatna na propozycję Berlina, aby Italia wróciła do grona głównych rozgrywających w Unii. Na pewno uważnie będzie obserwować wynik wyborów w Polsce – dodaje.

Na froncie polskim Weber od momentu dojścia PiS do władzy był konsekwentnie w kontrze. Demonstracyjnie wspierał polską totalną opozycję

W tej chwili EKR-owskie partie mają w Europie trzech premierów: Mateusza Morawieckiego, Giorgię Meloni i premiera Czech Petra Fialę. Należące do EKR ugrupowanie Prawdziwi Finowie współrządzi w Finlandii, a partia Szwedzcy Demokraci w Szwecji. Wszystko wskazuje na to, że niedługo w Hiszpanii wybory wygra Partia Ludowa wraz z kolejną partią EKR-owską – VOX. To już jakaś siła przed przyszłorocznymi wyborami do europarlamentu. Siłę tę bardzo chciał „oskubać" z wpływów właśnie Manfred Weber.

CUDOWNE DZIECKO Z NIEDERHATZKOFEN

Manfred Weber ma 50 lat, jest w najlepszym wieku, aby myśleć o najwyższych stanowiskach w polityce zarówno niemieckiej, jak i europejskiej. W Parlamencie Europejskim jest od 2004 r. i reprezentuje bawarską CSU. Jak wielu innych polityków z tego landu uwielbia demonstrować, że nie ma żadnej sprzeczności między tradycyjnymi atrybutami ludowości, jak skórzane portki i lodenowe marynareczki folklorystyczne, a najnowszymi technologiami i światowym obyciem.

W Parlamencie Europejskim posługuje się niemal wyłącznie językiem angielskim. Kiedy w czasie pierwszej dekady obecnego wieku zaczął wysuwać się na czoło niemieckich chadeków w Parlamencie Europejskim, niektórzy PiS-owscy eurodeputowani obserwowali to z życzliwością. Bawarska CSU w odróżnieniu od bratniej CDU nie rezygnowała z dobrych relacji z Viktorem Orbánem. W 2014 r. Manfred Weber został szefem frakcji EPL w Parlamencie Europejskim, a w 2022 r. przewodniczącym partii.

Już w 2009 r. „Der Spiegel" opisał go wręcz jako kandydata na „kronprinza" CSU. I rzeczywiście wydawało się, że dwa razy był blisko decyzji o kandydowaniu na szefa bawarskiej partii chrześcijańskiej. Raz, gdy polityczną karierę zwichnął Karl-Theodor zu Guttenberg, a potem w 2018 r., gdy noga powinęła się kolejnemu bawarskiemu politykowi Horstowi Seehoferowi. Jednak po głębszym namyśle Weber zdecydował się, że aspiruje do polityki na forum europejskim.

W wielu aspektach bywa on konserwatystą. W 2009 r., kiedy powstawała koalicja CDU FDP, wzywał: „Musimy znaleźć drogę powrotną do wiarygodności i rzetelności. Musimy wyostrzyć nasz profil w oparciu o nasze zasady. Musimy wrócić do cnót, które uczyniły CDU silną przez ponad 60 lat". W 2018 r. bronił Orbána, mówiąc, że tylko razem z nim, a nie przeciw niemu Europa może rozwiązać problem uchodźców. Wywołał też furię lewicy, gdy mniej więcej w tym samym czasie ostro protestował przeciwko projektowi unijnej ustawy antydyskryminacyjnej, która zdaniem Webera ograniczała swobody państw narodowych i była pożywką dla rozbudowywania biurokracji.

Jednak na froncie polskim Weber od momentu dojścia PiS do władzy w 2015 r. był konsekwentnie w kontrze. Demonstracyjnie wspierał polską totalną opozycję, wiele razy sypał gromy na rządy Beaty Szydło, a potem Mateusza Morawieckiego. Co więcej, formułował

potrzebę tworzenia swoistego kordonu sanitarnego wobec Polski. Skąd taka różnica – niechęć wobec Polski i pobłażliwość wobec Węgier? Weber traktuje kraj Madziarów jako mało konfliktowy dla interesów niemieckich. Co więcej, otwarcie Orbána na Rosję bardzo dobrze pasowało do sposobu myślenia Niemców. A wbrew pozorom bawarska CSU, wzorem np. austriackich wolnościowców i ludowców, zawsze była bardzo otwarta na Władimira Putina. Teraz Manfred Weber szykuje się do być może najważniejszego politycznego roku w swojej karierze.

SZTUKA UWODZENIA

Polityka Webera polega na przyciągnięciu do Europejskiej Partii Ludowej jak największej liczby partii konserwatywnych zgrupowanych w EKR. Z tej racji Manfred Weber wciela się w znaną już sobie rolę obrońcy partii konserwatywnych przed zarzutami o ekstremizm. Oburza się, gdy ktoś z niemieckich kolegów nazywa partię Braci Włochów neofaszystami. W opinii Webera „premier Giorgia Meloni działa konstruktywnie na rzecz rozwiązywania problemów w Europie; rząd federalny też to widzi".

eprasa.pl 04f299c0b7

Manfred Weber ma 50 lat, jest w najlepszym wieku, aby myśleć o najwyższych stanowiskach w polityce zarówno niemieckiej, jak i europejskiej

FOT. PHILIPPE BUISSIN/EP/EUROPEAN UNION

Jedynym problemem, przed którym stoi Manfred Weber, jest jego osobisty rachunek krzywd z Ursulą von der Leyen

Jak wskazuje „Die Welt": „Weber od października już dwukrotnie spotkał się z szefową włoskiego rządu. Drzwi do tych spotkań pomógł otworzyć m.in. włoski minister spraw zagranicznych Antonio Tajani z Forza Italia Silvio Berlusconiego, która również należy do EPL". Manfred Weber bardzo liczy na wpływ Tajaniego na Giorgię Meloni. Szef dyplomacji w jej rządzie jest „mostem" między Braćmi Włochami a europejskimi ludowcami z EPL.

Weber zasypuje też komplementami nowy rząd Petra Fiali w Pradze. Uznaje go za idealnego partnera dla Berlina. Część niemieckich liberalnych gazet, które nie mają ochoty na takie korygowanie raz przyklejonych negatywnych naklejek, oburza się na flirt Webera ze skrajną prawicą.

Weber chce też wyraźnie przeorganizować EPL. Jak pisze dziennik „Die Welt": „Punkt pierwszy tego planu brzmi: EPL powinna stać się efektywniejsza, bardziej przyjazna dla biznesu, nowocześniejsza, świeższa, a także powinna rysować wyraźne ramy dla polityki imigracyjnej całej UE. Drugi punkt: prawicowe partie populistyczne w Europie, które na razie należą jeszcze do frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, mają być od przyszłego roku w miarę możliwości przyciągane i wiązane z rodziną EPL. Niekoniecznie przez szybkie członkostwo tej frakcji, na razie powinien wystarczyć rodzaj wiążącej umowy o współpracy".

W wypadku rządu w Pradze za swój sukces Weber może uznać to, że czeski szef MSW nie sprzeciwił się paktowi o imigracji, przyjmując za dobrą monetę wysyłane z Komisji Europejskiej obietnice rozważenia zwolnienia Czech z obowiązkowych kwot imigrantów w uznaniu dla ich wysiłków na rzecz przyjmowania imigracji z Ukrainy. Czeska ODS rządzi w koalicji z ugrupowaniem czeskich Piratów i Burmistrzów, którzy jawią się jako wyjątkowo eurokonformistyczne ugrupowanie. A na dodatek nowy prezydent Czech Petr Pavel jest także zwolennikiem koordynowania polityki czeskiej z Berlinem.

Co więcej, kanclerz Scholz, który chce, aby w Europie przeszedł jego plan zlikwidowania prawa weta, po cichu zdaje się wspierać działania Manfreda Webera, wiedząc, że w razie tak daleko idącej politycznej zmiany w Unii Niemcy będą zdolne do tworzenia większościowych koalicji, które będą przegłosowywać to, co Berlin będzie chciał.

Jedynym problemem, przed którym stoi Manfred Weber, jest jego osobisty rachunek krzywd z Ursulą von der Leyen. W czasie przed wyborami do europarlamentu w 2019 r. to właśnie on był tzw. Spitzenkandidat EPL na stanowisko szefa Komisji Europejskiej. A jednak w wyniku targów między Angelą Merkel a Emmanuelem Macronem szefową komisji została ostatecznie Ursula von der Leyen. Nic dziwnego, że teraz, gdy pojawia się kwestia nowych wyborów do europarlamentu, i zaraz potem także kwestia wyboru nowego szefa Komisji Europejskiej, Manfred Weber głosi, że równie dobrym kandydatem jak Ursula von der Leyen byłaby obecna szefowa Parlamentu Europejskiego Roberta Metsola z Malty. Jednak jeśli prawdą jest to, co pisze brytyjska prasa, że Joe Biden widzi Ursulę von der Leyen w roli nowego szefa NATO, to Weber być może jest ciut bliżej swoich planów przeforsowania pani Metsoli na szefową Komisji Europejskiej.

Dla PiS wszystkie te roszady niewiele znaczą. Manfred Weber jest zdecydowanym wrogiem ekipy Jarosława Kaczyńskiego i będzie się starał zerwać lub choćby rozluźnić więzy pomiędzy partiami zrzeszonymi w EKR. Cały ten polityczny proces będzie jednocześnie walką o zachowanie niemieckiej dominacji w Unii Europejskiej. Istnienie ECR jest zarówno dla niemieckiej lewicy, jak i prawicy solą w oku. I dlatego mądrzejsi socjaldemokraci gotowi są przymknąć oko na starania Webera o przeciągnięcie niektórych partii tożsamościowych do obozu EPL. W odróżnieniu od polskiej sceny politycznej w Niemczech partie z lewa i prawa instynktownie rozumieją niemiecki interes strategiczny. I Manfred Weber będzie z tego korzystał, jak tylko się da.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 04f299c0b7

FOT. JAKUB KACZMARCZYK/PAP

Rafał A. Ziemkiewicz

Taniec Tuska

Elektorat opozycji przełknął antyimigrancki spot lidera PO. Ważne okazało się tylko to, że wyprowadził udany cios w PiS. Czy Donald Tusk nie ma wyjścia i przywdzieje strój „faszysty"?

Lider opozycji pokazał już w tej kampanii, że cokolwiek obieca PiS, on obieca to samo, tylko dwa razy więcej. Teraz sięgnął po kolejną kartę: czymkolwiek PiS postraszy, on postraszy tym samym dwa razy bardziej. W odpowiedzi na zaproponowane przez partię rządzącą referendum przeciwko przymusowej relokacji do Polski nielegalnych imigrantów z innych krajów UE Tusk oskarżył rząd PiS o zamiar sprowadzenia do Polski 150 tys. muzułmanów.

Cała dotychczasowa propaganda obozu lewicowo-liberalnego głosiła latami, że bezwarunkowe przyjmowanie „uchodźców" (także „uchodźców ekonomicznych" i „uchodźców klimatycznych") jest obowiązkiem sumienia, powinnością moralną i jakiekolwiek uchylanie się od tej powinności bądź jej kwestionowanie, szczególnie jeśli motywowane jest „islamofobią", to zbrodnia równie ciężka, jak rasizm i faszyzm (z których zresztą wynika). Podczas gali Nagrody Literackiej „Nike" kapituła, nominowani i zaproszeni intelektualiści pajacowali z transparentami potępiającymi prześladowanie „uchodźców" na granicy z Białorusią, media liberalnej lewicy prześcigały się w darciu szat nad męczeństwem migrantów, czego symbolem stał się reportaż TVN24 o Ahmedzie, który „przez sześć dni musiał ukrywać się przed prześladowcami z polskiej Straży Granicznej pod wodą", a korowód „ekspertów" zapewniał mieszkańców antypisowskiej „bańki", że „osoby migrujące" ubogacają kraje docelowe zarówno kulturowo, jak i ekonomicznie. Oskarżenie „ciemnego ludu" o niską, rasową niechęć do migrantów, wyrażane chętnie symbolami religijnymi (iluż postępowych plakaciarzy eksploatowało motyw Matki Boskiej z Dzieciątkiem za zwojami drutu żyletkowego czy obrazki Świętej Rodziny jako ofiar Straży Granicznej!), stało się jednym z najważniejszych elementów wyższościowego dyskursu lewicowo-liberalnych elit, budowania poczucia swej moralnej supremacji, przewagi nad tłuszczą. „Refugees welcome" wyznaczało w ostatnich latach granice Salonu nie mniej niż Jedwabne i rozliczanie „polskiego antysemityzmu".

GWAŁTOWNY ZWROT

Wszystko to z dnia na dzień zostało przez idola tych środowisk – histerycznie przecież zaangażowanych w propagowanie „jednej listy", czyli w praktyce bezwarunkowego poddania innych polityków anty-PiS Tuskowi – całkowicie odwrócone.

Gwałtowność zwrotu opozycji w stosunku do migrantów była tak duża, że prawie nie zauważono, iż straszenie Polaków napływem 150 tys. muzułmanów stanowiło w głośnym filmie Tuska tylko element spiskowej teorii, godnej „Jaszczura" Jabłonowskiego: Kaczyński sprowadza migrantów z krajów muzułmańskich CELOWO, po to, by wywołać napięcia społeczne na wzór Francji, zyskać w ten sposób pretekst do wprowadzenia stanu wyjątkowego, odwołania wyborów i zlikwidowania demokracji oraz wolności obywatelskich.

Polemizowanie na serio z tezami wygłoszonymi przez Tuska byłoby zniewagą dla inteligencji podejmującego taką dyskusję. Wszystko jest tu kompletną bzdurą, począwszy od liczby 150 tys. (to liczba wstępnych wniosków o zgodę na ubieganie się w Polsce o pracę, nawet nie o pobyt czasowy), poprzez zrównanie legalnie pracujących w Polsce cudzoziemców z nielegalnymi migrantami, których chce pod rygorem kar finansowych relokować do nas Komisja Europejska, a skończywszy na sugestii, że sprowadzając 150 tys. dopiero ubiegających się o zezwolenia muzułmanów, mógłby Kaczyński wytworzyć w Polsce jeszcze przed październikowymi wyborami społeczne napięcia, które we Francji potrzebowały narastać przez dwa–trzy pokolenia.

W politycznej propagandzie jednak ataki zupełnie bezsensowne miewają większą

eprasa.pl 04f299c0b7

siłę niż te merytoryczne – PO zdołała już dawno przerobić tę lekcję, np. upowszechniając przed wyborami prezydenckimi 2010 r. obleśne memy o „pierwszej damie sikającej do kuwety" czy, kilka lat wcześniej, o „zabieraniu babci dowodu". PiS także wyciągnął z dotychczasowych doświadczeń wnioski i najwyraźniej ocenił narrację „co tam kilka tysięcy relokowanych, gdy PiS nasyła na nas 150 tys. muzułmanów" jako groźną, ponieważ błyskawicznie, następnego dnia, wycofał się z prac nad rozporządzeniem, które miało uregulować kwestię udzielania zezwoleń na pracę i które wykorzystał Tusk jako pretekst.

RZĄD SIĘ WYSTRASZYŁ

Jest to fatalna wiadomość dla Polski; nie dlatego, żeby przedstawiony dwa tygodnie temu projekt rozporządzenia był szczególnie udany, ale dlatego, że w ogóle był. Sprawa niekontrolowanego sprowadzania do Polski pracowników z Bangladeszu, Pakistanu i innych skrajnie biednych i obcych nam kulturowo obszarów, potencjalnie stanowiąca jedno z największych zagrożeń dla Polski w perspektywie nadchodzących dekad, wygląda dziś podobnie, jak np. przez lata wyglądała sprawa restytucji mienia. Każdy rząd bał się tykać reprywatyzacji, bojąc się oskarżeń o oddawanie bogactw „jaśnie panom i obszarnikom" czy Żydom – aż patologie „dzikiej reprywatyzacji" doprowadziły do rozległych i nieodwracalnych szkód. Analogicznie, wraz ze wzrostem gospodarczym, narasta ostatnimi laty patologiczna „dzika" imigracja. Kontrola nad wydawaniem zezwoleń na pracę jest symboliczna, nad tymi, którzy z tymi zezwoleniami przyjeżdżają, nie ma nawet i takiej, a firmy sprowadzające pracowników robią, co chcą i jak chcą. Z jednej strony, nie ma żadnych przeszkód w fałszowaniu wniosków (podobnie jak istnieją lekarze, którzy wystawiają codziennie tysiące e-recept, tak istnieją wedle mojej wiedzy firmy, które „zapotrzebowały" we wspomnianych firmach już dziesiątek tysięcy zagranicznych pracowników, i żadnego nigdy nie zatrudniły), z drugiej, wielki napływ taniej siły roboczej to skutek „uberyzacji" pracy przez wielkie koncerny, gdyż to one właśnie, dzięki wykorzystywaniu migrantów, „wyrabiają" imponujące statystyki naszego PKB. Cechą „uberyzacji" zaś jest, że koncerny wyciągają z niej zyski, które transferują do rajów podatkowych, natomiast społeczne koszty pozostawania w Polsce ludzi do osiągnięcia tych zysków wykorzystanych spadają na miejscowe państwo i naród.

Jest to temat na pilną i poważną dyskusję, którą propagandowy strzał Tuska raczej uniemożliwia, niż przybliża (choć widać pewne plusy wrzucenia przez niego tematu do mediów: próbę wykorzystania jego akcji do przedstawienia konkretnego, a więc zignorowanego przez media programu przez Konfederację, i ogólną zmianę atmosfery, sprawiającą, że nawet Adrian Zandberg zaczął publicznie apelować o działania pozwalające zachować kulturową i narodowościową spójność Polski). Jeśli jednak patrzeć na sprawę wyłącznie w kategoriach doraźnej gry wyborczej, to zmuszenie PiS do wycofania się z prac nad rozporządzeniem jest taktycznym sukcesem Tuska.

Świadomość tego sukcesu nieco osłodziła środowiskom lewicowo-liberalnym to, że Tusk brutalnie obnażył ich hipokryzję i degrengoladę, zmuszając do podążania za swoją woltą. Bo publiczne wyrazy niezadowolenia, czy choćby tylko zdziwienia jego kolejnym wizerunkowym fikołkiem, były raczej nieliczne. Niektórzy w mniej lub bardziej oględnych słowach zauważyli, że Tusk, który dopiero co umizgiwał się do skrajnej lewicy obietnicą aborcji na życzenie i mieszkań jako „prawa nie towaru", a teraz z dnia na dzień przelicytowuje w propagandzie „islamofobicznej" i „ksenofobicznej" środowiska narodowo-radykalne, może równie dobrze zacząć jutro straszyć „tęczową zarazą", zboczeńcami, którzy „każdego dnia są innej płci", albo żydowskim spiskiem – dosłownie, może powiedzieć wszystko, co akurat wyda mu się politycznie opłacalne. Jednak jako całość obóz lewicowo-liberalny nową linię Tuska zaakceptował i przechodząc do porządku dziennego nad okazywanymi w ten sposób cynizmem i obłudą, gorliwie zajął się upowszechnianiem partyjnego przekazu PO, że Tusk „znokautował" Kaczyńskiego, „obnażył obłudę PiS", „mistrzowsko zneutralizował potencjalnie niekorzystną polaryzację", „wywalił PiS-owi w kosmos to całe referendum" etc. – a usłużni dziennikarze „wolnych mediów" dokonywali erystycznych cudów, by udowodnić, że Tusk, mówiąc to, co powiedział, nie powiedział tego, co powiedział, i że straszenie Polaków burdami i zamieszkami wywołanymi przez specjalnie w tym celu sprowadzonych przez PiS muzułmanów nie jest bynajmniej krzewieniem „islamofobii".

Niejako przy okazji pokazał Tusk, że w obrębie swojej bańki może teraz wszystko – i cała lewicowo-liberalna elita z dnia na dzień zacznie głosić wraz z nim to, co wczoraj potępiała. Wraz ze zdobyciem supremacji w anty-PiS skończył się, jak to tutaj przewidywaliśmy, mechanizm „kręcenia psem przez medialny ogon". Gdy nie ma już liczących się konkurentów, nie musi Tusk obawiać się buntu „tefałenów". Przynajmniej do wyborów.

Zwolennicy Tuska chcą od niego tylko jednego: żeby wygrał z PiS i przywrócił im społeczną pozycję, jaką mieli, zanim PiS-owskie „chamstwo" ją zakwestionowało. Jeśli wygrana z PiS wymaga przyjęcia retoryki rasistowskiej, homofobicznej, nawet antyeuropejskiej, ba, gorzej nawet, publicznego uznania, że są tylko dwie płci – wejdą w to, zatykając uszy i nosy. „Po dzisiejszym filmie Tuska jestem pewien, że do końca lipca PO przeskoczy 35 proc. poparcia" – pośpieszył ze swoim codziennym internetowym „łubudubu, łubudubu" Roman Giertych, którego sama obecność na lewicowo-liberalnych salonach jest dobitnym dowodem ich moralnego rozkładu. „Do końca lipca będzie w okolicach 40 proc." – przelicytował go Tomasz Lis. Większość zwolenników lewicowo-liberalnej opozycji zdaje się podzielać ich wiarę.

Czy rzeczywiście wystarczy być „takim jak PiS, tylko bardziej", żeby wygrać? Specjaliści od marketingu politycznego powiedzą, że nie, że trzeba zbudować własną narrację. Jednak Tusk ma doświadczenie roku 2007, kiedy to (kto dziś pamięta?) poprzez przejęcie z PiS Sikorskiego, Pitery i Mężydły oraz narrację „PiS nie umie rozbić postkomunistycznego Układu, ja jestem lepszym PiS i ja go rozbiję", wygrał. Czy możliwe jest powtórzenie tego sukcesu?

Spytajmy inaczej: A czy w sytuacji, gdy jego tradycyjna narracja „proeuropejska" rozchodzi się coraz bardziej z nastrojami Polaków, Tusk ma inne wyjście niż zmienić wizerunek na „faszystę", bez względu na to, jak ryzykowny jest to zabieg?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 04f299c0b7

Samorządowa ściema

Łukasz Warzecha

Wymuszanie opłat za wjeżdżanie do centrów miast na posiadaczach starych samochodów jest obłudne. Na szczęście zrzeszają się aktywiści samochodowi, którzy chcą zwalczać te szkodliwe pomysły

Jest 1 lipca 2024 r. Mieszkają państwo w Warszawie, w jednej z centralnych dzielnic, i są państwo posiadaczami niezawodnego 19-letniego samochodu z silnikiem Diesla. Auto jest zadbane, oszczędne i znacznie trwalsze niż obecnie produkowane pojazdy. Nie chcą się z nim państwo rozstawać. Może posłużyć jeszcze przez lata. Okazuje się jednak, że tego dnia nie mogą nim państwo już wyjechać z miejsca parkingowego. Mają państwo samochód, którego nie da się używać.

Od tego bowiem dnia w stolicy ma wejść w życie strefa czystego transportu, która na początek wyeliminuje z ruchu samochody z silnikiem Diesla z normą Euro 4, a więc co najmniej 18-letnie. Gdy proces wprowadzania SCT zakończy

eprasa.pl 04f299c0b7

Optymistyczne plakaty w Warszawie nie mówią, że strefy czystego transportu oznaczać będą dla wielu zakaz poruszania się samochodami

FOT. KAROLINA MISZTAL/REPORTER

się w 2032 r., z objętych strefą ulic mają zniknąć samochody z silnikiem benzynowym starsze niż 17 lat – a więc wyprodukowane najpóźniej w 2015 r., czyli zaledwie osiem lat temu – i diesle starsze niż 11 lat, czyli najdalej z roku 2021. Powstałe ledwo dwa lata temu!

Ostatecznie SCT dotknie 23 proc. pojazdów zarejestrowanych w Warszawie – blisko jedną czwartą. Nie jest to jednak cały obraz. Z jednej strony w stolicy zarejestrowanych jest wiele pojazdów firmowych, które po niej na co dzień nie jeżdżą, ale z drugiej SCT obejmie przecież wszystkie samochody – również przyjezdnych. W tym osób, które korzystają z nich na co dzień, dojeżdżając do pracy czy nawet do któregoś z parkingów w mieście, żeby potem przesiąść się do komunikacji publicznej.

PRAWICA KRYTUKUJE WŁASNE DECYZJE?

Wprowadzenie stref czystego transportu we wszystkich miastach, gdzie jest to planowane (jako jedyna uchwałę podjęła dotąd rada Krakowa, ale do sądu zaskarżył ją wojewoda), jest uzasadniane identycznie: ma być czyściej, przyjemniej, a mieszkańcy się cieszą. Do tego dochodzą pokrzykiwania antysamochodowych aktywistów miejskich, którzy najchętniej zakazaliby używania samochodów w ogóle. Całkowicie lekceważy się negatywne skutki dla przedsiębiorców i mieszkańców, tak jakby to rozwiązanie miało jedynie dobre strony.

Dzisiaj jednymi z najgłośniej krytykujących projekty stref są politycy Zjednoczonej Prawicy. Problem w tym, że to właśnie Zjednoczona Prawica umieściła w polskim prawie koncepcję SCT, a potem ją jeszcze zaostrzyła. SCT znalazły się w Ustawie o elektromobilności z 11 stycznia 2018 r., najpierw jeszcze z pewnymi ograniczeniami, dotyczącymi m.in. liczby mieszkańców gminy, która taką strefę chciałaby stworzyć. Po nowelizacji z 2021 r. kryterium wielkości gminy zniknęło, więc teoretycznie SCT może wprowadzić nawet każda najmniejsza gmina.

Pojawiły się też inne negatywne zmiany. Na podstawie ustawy do SCT mogą wjeżdżać jedynie pojazdy w pełni elektryczne, napędzane wodorem oraz CNG. Jednak do strefy nie wjadą już pojazdy zasilane CNG (gazem ziemnym) z dodatkowym bakiem na benzynę o pojemności przekraczającej 15 litrów (w pierwszej wersji ustawy takiego ograniczenia nie było). Do SCT wjądą też te pojazdy, które wyłączy uchwała gminy – zatem to gminy mogą dość dowolnie kształtować zakres działania strefy. Poza tym ustawa zwalnia z ograniczeń pojazdy służb różnego rodzaju, a także wykorzystywane przez niepełnosprawnych. Na tym koniec. Ustawodawca nie przewidział nawet wyjątków dla pojazdów zabytkowych, o przedsiębiorcach nie mówiąc. A to oni z powodu SCT oberwą najbardziej, bo to właśnie biznes używa przede wszystkim samochodów dostawczych z silnikiem Diesla. Ustawa nie robi też wyjątków np. dla pojazdów używanych w budownictwie czy przy jakichkolwiek specjalistycznych pracach. Te zostaną zapewne wyłączone na mocy uchwały rady gminy.

UBODZY – WON!

Przepisy skonstruowano w taki sposób, że samorządy dostały finansowy impuls, żeby strefy ustanawiać. Można bowiem wprowadzić opłaty za wjazd do strefy. Samo to pokazuje, jaki jest charakter tej regulacji: jeśli jesteś wystarczająco zamożny, to będziesz mógł pojawić się w SCT w nawet najbardziej kopcącym starym dieslu. Ubożsi natomiast – won! Wprawdzie pozyskany z opłat za wjazd do SCT dochód może być użyty jedynie na zakup środków transportu zbiorowego oraz, a jakże, systemu rowerków miejskich, ale to i tak wystarczający bodziec, żeby zarabiać na wjeździe do niej. Ustawa ustanawia maksymalny abonament miesięczny na poziomie 500 zł. Dla ogromnej części Polaków to cena zaporowa.

To Zjednoczona Prawica umieściła w polskim prawie koncepcję stref czystego transportu, a potem ją jeszcze zaostrzyła

Jakie były motywacje Zjednoczonej Prawicy, gdy jej posłowie – również ci dzisiaj pomstujący na samorządy wprowadzające SCT – zgodnie głosowali za przyjęciem ustawy – nie sposób powiedzieć. Być może chodziło o to, żeby później można było oskarżyć kierowane przez PO samorządy o działanie przeciwko mieszkańcom. A może po prostu nie rozważano w ogóle skutków i chodziło jedynie o to, żeby rząd Mateusza Morawieckiego mógł się prezentować jako nowoczesny. Wszak w grudniu 2018 r. w Katowicach odbywał się międzyna-

eprasa.pl 04f299c0b7

rodowy szczyt klimatyczny COP24, organizowany przez późniejszego ministra klimatu Michała Kurtykę. Kurtyka potem lansował się na tym, że zaprosił na szczyt Gretę Thunberg.

Wówczas mało kto zwracał uwagę na zagrożenia, jakie wiążą się z koncepcją SCT. Ja byłem jednym z tych, którzy ostrzegali już wtedy przed konsekwencjami. Najbardziej znanym absurdem, związanym ze strefami, jest kwestia oznaczenia pojazdów uprawnionych do wjazdu. Nie ma bowiem krajowego standardu naklejek. Każdy samorząd może ustanowić własne, więc jeśli stref powstanie więcej, a my będziemy się przemieszczać po różnych miastach z SCT, to być może będziemy musieli nakleić sobie na szybę trzy, cztery naklejki czy więcej.

Samorządy tłumaczą się, że zostały zobligowane do wprowadzenia stref poprzez zapisy polskiego KPO. W jakiejś mierze jest to niestety prawda – a trzeba przypomnieć, że rząd nadal nie wytłumaczył się z tego, w jaki sposób zapisy KPO były negocjowane, jak powstawały, kto za nie odpowiada. Faktycznie, warunek E1L mówi: „W akcie prawnym ustanowiony zostanie od I kw. 2025 r. obowiązek tworzenia stref transportu niskoemisyjnego w miastach powyżej 100 000 mieszkańców, w których występuje przekroczenie poziomów szkodliwych substancji w stosunku do unijnych progów zanieczyszczenia powietrza, oraz przewidziane zostanie rozszerzenie możliwości ich wprowadzania na wszystkie obszary miejskie, niezależnie od liczby mieszkańców". E2L dodaje: „Strefy transportu niskoemisyjnego będą obowiązkowe w miastach powyżej 100 000 mieszkańców, w których przekroczone zostaną progi jakości powietrza".

Jednak tłumaczenie samorządów jest obłudne. SCT w takim kształcie, jak planuje je Warszawa czy uchwalił Kraków, to podejście maksymalistyczne. Ani ustawa, ani KPO nie mówią przecież, jaka ma być wielkość stref. Nawet gdyby uznać, że obowiązek ich wprowadzenia faktycznie wynika z KPO, gmina może wprowadzić taką strefę na minimalnym obszarze, np. tylko starego miasta, jednocześnie stosując maksymalne wyłączenia – dla mieszkańców, prowadzących biznesy, pojazdów zabytkowych. Koszt miesięcznego abonamentu jest również dowolny i można go ustawić nawet na poziomie symbolicznej złotówki. Wszystko zależy jedynie od woli zarządu miasta i rady gminy. Winę za to, że wskutek wprowadzania SCT oberwą zwykli ludzie, którym bardzo utrudni się życie, ponoszą zatem solidarnie obóz rządzący oraz samorządy, prowadzące agresywną antysamochodową politykę.

OBYWATELE, KTÓRZY SIĘ NIE GODZĄ

Jednak ostatnio coś się zmieniło. W wielu miastach Polski zaczynają powstawać organizacje grupujące obywateli niegodzących się z kierunkiem miejskiej polityki. Ta strona sporu ma o wiele trudniej. Po pierwsze – nie jest hołubiona przez lewicowych polityków, rządzących wielkimi miastami. Po drugie – lewaccy aktywiści, tacy jak z warszawskiego ruchu Miasto Jest Nasze, nie zajmują się niczym innym. Są aktywistami zawodowymi. Obstawiają wszystkie tzw. konsultacje publiczne, lobbują, dostarczają władzom miast uzasadnień i pretekstów do uderzania w kierowców. Zwykli mieszkańcy orientują się na ogół po fakcie, że działo się coś złego – a wtedy jest już za późno. Ci, którzy na działaniach „miastojanuszy" i władz gmin cierpią, to na ogół zapracowani ludzie, którzy nie mogą całego swojego życia poświęcić na aktywizm.

Samorządy tłumaczą, że zostały zobligowane do wprowadzenia stref poprzez zapisy polskiego KPO. To tłumaczenie obłudne

Dlatego tak cenne są inicjatywy takie jak warszawska grupa Stop Korkom, kierowana przez Pawła Skwierawskiego, Fundacja im. Stefana Starzyńskiego Jakuba Dobromilskiego czy wrocławski WIR Masz Głos Pawła Nogala (WIR to weto obywatelskie, inicjatywa obywatelska, referendum – odwołania do narzędzi demokracji bezpośredniej). Podobne środowiska istnieją albo zawiązują się w Łodzi, Gdańsku, Poznaniu.

W ciągu ostatnich miesięcy miałem okazję wziąć udział w dwóch wydarzeniach, zorganizowanych przez wspomniane środowiska. 13 maja w Warszawie odbył się Kongres Mobilności „NapędzaMY Warszawę", zorganizowany przez Stop Korkom, Fundację im. Starzyńskiego, Bezpartyjnych Samorządowców i Mazowiecką Wspólnotę Samorządową. Zaskoczeniem mogło być to, że tak duża grupa stołecznych gminnych polityków nie podpisuje się pod linią Rafała Trzaskowskiego. Wprowadzenie SCT w stolicy było jednym z głównych tematów wystąpień.

21 czerwca natomiast we Wrocławiu WIR Masz Głos zorganizowało otwarte spotkanie poświęcone planom SCT we Wrocławiu i szerzej – polityce antysamochodowej prezydenta Sutryka. Do dyskusji zostali zaproszeni wrocławscy radni i urzędnicy, którzy jednak nie zaszczycili obywatelskiej inicjatywy swoją obecnością. Pojawił się jedynie radny Robert Grzechnik, prezes regionu Nowej Nadziei, partii Sławomira Mentzena.

Podczas obu spotkań obalona została główna linia argumentacji samorządów, które twierdzą, że wprowadzenie SCT spowoduje znaczący spadek emisji zanieczyszczeń. Warszawa przedstawia tu nawet konkretne wyliczenia: do 2030 r. ilość tlenków azotu ma spaść o 80 proc., a pyłów (PM) o 69 proc. Tyle że to nieprawda.

Podczas obu spotkań – w Warszawie i we Wrocławiu – przedstawiono oparte na danych NASA porównania stanu powietrza nad Polską w czasie ścisłego lockdownu w 2020 r., gdy ruch samochodowy spadł o ok. 70 proc., oraz w czasie normalnym. Okazuje się, że nie ma tu praktycznie żadnej korelacji, jeśli idzie o pyły zawieszone – ba, w zimnych miesiącach lockdownowych zanieczyszczenie było nawet większe, mimo drastycznego spadku ruchu samochodowego. Dodatkowo okazuje się, że na mapie Europy jako mocno zanieczyszczone wyróżniały się miasta, w których SCT już są! Na przykład Trondheim w Norwegii czy Barcelona w Hiszpanii. Korelacja z poziomem tlenków azotu była zaś minimalna – spadek sięgał raptem kilku procent i był zupełnie nieproporcjonalny do spadku ruchu aut. Skąd zatem szacunki m.in. samorządu Warszawy? Być może odpowiedzi należy szukać w tym, kto te opracowania przygotowywał. Praktyką jest bowiem

eprasa.pl 04f299c0b7

korzystanie z organizacji lobbujących za ograniczeniem motoryzacji spalinowej i za elektromobilnością.

Organizacje obywatelskie wskazują też na aspekt prawny. SCT oznacza bowiem uderzenie w konstytucyjne prawo do dysponowania swoją własnością: setki tysięcy ludzi będą w posiadaniu legalnie nabytych pojazdów, których nie będą mogły używać we własnym mieście, a nawet dojechać nimi w pobliże domu. Jednocześnie ani władza centralna, projektująca przepisy o SCT, ani oczywiście samorządy nie przewidziały żadnych rekompensat, które ułatwiłyby ludziom wymianę aut na nowe, rzekomo czystsze. Paradoksalnie efekt może być odwrotny do zamierzonego: ludzie potrzebujący samochodu będą kupować auta jeszcze starsze, żeby zarejestrować je jako zabytkowe i móc nimi nadal jeździć – bo gminy zapowiadają, że pojazdy zabytkowe do SCT zostaną dopuszczone. A będą to samochody niespełniające już żadnych norm EURO. Tak mogą zrobić np. ci, którzy potrzebują samochodu, żeby opiekować się kimś starszym, mieszkającym w SCT. Wyjątków dla takich osób oczywiście ani ustawodawca, ani gmina nie uwzględniły.

Organizacje reprezentujące prawdziwy głos obywateli zaczynają rozmawiać o połączeniu sił

Podczas kongresu „NapędzaMY Warszawę" został zaprezentowany pomysł referendum, w którym mieszkańcy miasta opowiedzieliby się przeciwko nie tylko SCT, lecz także postępującej dyskryminacji zmotoryzowanych. Obecnie zbierane są podpisy, a wniosek ma zostać skierowany do rady miasta. Jeśli zostanie odrzucony, to inicjatorzy liczą na uchwalenie przez Sejm nowelizacji ustawy o referendum lokalnym (projekt Pawła Kukiza), która dałaby im do ręki potężną broń i pozwoliła w przyszłym roku na zorganizowanie głosowania już bez łaski rady gminy.

O referendum w stolicy zaczęli też mówić politycy Zjednoczonej Prawicy. Stop Korkom wytknęło tu hipokryzję Sebastianowi Kalecie z Suwerennej Polski, bo przecież i on głosował za ustawą o elektromobilności. Mimo to gdyby posłowie obozu władzy chcieli swój błąd naprawić, to wciąż mogą: wystarczy znowelizować ustawę. Paweł Nogal z WIR Masz Głos wskazuje w rozmowie z „Do Rzeczy", że należałoby wprowadzić do niej przepisy ustanawiające rzeczywiste, a nie fikcyjne, jak jest obecnie, konsultacje społeczne w sprawie SCT oraz zapisać wyraźnie, że mieszkańcy mają prawo podważyć uchwałę ustanawiającą strefę w referendum lokalnym. Zamiast więc gardłować o mało realnym w tej chwili referendum na wniosek radnych PiS, niech posłowie po prostu wezmą się do pracy na ostatniej prostej tego parlamentu.

Tymczasem organizacje reprezentujące prawdziwy głos obywateli zaczynają rozmawiać o połączeniu sił na ogólnopolskim poziomie, rozumiejąc, że tylko w ten sposób uda się zahamować wywłaszczanie ludzi z własnych środków transportu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

LECZENIE I REHABILITACJA

POBYTY: Zdrowy Kręgosłup, Neurologiczny, Dla Aktywnych, Biodra, Kolana, Bark, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

Pobyty w terminach: 10.07 – 24.09.2023r.

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu

• Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie • Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna • • Specjalistyczne konsultacje lekarskie •

*możliwa dopłata

tel. 54 416 70 00 www.podtezniami.pl

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II, ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek

eprasa.pl 04f299c0b7

Świat na opak

Zuzanna Dąbrowska

Strażnicy ideologicznej poprawności coraz skrupulatniej pilnują, aby każdy nie tylko postępował, lecz także myślał w zgodzie z nowymi „normami". Aby je naruszyć, wystarczy stwierdzić, że marzy się o wnukach. Przekonał się o tym ostatnio gość dziennikarza TVN24

Kurczę, no naprawdę źle, że pan to powiedział. Ja czuję, że źle – tak dziennikarz TVN24 Piotr Jacoń beształ Aleksandra Kwaśniewskiego podczas wywiadu. Co takiego szokującego powiedział były prezydent? Stwierdził, że on chciałby mieć wnuki, a jego córka nie chce mieć dzieci. Jacoń naskoczył na polityka, że nie powinien nawet o tym mówić. I nic nie dało tłumaczenie Kwaśniewskiego, że z córką o tym nie rozmawia, bo rozumieją swoje zdania, tylko rozmawia o tym z dziennikarzem, który sam go o tę sprawę zapytał.

Kwaśniewscy wystąpili niedawno na okładce lifestyle'owego magazynu „Viva!" – w środku można było przeczytać wywiad, który córka przeprowadziła z byłym prezydentem. Ich relacja wydaje się bardzo bliska, co widać też w mediach społecznościowych 42-latki, która regularnie prowadzi „lajwy" (transmisje na żywo) z udziałem ojca. Tymczasem dziennikarz TVN24 uznał, że właściwe jest strofowanie Aleksandra Kwaśniewskiego w kwestii jego osobistych marzeń, dotyczących przecież sprawy tak prywatnej i jednocześnie fundamentalnej jak rodzina. Ostatecznie Jacoń wymusił na swoim rozmówcy przeprosiny.

Niedługo po tym Jacoń sam wystosował przeprosiny. „Tak. Wyszedłem z roli. Oceniłem, a właściwie skrytykowałem kogoś za jego pogląd. Nie powinienem. Wystarczyło wyrazić pogląd własny – w tym przypadku przeciwny. […] Tu nie ma pokory. Przepraszam. Taka nauka" – napisał na Instagramie.

Zdecydowana większość widzów potępiła dziennikarza, który ma na swoim

Piotr Jacoń z TVN24 zbeształ podczas wywiadu Aleksandra Kwaśniewskiego za to, że powiedział, iż chciałby mieć wnuki FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 04f299c0b7

koncie wcześniejszą głośną aferę wokół programu „Szkło kontaktowe" (pisałam o tym szerzej w tekście „Potłuczone szkiełko", „Do Rzeczy" nr 26/2023). Tomasz Lis stwierdził, że „redaktor Jacoń nie poprzestał na Daukszewiczu, ale teraz z impetem zaatakował Aleksandra Kwaśniewskiego za to, że ten bezczelnie przyznał, iż chciałby mieć wnuki". I podsumował: „Komuś odjechał pociąg, peron i całe linie kolejowe". Z kolei wykluczana przez środowisko trans i radykalnych aborcjonistek feministka Kaya Szulczewska oceniała, że „Jacoń się rozpędził, bo media dają mu fory, odkąd ogłosił się ojcem »transdziecka«. On się czuje namaszczony do pouczania wszystkich i bycia moralnym kompasem".

TO TYLKO ZWIASTUN TEGO, CO NAS CZEKA?

Piotr Jacoń wyszedł w ideologicznej rewolucji przed szereg, jednak warto się zastanowić, czy nie jest po prostu kwestią czasu, aż postawy takie jak jego staną się powszechne. Być może dziennikarz jest po prostu trendsetterem, a jak wiadomo, tacy niekiedy mają pod górkę. Podobnie było z innymi antywartościami, które do niedawna budziły śmiech lub zdziwienie. Dziś podtyka się je nam od rana do wieczora z natężeniem, które rośnie nie z roku na rok, ale z miesiąca na miesiąc. Idąc tropem „antynatalistycznym", warto zwrócić uwagę na – napiszmy to wprost – wrogą dzieciom propagandę.

Temat „żałowania" macierzyństwa jest obecny na wszystkich portalach lifestyle'owych przeznaczonych dla kobiet. Poświęca mu się podcasty i książki. A to wszystko w dobie kryzysu demograficznego, z którym boryka się Polska. W 2022 r. urodziło się w Polsce zaledwie 305 tys. dzieci, najmniej od czasów drugiej wojny światowej. „Współcześni rodzice są zmęczeni, trudno im znaleźć czas dla siebie, czują, że nie są w stanie sprostać oczekiwaniom. I jeśli nie potrafią sobie z tym poradzić, to mogą za swój stan obwiniać to, że zdecydowali się na dzieci" – mówi w rozmowie z „Wysokimi Obcasami" dr Konrad Piotrowski, psycholog i autor badań. Serwuje czytelnikom dane z własnych badań. Ma z nich wynikać, że 13 proc. młodych polskich rodziców żałuje decyzji o posiadaniu dzieci. Psycholog kreśli obraz rzeczywistości, w którym niechęć do własnych dzieci jest czymś normalnym. „Na pewno nie jest tak, że żałowanie decyzji o rodzicielstwie jest typowe dla singli i osób w trudnej sytuacji finansowej. Kiedy spojrzymy z lotu ptaka na Polskę i każdy inny kraj, gdzie prowadzono podobne badania, to znajdziemy takie postawy w każdej grupie społecznej. Różne będą tylko przyczyny" – przekonuje.

Ten sam magazyn publikuje wiele podobnych treści. W liście od jednej z czytelniczek czytamy, że „karmi piersią, naturalnie. Przecież dzięki temu dziecko będzie zdrowsze. Nawet jeśli ma poranione, krwawiące brodawki. Oczywiście czytała badania na ten temat. Jak dziecko ma być szczęśliwsze i zdrowsze, to trudno, ona się pomęczy".

Dzieci to – cytując Donalda Tuska – udręka. Formatowanie umysłów przynosi efekty. Z badania CBOS „Postawy prokreacyjne kobiet" wynika, że 68 proc. Polek w wieku 18–45 lat nie chce lub nie wie, czy chce powiększyć rodzinę. To musi budzić niepokój, ponieważ w porównaniu z rokiem 2017 udział kobiet w tej grupie wiekowej planujących potomstwo spadł z 41 do 32 proc. Ten fakt łączy się z innym trendem, czyli zastępowaniem dzieci zwierzętami. Z pomocą przychodzi tu niezawodna „Gazeta Wyborcza", która w marcu opublikowała szeroko komentowany reportaż pt. „Dwa plus psiecko. Nie mają ludzkich dzieci, za to mają »dzieci« psie: Nigdy nie jesteśmy Figą zmęczeni". Dzieci zostały jeszcze wzięty w cudzysłów, choć wymowa artykułu jest jasna. „Miłość psa czy kota jest bezinteresowna przez całe życie, a dziecka tylko do pewnego momentu. Zwierzęta nie zaczną się kłócić o spadek czy dom po rodzicach" – czytamy. Dalej jest tylko gorzej: „Jej suczka shih tzu obchodzi urodziny, adopciny, Dzień Taty. Razem z partnerem Pauliny, Michałem, tworzą rodzinę międzygatunkową".

CO JEST „NORMALNE"?

Można wysnuć ogólny wniosek, że zmiana tego, co aktualnie jest „normalne", dotyczy przede wszystkim sfery rodzinno-związkowej, która nierozerwalnie łączy się z moralnością. W nowym (nie)wspaniałym świecie stabilny związek dwóch osób, dający poczucie bezpieczeństwa i pewności, jest przeżytkiem. W tym zakresie znowu celują portale przeznaczone dla kobiet. „Zaproponowałem żonie trójkąt z mężczyzną. Od pół roku się nie kłócimy"; „Nie kocham męża, robi mi się niedobrze, gdy on mnie dotyka. Codziennie marzę o życiu bez niego"; „»Magda, kochanie, od samego początku wiedziałem, że jesteś bi«. Po 10 latach małżeństwa mój mąż zaproponował mi układ"; „Nie lubię mojego męża. Gdzie ja miałam oczy?" – to zaledwie kilka z dziesiątek tytułów tekstów, które ukazały się w dziale Onetu dla kobiet. Do tego dochodzą teksty pokazujące zalety życia w „otwartym związku" oraz podejmowania szybkiej decyzji o rozwodzie, jeśli tylko zaczyna się w małżeństwie psuć. Ewentualnie można uciec się do zdrady – czasami nawet dogadanej z partnerem – dzięki której związek „odżyje".

Do obszernego worka z etykietą „nowa moralność" można dorzucić jeszcze promowanie (bo etap oswajania już za nami) prostytucji. Rzecz jasna, nie wolno używać słowa „prostytutka", ponieważ to określenie stygmatyzujące. Tak więc mamy „sex workerki". „Nikt mi nie wierzył, że miałam takiego klienta, który przynosił mi kanistry z benzyną. Pracował w spółce Skarbu Państwa, miał przydział na paliwo. Kiedy dostawał więcej, niż potrzebował, tankował mi samochód pod blokiem" – tak, wyznaniem „sex workerki" Oli, rozpoczyna się reportaż opublikowany przez portal Gazeta.pl. Tekst ma niezwykle wymowny tytuł: „Praca jak każda inna". Tymczasem nikt nie twierdzi, że „sex working" nie istnieje. Istniał i istnieć będzie, ale w naszym kręgu kulturowym zawsze w cieniu, jako coś wstydliwego – zarówno dla osób świadczących takie usługi, jak i z nich korzystających. Jednak to, że prostytucja jest „najstarszym zawodem świata", nie oznacza, że państwo powinno ją usankcjonować, a społeczeństwo uznać za coś normalnego.

Odwróceniu ulega też pojmowanie pojęć tak podstawowych i możliwych do empirycznego zbadania jak płeć. Czy płcie są dwie, a to, której z nich jesteśmy, definiuje biologia? Jak wynika z badania „Czy Polacy są woke?", przeprowadzonego na zlecenie Warsaw Enterprise Institute, aż 43 proc. respondentów zgadza się ze stwierdzeniem, że „płeć to nie jest kwestia biologii, a przede wszystkim tego, kim czuje się dana osoba". Przeciwnych jest wyraźnie mniej – 37 proc.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 04f299c0b7

Słowa w krwi skąpane

Krzysztof Masłoń

Słyszy się dziś często, że rosyjska agresja na Ukrainę zmieniła wszystko. Jednak nie zmieniła podstawowego faktu, że 80 lat temu na Wołyniu najmniej 60 tys. naszych rodaków zostało zamordowanych. Zamordowanych bestialsko: siekierami, nożami, sztachetami, piłami, łopatami. Na nazywanie oprawców bohaterami naszej zgody nie może być nigdy. Dlatego wstrętem napawa zamazywanie przeszłości i klajstrowanie zaszłości

Wciąż bardzo wielu Polakom wydaje się, że ten Wołyń, o którym mówi się teraz z racji 80. rocznicy rzezi mającej tam miejsce, leży gdzieś daleko na wschodzie, że to jakieś Dzikie Pola. A informację, że z Lublina jest tam nieomal żabi skok, przyjmuje się z niedowierzaniem. O tym, że powszechnie nie odróżnia się Podola od Wołynia, nie ma sensu nawet wspominać, bo to oczywiste. Dobrze chociaż, że coraz rzadziej słyszy się, że Wilno sąsiaduje ze Lwowem.

Oczywiście wszystko to jest efektem marnego nauczania, pokłosia zafałszowanej PRL-owskiej edukacji, głównie historycznej, w której rzezi wołyńskiej najzwyczajniej nie było. Po prostu. Tematykę ukraińską załatwiały „Łuny w Bieszczadach" Jana Gerharda i sfilmowany na jej motywach „Ogniomistrz Kaleń" czy, już później, westernowe „Wilcze echa", które przywoływały bliżej niezidentyfikowane krwawe wydarzenia dziejące się w Bieszczadach, gdzie grasowały bandy UPA i sprzymierzonych z nią pospolitych bandytów, zwalczanych przez dzielnych żołnierzy KBW.

Propaganda miała pole do popisu, poważna literatura na ten temat milczała. Do czasu. Kwestie ukraińskie, w których mordy na Polakach w czasie drugiej wojny światowej odgrywały rolę pierwszoplanową, na serio podjął dopiero Włodzimierz Odojewski (1930–2016). Miała ona zdominować całą twórczość tego pisarza. Nie pochodził z Kresów, ale w 1943 r. znalazł się, niejako na wakacjach, na pograniczu Podola i Wołynia i był świadkiem tragicznych epizodów rozgrywającego się tam konfliktu polsko-ukraińskiego. Przeżyciom swym dał upust w najwybitniejszych swoich utworach, począwszy od „Zmierzchu świata" (1962) i „Wyspy ocalenia" (1964, poprzez arcydzieło prozy polskiej, którym jest „Zasypie wszystko, zawieje" (1973), a skończywszy na „Oksanie" (1999).

POLAKU, POWIEDZ POLSCE

Pisarzowi zarzucano niekiedy antyukraińskość, co nijak miało się do jego prozy, a brało się z publicystyki i wywiadów, których udzielał, a w których wygłaszał opinie dalekie od poprawności politycznej. Tak np. niejednokrotnie wprost nazywał faszystowską ideologię teoretyka ukraińskiego nacjonalizmu Dmitrija Doncowa. Tego samego, który przemawiając na Uniwersytecie Lwowskim, prorokował, że po tym, co się stanie, jeszcze dziesiąte pokolenie Polaków będzie się bało spojrzeć w stronę Ukrainy. A jeśli chodzi o przyszłość wzajemnych stosunków między naszymi narodami, to Odojewski jak najsłuszniej uzależniał

eprasa.pl 04f299c0b7

Winni jesteśmy wdzięczność twórcy „Wołynia" (kadr z filmu). Przede wszystkim za to, że ten film jest FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ją od drogi, którą wybierze Ukraina: czy podtrzyma związki z Rosją – czego, jak wiemy, nie uczyniła – czy też wybierze opcję zachodnią, niepodległościową, ale wtedy – uwaga! – odżyją w niej tradycje antypolskie.

Literatura polska usytuowała piekło nie gdzie indziej, a na Ukrainie właśnie. I to wiele lat przed ludobójstwem na Wołyniu. Tak jak raj poeci i pisarze, w ślad za Mickiewiczem i innymi romantykami znaleźli na Litwie, tak Ukraina, ze swoim fatalizmem, rozdarciem i poczuciem klęski, to było infernum. „W takim widzeniu Ukrainy – pisała Maria Janion w głośnym eseju »Cierń i róża Ukrainy« – Odojewski jest dziedzicem romantycznych obrazów i spekulacji wywodzących się z doświadczenia świata, a raczej konkretnie – właśnie tego skrawka świata". Dość odwołać się do Seweryna Goszczyńskiego i jego „Zamku kaniowskiego" czy do „Marii" Antoniego Malczewskiego. A w końcu nie tak dawno Jarosław Marek Rymkiewicz w „Mogile Ordona" pisał:

„Tam jeszcze – słyszysz – mówią nasi bracia mili:

Polaku powiedz Polsce, żeśmy tutaj zgnili".

I dlatego „Zasypie wszystko, zawieje" jest rzeczywiście – powtórzę za Janion – Wielką Księgą Śmierci. Z niezapomnianą sceną śmierci matki bohatera powieści, Pawła Woynowicza, zatłuczonej kłonicami, zadźganej żerdziami przez miejscową ludność. „… a potem wyprowadzili panią; i póty było […], że patrzyła im jeszcze w oczy, to ją tylko ciągnęli przez schody i podjazd, pod ramiona trzymając, bo może iść już o własnych silach nie mogła, ale później Wasow z tyłu się zaczaił i kołem uderzył w plecy, to przestała już więcej patrzeć, wyciągnęła ręce, lecz nawet się nie podparła, gdy na kolana padła; i zaraz zatratowali ją butami, jak tamtych dwóch, i kłonicami, i orczykami (Pan słucha? Dlaczego pan nie słucha?); i potem krzyczeli; i potem się śmiali; i potem powlekli na folwark za stajnię, gdzie obetonowana kałabania; i potem za ręce i nogi unieśli i tam panią wrzuclili (Dlaczego pan nie słucha?)". Trup zamarza w gnojówce; gdy zimą syn przyjedzie na miejsce zbrodni, będzie musiał wyrąbać bryłę lodu z ukrytym w niej ciałem. I zabierze tę bryłę ze sobą, jedyną pamiątkę z utraconego domu, to jedno, co mu zostało z Kresów, polskich Kresów.

MYŚLĘ I NIE POJMUJĘ

„Czasem wydaje mi się, że rozumiem wszystko, czasem, że nie – mówi Pawłowi Teodor Czerestwienski, inna ważna postać powieści. – Oczywiście, tobie zależy na tej ziemi w sensie jak najbardziej dosłownym, bo jej kawałek jest twoją rodzinną własnością od kilku wieków, i także w przenośnym, bo uważasz, że to twój kraj. Ukraińcy mówią, że to wyłącznie ich kraj i macie iść stąd precz. Ale na dobrą sprawę i ty i tobie podobni nie jesteście nikim innym, jak Ukraińcami. Czy też Rusinami. W końcu to jedno i to samo. Nie o nazwę przecież chodzi. W którymś tam pokoleniu zmieniliście wyznanie, najczęściej zaś język, czasem i to, i tamto równocześnie, nie przestaliście jednak być Rusinami. Jesteście więc wy, mówiący po polsku – dawna szlachta czy chłopi, wszystko jedno – autentycznymi synami tej ziemi. Zatem o co nienawiść?".

O język może? „Też nie. Ten Tomecki – wywodzi dalej Teodor Czerestwienski – słyszałeś, mówi przecież po polsku, a właśnie on należy do bandy Gawryluka. Natomiast w waszej partyzantce są również ludzie mówiący po ukraińsku. Nie język zatem ani narodowość rozgranicza".

Więc co? „Myślałem dawniej, że nędza i bogactwo. Od wielu lat słyszę świst bata, którym karbowy na polu w sąsiednich książęcych dobrach, kiedy przejeżdżałem tamtędy, zdzielił ciężarną kobietę, gdy nie nadążała z robotą za innymi. […] Ten świst bata słyszałem zawsze, kiedy tylko widziałem ludzi w polu czy na gumnie, na drodze czy na łąkach, ciągnących za wolami i pługiem, koszących zboże, a nawet rozmodlonych w cerkwi. Przeklęty świst! Gdy oni idą rabować wasze dwory, gdy przedtem jeszcze niszczyli te różne żydowskie handełesy okoliczne, karczmy, targowiska po miasteczkach, gdy rozwalają kościoły, wieszają księży, wciąż go słyszę. To haniebne, co oni robią, ale wyciskanie przez pokolenia siódmego z nich potu musiało zrodzić tę niepohamowaną żądzę posiadania waszych dóbr".

Literatura polska usytuowała piekło nie gdzie indziej, a na Ukrainie właśnie. I to wiele lat przed ludobójstwem na Wołyniu

Niby tak, ale… „Tonecki, na przykład, jest jednym z najzamożniejszych chłopów w Czupryni. A znowu w oddziale pułkownika Laudańskiego, który jest, jeśli się nie mylę, drobnym rolnikiem z Osypczy, służy, jak wiem, prawie sama nędzota okoliczna. […] W Tuczapsku, jak słyszałem, jedynie paru futorników i pop przyłączyło się do pogromu. A więc ludzie zamożni. W Nikoryczy kto ratował z rzezi? Starorusy znad rzeki. W czasie pokoju koniokrady, grajki weselne, pacykarze cerkiewni, wikliniarze, skowronki boże, co nie sieją, a zbierają, w najlepszym zaś razie tragarze, nosiwody i tym podobni golcy za niecałe pięćdziesiąt złotych przedwojennych miesięcznie.

eprasa.pl 04f299c0b7

Więc i ten podział: nędza – bogactwo, niczego nie wyjaśnia. Tylko w tandetnych broszurach tych różnych marksistów sprawy te są jasne".

„Może przyczyna tego, co tu się dzieje, tkwi gdzie indziej? Może jak mozaika składa się z wielu elementów, których nie umiem poskładać? Ciągle o tym myślę i nie pojmuję. Wiem jedynie, że mnie to wszystko nie wciągnie, choć potrafi wciągnąć jak wir. Ciemnota, prymityw, barbaria. Kocioł pełen gotujących się, kipiących namiętności. A nad tym kotłem dwóch okrakiem stojących naszych sąsiadów, od zachodu i od wschodu. Każdy z nich proponuje swój prostacki, okrutny i nieludzki ład, wyciągając chciwie łapy, aby dla siebie wyłowić z kotła co lepszy kąsek".

RĘKA OWINIĘTA RÓŻAŃCEM

Wielki temat wołyński zainteresował również Melchiora Wańkowicza. Można u niego wyczytać, jak to było w Parośli u Mazurków: „Z domu rozległy się rozpaczliwe krzyki kobiet. Przerażone dzieci wcisnęły się pod stary wóz. W domu otwarły się drzwi, buchnęły głosy. Dwu mołojców kompletnie pijanych weszło do drewutni, sprzeczali się, która piła będzie się bardziej nadawała. »Fajno budzie ruki nohi piłowati«. Uwagę drugiego pociągnęły rzeczy znajdujące się w szopie. »Choć żmenku, a czużoho« – śmiał się szczęśliwym pijackim śmiechem. Myszkując, znalazł dzieci.

– Ee, wy chto?

Zmartwiały. Zbyś pokazał rączką w kierunku swego domu.

– Nie stąd?

– Ni – wyjąkało dziecko.

– Jakoj wiry? Molysia…

Zbys przeżegnał się po ukraińsku.

– Cwitki moi… Majete hrosz… Idit…

Pasikową doszły jęki, wypadła za obejście, poczuła rączki czepiające się kolan. Chwyciła Aniutkę za rękę, uchodziła.

Przy zapartych drzwiach stanął Romek z siekierą. Rano na żerdziach płotu Mazurków zobaczyli nadziane skostniałe trupy Mazurkowych córek". A to był dopiero 6 lutego 1943 r. Przeklętego 1943 r.

Zbysia wzięto za Ukraińca i dlatego przeżył. A co się działo w innych domach w Parośli? „Pierwszy dom – dom starej Rozalii. Próg purpurowy zakrzepłej krwi. Z izby na sionkę wywalił się rozczapierzony trup Rozalii podźganej nożami i leży w piórach z rozprutej pierzyny, zalanych krwią. W izbie dziesięć kołysek. Na łóżku, wszędzie, pomordowane dzieci, żadne nie starsze nad trzy lata. Niektóre nie rąbnięte, tylko krew zakrzepła z nosków świadczy, że uderzano głowami o ściany.

Niczego nie zniszczyli. Nauczyciela zostawili z wydłubanymi oczami i oskalpowaną głową

Nieprzytomnymi rękami poczęli układać osiemnaście trupów.

Następny dom. Pierze. Z komór też w zbiorze wszystko zabrane. Trup starej kobiety spod łóżka, ręka w górę zastygła, trzymająca się łóżka, owinięta różańcem.

Następny dom. Trup kobiety i mężczyzny. Na plecach mężczyzny trup dwunastoletniej dziewczynki z przerąbanymi aż po płuca plecami". Dosyć… Melchior Wańkowicz był wytrawnym reportażystą, świetnym pisarzem, świadomym tego, że odbiorca nie będzie w stanie znieść nieskończenie wielu opisów bezprzykładnego bestialstwa. Czy dlatego zrezygnował z książki o Wołyniu?

Powstałe reportaże nazwał „Rzeziami Wołyńskimi", z których jeden wykorzystał w zbiorze „Od Stołpów po Kair" (1969). Wszystkie miały być fragmentami większej całości, którą przygotowywał, gromadząc dokumentację. I na tym poprzestał.

A o naszych kapryśnych sąsiadach pisał: „Ukraińcy to nie Czesi, nawet nie Polacy. Burzy się krew turkmeńska, kozacka, wszystko u tego ludu kolor i muzyka, i zwid".

ZA PARAWANEM NIEWIEDZY

Wróćmy do Odojewskiego. Jego „Oksana" podzieliła recenzentów na entuzjastów powieści i jej surowych krytyków. Ta współczesna powieść osadzona na tle konfliktu serbsko-bośniackiego w istocie kolejny raz drąży problemy wynikające z relacji między Polską a Ukrainą, na plan pierwszy wysuwając ludobójstwo dokonane na Kresach. Uczuciowy związek przypadkowo nawiązany podczas podróży na południe Półwyspu Apenińskiego między Karolem, polskim emigrantem politycznym, a Oksaną, przybyłą z Kanady, Ukrainką, musi mieć tragiczny finał, zważywszy na to, że jego matka i siostra zamordowane zostały w Hucie Pieniackiej, a członkowie jej rodziny służyli w SS-Galizien i w UPA.

W rozmowie ze swoją ukraińską kochanką Karol powie: „»Jedno jest pewne, nie macie tradycji walki niepodległościowej, którą by można było się szczycić w szkolnych podręcznikach, statuami z brązu i pomnikami. To byli, niestety faszyści, gorzej, to byli bandyci«, a ona: »Mówisz to bez emocji«, a on: »Tak, bez emocji. Minęło pół wieku od tamtego czasu, można mówić bez emocji. Mówię raczej z żalem. Bo może i Polaków wielka w tym wina, że nie macie właśnie takich tradycji. Że musieliście, czy też że niektórzy z was musieli przerzucić się do obozu Hitlera«, a ona: »Nie próbuj problemu zacierać! Walka o niepodległość nie usprawiedliwia podłości, okrucieństwa i zbrodni!«".

„Pamięć nie jest po obu stronach taka sama – przekonuje bohater – co innego zachowuje, co innego odrzuca, a prowadziło to u Ukraińców do groźnej gloryfikacji idei »Czynu«, który w jakikolwiek bądź oblókłby się kształt, zawsze będzie sprawiedliwy, jeżeli tylko dokona się z korzyścią dla narodu. I że z tejże idei narodziło się później przekleństwo hasła

eprasa.pl 04f299c0b7

Kadr z filmu „Ogniomistrz Kaleń" na motywach książki Jana Gerharda „Łuny w Bieszczadach" FOT. POLFILM/EAST NEWS

»usunięcia z tamtych ziem wszystkich okupantów«, czyli czystek etnicznych. W pięćdziesiąt lat przed wynalezieniem tego terminu w Jugosławii".

Wygłasza też dłuższy wykład o hołocie. „Każdy naród ma swoją hołotę – twierdzi. – Tylko, także każdy naród, wypiera się tego twardo, wszem i wobec wszystkim głosząc, że jest czysty jak łza albo i jeszcze bardziej". Tymczasem nie zmienia to w niczym postaci rzeczy, „iż każdy z tych narodów posiada swoją porcję hołoty, czerni, tłuszczy, motłochu, gawiedzi, osobników bez duszy, swoistych odpadów ludzkich, zimnych drani skłonnych do każdej zbrodni, nierzadko swoje draństwo obłudnie kryjących za maską cnoty. […] jeżeli nadchodzą jakieś szczególne dziejowe chwile: najazdy zbrojne, rewolucje, okupacje, dawniej morowe powietrze, czyli zarazy, klęski głodu, różne inne katastrofy, wtedy kiedy delikatna równowaga między prawem a bezprawiem zostaje zachwiana, państwo i kościoły, z którymi nawet hołota musi się liczyć, słabną albo przestają należycie funkcjonować i życie drugiego człowieka spada w cenie, wtedy hołota podnosi wysoko głowę, znajduje dla siebie rozległe pole do działania".

Następnie wylicza, że „ukraińska hołota podczas ostatniej wojny zapełniła przeróżne niemieckie formacje policyjne użyte do akcji pacyfikacyjnych i eksterminacyjnych, różne wachmannschafty obozowe, stąd właśnie taki casus Demianiuka, polska hołota nazwana szmalcownikami polowała na ukrywających się Żydów, po wojnie żydowskim niedobitkom urządzała pogromy i masowo zajmowała się tak zwanym szabrem, czyli rabowaniem tego, co jeszcze do wyrabowania zostało po ludziach wydziedziczonych przez komunistów, zawsze zaś polską hołotę rozpoznaje się nieomylnie po tym, z jaką ochotą podcina nogi każdemu, kto się nieco wybije, wystawi głowę ponad przeciętność, żydowska hołota gorliwie kolaborowała z Sowietami, później z narzuconą przez Sowiety władzą w różnych służbach specjalnych, zarabiając na niechęć, nawet nienawiść odzywającą się echem do dzisiaj nie tylko w Polsce i kładącą się na współżycie sąsiadów ponurym cieniem, a co robiła hołota rosyjska i niemiecka, to na to najdłuższego dnia w roku nie starczyłoby, ażeby zaledwie po łebkach wyliczyć tych hołot specyficzne wobec ludności zasługi".

Następny dom. Trup kobiety i mężczyzny. Na plecach mężczyzny trup dwunastoletniej dziewczynki z przerąbanymi aż po płuca plecami

„A później po latach – podsumowuje – młody człowiek nie może uwierzyć, że takie bestialstwa, że taki ogrom zła mógł się w ogóle zdarzyć, albo po prostu nie chce o tym ani myśleć, ani mówić. Gdyż najwygodniej kryć się za parawanem niewiedzy. Aż znowu nastaje szczególna dziejowa chwila, że wszystko zaczyna się od nowa".

Tak że mordowanie okazuje się koniecznością. W „Zmierzchu świata" Odojewski pisał: „Wy zabijacie, oni zabijają, potem z tego zabijania wychodzi na to, że trzeba na nowo zabijać, jeden trup, dziesięć, sto, aby więcej, aby więcej, żeby ich matki też płakały, a oni to samo, żeby i naszym matkom oczy nie zdążyły obeschnąć". Zbrodnia jest w tym świecie zaraźliwa.

CHOWAJĄC SIĘ W PSIEJ BUDZIE

Na rzeź wołyńską patrzymy dziś jednak oczyma innego pisarza, Stanisława Srokowskiego. W 2006 r. ukazał się tom jego opowiadań pt. „Nienawiść". W posłowiu autor wyjaśniał ich genezę: „Moja pamięć, wyobraźnia i emocje rozwijały się i kształtowały w atmosferze wojny, gwałtu i straszliwych mordów. Od wczesnych lat dziecinnych wsłuchiwałem się w głosy, które mówiły o strachu, bólu i cierpieniu. Mieszkałem na wsi w województwie tarnopolskim, gdzie działy się dantejskie sceny. Mordy ukraińskich nacjonalistów, płonące wsie, gwałty i najokrutniejsze zbrodnie dokonywały się na niewinnych ludziach na moich oczach. Odczułem je szczególnie boleśnie, kiedy zostali zamordowani moi najbliżsi: dziadek, zarąbany siekierami, ciotka brutalnie zamęczona na śmierć, kuzyn Stanisław, spalony żywcem i wielu innych krewnych. Żyłem w strachu wieczornych zwierzeń i niezliczonych opowieści przy zapalonej lampie".

Opowiadania te pisane były z perspektywy dziecka, którym w istocie był urodzony w 1936 r. pisarz w czasie rzezi na Wołyniu. Tę samą perspektywę utrzymał w kolejnym wstrząsającym tomie „Strach" (2014) i to ona właśnie urzekła Wojciecha Smarzowskiego,

eprasa.pl 04f299c0b7

reżysera filmu „Wołyń", który w scenariuszu wykorzystał zarówno prozę Srokowskiego, jak i jego opowieści oraz wspomnienia. „Ustaliliśmy prostą i logiczną zasadę – powiada autor »Nienawiści« – skoro czerpie z mojej twórczości całymi garściami i na dodatek czyni mnie konsultantem swojego filmu, to powinienem wiedzieć o każdym jego twórczym zamiarze i dokonywanym praktycznie kroku. I wiedziałem. Biorę więc także na siebie pełną odpowiedzialność za kształt i wydźwięk filozoficzny tego filmu, ponieważ od początku do końca pracowałem nad jego konstrukcją".

W bogatej twórczości Stanisława Srokowskiego wyjątkowe miejsce zajmuje sporządzona przez niego monografia rodzinnej wsi „Hnilcze, prawda, pamięć i ból" (2013). Zrelacjonował w niej cały rozgrywający się tam dramat, to, jak jego wieś płonęła, „ale na szczęście – opowiadał później w »Widmach nocy. Dokumentacji zbrodni« – dzięki takim ludziom jak Olga Misiurak i jej matka, stara Misiuraczka, Genia, nie doszło do masakry. Większa część Ukraińców z Hnilcza nie chciała nas mordować. I nie mordowała. Olga Misiurak i jej matka ukryły nas w swojej stodole.

Przekazałem te sceny Smarzowskiemu. Zmodyfikowane znalazły się w filmie.

Opowiedziałem też, jak przeżarty strachem, kiedy trwały mordy, a dziadkowie i wujkowie opowiadali o nich, chowałem się w psiej budzie. I ta scena również znalazła się w epopei reżysera. Jeden z młodych bohaterów filmu, Franio, w dużej mierze oddaje tamten stan mojej psychiki, jakby był mną.

Sprawcami byli ludzie – jak słyszymy w filmie Wojciecha Smarzowskiego – „gorsi od zwierząt, bo one nie znęcają się"

Także opowiedziałem reżyserowi o zamordowaniu na Wołyniu wybitnego poety pokolenia wojny Zygmunta Rumla. Smarzowski i tę scenę wprowadził do filmu, nadając jej szczególnie okrutny charakter, pokazując zbrodnię wyjątkowo ekspresyjnie, z ogromnym ładunkiem tragizmu.

Przedstawiłem mu także sceny z ukraińskimi i polskimi dziewczynami, kiedy kończyły polne prace i siadały na progach domów, by śpiewać romantyczne, tęskne piosenki, które powodowały drżenie serc chłopców i przenikały przez całą wieś".

ZNAK ORŁA NA CZOLE

Winni jesteśmy wdzięczność twórcy „Wołynia". Przede wszystkim za to, że ten film jest, iż powstał, choć zawsze znajdowano tysiące powodów, by przekonać potencjalnie zainteresowanych, że to nie jest dobry czas na podjęcie tego tematu. Dziś realizacja podobnego obrazu uznana by została za czystą prowokację. Co nie zmienia faktu, że Smarzowskiemu i Srokowskiemu też zarzucano rosyjskie inspiracje, a noszony w Polsce na rękach ukraiński pisarz Jurij Andruchowycz nazwał reżysera „Wołynia" późnym Michałkowem. Na Ukrainie film uznano za antyukraiński, u nas nie brakowało widzów, którzy uważali, że Ukraińcy przedstawieni zostali nazbyt łagodnie. Nawiasem mówiąc, warto pamiętać, że film, na którego sfinalizowanie zabrakło pieniędzy, został dokończony dzięki przeprowadzonej narodowej zrzutce, wszystkie bowiem banki, spółki i ważne instytucje, tak chętnie nazywające się mecenasami kultury, odmówiły wsparcia.

Srokowski w swoich książkach przedstawił rzeczywistość, której niepodobna zaakceptować i nie można o niej zapomnieć. W „Ukraińskim kochanku" (2008) pisał: „Pod Obertynem, na wsi, ktoś zamordował chorego nauczyciela, który cudem ocalał z sowieckiej łapanki, unikając wywózki na Sybir. Nie zabrali go też Niemcy na roboty do Rzeszy, bo był słabowity. W każdym razie został we wsi. A mordercy na czole wyrżnęli mu nożem znak orła. Obcęgami wyrwali mu paznokcie. Ale jakby tego było im mało, na plecach związali mu ręce, a potem kolczastym drutem nogi. A na szyję zaciągnęli pętlę połączoną od tyłu z liną na rękach i nogach. Gdy tylko ruszył nogą albo ręką, pętla zaciskała się na szyi. I nauczyciel się dusił. Umierał w straszliwych mękach. A gdy tracił przytomność, rany posypywali mu solą i polewali gorącą wodą. Na dodatek jego żonie kazali na to wszystko patrzeć. Żonę ogarnęły mdłości, wiła się jak w konwulsjach, a potem zemdlała. Kiedy odzyskała przytomność, była siwa jak gołąb. Nic z domu nie zabrali. Nie splądrowali mieszkania. Niczego nie zniszczyli. Nauczyciela zostawili z wydłubanymi oczami i oskalpowaną głową. A na piersiach przyczepili kartkę z napisem:

WITKAJTY LACHY Z UKRAINY. TO NASZA ZEMLA!

Żona zwariowała. Bełkotała od rzeczy. Ale miała przebłyski świadomości i wtedy opowiadała, co się stało".

Słyszy się dziś często, że rosyjska agresja na Ukrainę zmieniła wszystko. Jednak nie zmieniła podstawowego faktu, że 80 lat temu na Wołyniu najmniej 60 tys. naszych rodaków zostało zamordowanych. Zamordowanych bestialsko: siekierami, nożami, sztachetami, piłami, łopatami. Sprawcami byli ludzie – jak słyszymy w filmie Wojciecha Smarzowskiego – „gorsi od zwierząt, bo one nie znęcają się". Na nazywanie ich bohaterami naszej zgody nie może być nigdy. Dlatego wstrętem napawa zamazywanie przeszłości i klajstrowanie zaszłości. Także tego, że Polacy, głównie z tworzonych naprędce oddziałów samoobrony, dokonywali aktów odwetu. O jakimkolwiek symetryzmie mowy być jednak nie może, nie tylko z tego powodu, że strona ukraińska liczy łącznie wszystkie swoje ofiary z lat 1943–1947, czyli wraz z akcją „Wisła". Liczba ofiar waha się wtedy od 10 do 15 tys. zabitych Ukraińców. Obrzydliwe są zresztą te rachunki krzywd. Bo ziemia płonie, na razie nie na Wołyniu, ale niedaleko stamtąd. Blisko, coraz bliżej. Ich i nas.

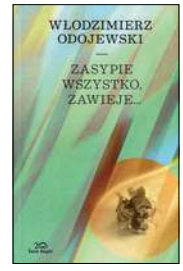

WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI „ZASYPIE WSZYSTKO, ZAWIEJE" ŚWIAT KSIĄŻKI 2014

STANISŁAW SROKOWSKI „STRACH. OPOWIADANIA KRESOWE" FRONDA 2014

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 04f299c0b7

Plan na śmierć

Piotr Gociek

Japoński dramat „Plan 75" prowadzi widza na zderzenie czołowe z ideologią depopulacji – i przypomina, co to znaczy być człowiekiem

CHIE HAYAKAWA „PLAN 75" JAPONIA, FILIPINY, FRANCJA, KATAR 2022

Do tradycyjnego „jak Bóg da" żartownisie w PRL dokładali: „a partia pozwoli". W Japonii partia nie pozwoliła. Która? Nieważne, która konkretnie, chodzi o aktualnie rządzącą. Przenosimy się oto do świata filmu „Plan 75", który rozpoczyna się od informacji o trudnych decyzjach podjętych przez rząd.

„Rosnąca liczba seniorów rujnuje gospodarkę Japonii i kładzie się długim cieniem na młodym pokoleniu. Z pewnością starsi nie chcą nam niszczyć życia. Japończycy mają długą i dumną historię poświęcania się dla dobra kraju" – taki monolog słyszymy na początku filmu. Ale dlaczego jego autor kroczy z bronią w ręku, pozostawiając za sobą krwawą łaźnię? No bo jeśli ktoś poświęcić się nie chce, to można mu pomóc. „Wierzę, że mój akt odwagi rozpocznie dyskusję, a przyszłość stanie się dla tego narodu jaśniejsza". Po tych słowach zabójca sam rozwala sobie łeb.

Aby zapobiec przestępstwom z nienawiści skierowanym przeciw starszym – oraz oczywiście by ratować gospodarkę – japoński rząd uchwala tytułowy „plan 75", wprowadzający „prawo do asysty przy umieraniu dla każdego, kto ma lat 75 lub starszego". Jak donosi japońskie radio, „bezprecedensowe rozwiązanie kwestii długowieczności Japończyków" budzi wielkie zainteresowanie zagranicznych komentatorów. Zdałoby się dołożyć jeszcze słowo „ostateczne", bo przecież zza grobu powrotu nie ma. Tak, nazwijmy rzecz tak, jak trzeba: chodzi o „ostateczne rozwiązanie" problemu ludzi starych.

DYSKRYMINACJA „BEZUŻYTECZNYCH"

Debiutancki film Chie Hayakawy wszedł na polskie ekrany pod koniec maja. Dwa miesiące wcześniej Wydział ds. Ludności Organizacji Narodów Zjednoczonych ogłosił, że Japonia była w roku 2022 krajem, w którym liczba ludzi w wieku 65 lat i starszych osiągnęła 29,9 proc. i że jest to wynik w skali świata rekordowy. Na kolejnych miejscach uplasowały się Włochy i Finlandia. Jednak wedle prognoz, jeśli utrzymają się obecne trendy (demograficzne oraz dostęp do opieki medycznej), to w roku 2050 całe podium należeć będzie do Azji. W Hongkongu, Korei Południowej i Japonii wspomniany wskaźnik ma już oscylować w okolicach 40 proc.

Hayakawa swoim filmem wyprzedziła te wieści, bo światową premierę miał w roku 2022 podczas festiwalu filmowego w Cannes (sekcja Un Certain Regard). „Plan 75" powstał początkowo jako film krótkometrażowy, potem debiutująca na dużym ekranie reżyser rozwinęła go w większy projekt. Urodzona w Japonii Chie Hayakawa wiele lat spędziła w USA, gdzie studiowała i kręciła krótkie filmy. Gdy po 10-letniej nieobecności wróciła do ojczyzny, uderzyła ją nietolerancja wobec osób uznawanych za bezużyteczne dla społeczeństwa i w związku z tym marginalizowanych.

Przykład idzie z góry, moglibyśmy powiedzieć, wspominając głośną i kontrowersyjną wypowiedź japońskiego ministra finansów z roku 2013. Nie minął miesiąc od sformowania nowego rządu premiera Shinzo Abe, a już Taro Aso ogłosił, że ludzie starzy niepotrzebnie obciążają budżet państwa. Na propozycję zwiększenia wydatków na opiekę nad najstarszymi odrzekł: „Niech Bóg broni, jeśli będziesz zmuszony żyć dalej, kiedy chcesz umrzeć". Sam Taro Aso mówił wtedy, że czułby się fatalnie, budząc się każdego ranka i wiedząc, że to rząd musi płacić za jego leczenie". I dodał słynną frazę, którą cytowały gazety jak świat długi i szeroki (także w Polsce): „Problem nie zostanie rozwiązany, jeśli nie pozwolisz im się pospieszyć i umrzeć". Potem Aso tłumaczył się, że chodziło mu jedynie o osoby nieuleczalnie chore i sztucznie podtrzymywane przy życiu. Media szybko wyciągnęły jego wcześniejszą o cztery lata wypowiedź, w której krytykował ludzi starszych za to, że ciągle chodzą do lekarza i obciążają w ten sposób system podatkowy. Jeśli komuś

eprasa.pl 04f299c0b7

przypomni się w tym momencie słynna odzywka posłanki PO Joanny Muchy o emerytach, którzy chodzą do lekarza dla rozrywki – to będzie miał rację. Nietolerancja nie zna granic geograficznych.

CUD ŻYCIA

Film Chie Hayakawy nie jest jednak manifestem politycznym, nie zawiera żonglerki liczbami ani społecznej krytyki. Japońska reżyser wybiera troje bohaterów związanych z Planem 75, by przypomnieć o cudzie, którym jest życie. To film piękny i wstrząsający, nieśpieszny, prowadzony z intymnej perspektywy fascynująco przedstawionej obrazem. Oto stareńka Michi, która traci pracę, zaczyna się zastanawiać, czy plan dobrowolnej eutanazji nie jest dla niej jedynym wyjściem. Oto młody Hiromu, który jest komiwojażerem śmierci, podróżuje po kraju i sprzedaje klientom myśl o przyspieszonej śmierci tak, jak inni zachęcają do zakupu ubezpieczeń czy wycieczek. I jest wreszcie filipińska imigranta Maria, która pracuje w Planie 75, a jej zadaniem jest opróżnianie torebek i pozbywanie się rzeczy osobistych ludzi właśnie wysłanych na tamten świat. Trudno podczas oglądania tego wątku nie przypomnieć sobie stert pustych walizek piętrzących się w Auschwitz.

„Plan 75" w sposób mądry i artystycznie satysfakcjonujący mierzy się z problemem, który wcześniej ekranowa fantastyka opukiwała w sposób niespecjalnie udany, bo zawsze spektakl i melodramatyzm stawały na drodze do refleksji. W 1976 r. na ekrany wszedł film Michaela Andersona „Ucieczka Logana" („Logan's Run") z Michaelem Yorkiem w roli głównej. Była to opowieść o przyszłości, w której, aby oszczędzić malejące zasoby, każda osoba osiągająca 30 lat zostaje zabita. Główny bohater jest policjantem polującym na tych, którzy chcą tego losu uniknąć. (Czyż nie przypomina nam to późniejszego Ricka Deckarda łowiącego androidy, które próbują uniknąć „wycofania" w „Blade Runnerze"?). Film Andersona doczekał się kontynuacji w postaci serialu telewizyjnego, przyczynił się też do renesansu popularności literackiego oryginału. „Ucieczka Logana" powstała bowiem na podstawie powieści Williama F. Nolana i George'a Claytona Johnsona pod tym samym tytułem (1967). W książce próg wycofania był niższy, zabijano każdego, kto dożyje lat 21. Powieść jest lepsza od filmu, a różnic jest dużo więcej. Nigdy nie ukazała się oficjalnie w Polsce, ale w roku 1988 wydrukowano edycję podziemną, tzw. klubową (chodzi o książki i fanziny drukowane przez kluby miłośników fantastyki naukowej).

Cywilizacja zachodnia przetrwała już kilka fal promocji ludobójstwa jako sposobu na przeludnienie

Kilka lat wcześniej przeludnieniem (i nie tylko: także zanieczyszczeniem środowiska, biedą i efektem cieplarnianym) straszył film Richarda Fleischera „Zielona pożywka" („Soylent Green") z Charltonem Hestonem w roli głównej. Tu także jednym z rozwiązań było wspomagane samobójstwo, a włosy na głowie jeżył wątek dopisany do powieści, która była inspiracją dla filmu („Przestrzeni! Przestrzeni" Harry'ego Harrisona). Z braku żywności na paszę dla ludzi zaczęto bowiem przerabiać trupy.

Na tym tle „Plan 75", który znika już z polskich kin, ale lada moment trafi do streamingu, okazuje się propozycją wyjątkową: nie jest krzykliwy, nie jest sensacyjny, ale w odróżnieniu od typowych dystopijnych thrillerów skłania do myślenia. Podobnie jest w przypadku nowości, która miała premierę podczas tegorocznego festiwalu filmowego w Berlinie. W Polsce jak dotąd tylko widzowie tegorocznego festiwalu filmów animowanych ANIMATOR w Poznaniu mogli obejrzeć produkcję węgierską, która również wyrasta z nurtu, o którym opowiadam, ale która jest rodzajem hipnotyzującej medytacji o ludzkim losie. „Niebo z białego plastiku" („Műanyag égbolt", reż. Tibor Bánóczki i Sarolta Szabó, 2023) przenosi nas do roku 2123. W odróżnieniu od „Zielonej pożywki", gdzie rząd ukrywał prawdę o zielonej

eprasa.pl 04f299c0b7

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

pożywce, w Budapeszcie przyszłości społeczność przyjmuje za oczywiste to, że po osiągnięciu wieku lat 50 każdy obywatel musi się poświęcić. Specjalna procedura „implantacji" zamienia ich w rośliny, które staną się pożywieniem dla przyszłych pokoleń. Główna bohaterka w rozpaczy po stracie dziecka postanawia skorzystać z procedury wcześniej, tuż po trzydziestce. Oczywiście i ten dystopijny świat ma swoją tajemnicę, zabawa w Boga przynosi nieoczekiwane i szokujące rezultaty.

Wszystkie te filmy wchodziły lub wchodzą na ekrany z etykietką „fantastyka", ale w przypadku „Planu 75" mamy do czynienia bardziej z konsekwentną ekstrapolacją istniejących trendów. Film zaczyna się od masakry, której dokonał młody „odpowiedzialny" obywatel, chcący wymóc na innych podobną odpowiedzialność. Dać krwawy przykład. W wywiadach (ja korzystałem z rozmowy w „Cinema Daily US") Chia Hayakawa wyjaśnia, że inspiracją dla tej sceny były prawdziwe wydarzenia. Otóż latem roku 2016 w Japonii zamordowano 19 osób niepełnosprawnych. Sprawca twierdził, że nie są warte tego, by żyć, że swym czynem „usprawnia światową gospodarkę" i że jego działania były „aktem łaski". Hayakawa zamieniła niepełnosprawnych na ludzi starych, ale gdy opowiada o współczesnej Japonii, podkreśla, że narastająca nietolerancja dotyka jednych i drugich.

„NIEEKOLOGICZNE" DZIECI

Cywilizacja zachodnia przetrwała już kilka fal promocji ludobójstwa jako sposobu na przeludnienie. Zaczęło się w XVIII w. od strachów indukowanych przez Thomasa Malthusa („An Essay on the Principle of Population", w którym przestrzegał przed wzrostem liczby ludności zawsze prowadzącym do nędzy). Potem neomaltuzjanizm święcił triumfy na przełomie wieków XIX i XX, kiedy na poważnie zaczęto sugerować ograniczenie populacji świata. Ograniczenie lub ulepszanie, hodowanie przez eliminację jednostek niepełnowartościowych – i tu na scenie pojawiła się eugenika. Strachy lat 70. XX w. (w tym kryzys paliwowy i szybki wzrost liczby ludności) rozbudziły na nowo zainteresowanie pomysłami na depopulację; w XXI w. nowym napędem dla tych pomysłów są prorocy głoszący, że ludzie szkodzą planecie tak bardzo, że powinni się z niej sami wyeliminować.

„Dzieci są słodkie, ale nieekologiczne" – przekonywał kilka lat temu szwedzki dziennikarz Gurgin Bakircioglu, który uzasadniał w ten sposób fakt poddania się sterylizacji. Nie on jeden. Ci, którzy idą w ślady Bakircioglu, mają na tyle przyzwoitości, żeby propagowanie swoich kontrowersyjnych poglądów zacząć od siebie. Wśród polityków głoszących potrzebę ograniczenia przyrostu ludności nie widać jednak na razie zbyt wielu zwolenników wprowadzenia „planu 75" dla siebie – zawsze płacić życiem ma ktoś inny. Och, ten rozdźwięk między ideą a praktyką – czyż to nie ostatnio opublikowano raport amerykańskiego Instytutu Studiów Politycznych o prywatnych odrzutowcach? Nie dość, że produkują 10 razy więcej gazów cieplarnianych na osobę, to jeszcze ich liczba niemal podwoiła się w ostatnich dwóch dekadach. No i w efekcie 1 proc. najbogatszych odpowiada w lotnictwie za połowę emisji CO_2. Ups. Eutanazja i sterylizacja, tak mi się widzi, też w pierwszej kolejności ma obowiązywać biedaków, a nie Gatesów czy Sorosów. Zawsze pojawia się ten mały problem: Kto i wedle jakich kryteriów ma umrzeć? Na pewno nie ci, którzy z takim pomysłem wychodzą.

Wspomniałem wcześniej film „Blade Runner" (1982) wedle prozy Dicka. Sztuczne istoty – replikanci – poszukują w nim swego stwórcy, by wymóc na nim przedłużenie życia. Zaprogramował je bowiem tak, by po kilku latach działania nieodwołalnie kończyły istnienie. Gdy Tyrell ujawnia, że nie zna sposobu na to, by im pomóc, ginie z ręki zrozpaczonego replikanta. Stworzenie życia w tak okrutny sposób – to znaczy podarowanie wspaniałego daru tylko na chwilę – jest w filmie Ridleya Scotta czynem nieludzkim. Dziś takie rozwiązanie byłoby oklaskiwane przez wyznawców depopulacji.

Film Chie Hayakawy „Plan 75" przypomina, że niczego piękniejszego od życia mieć nie będziemy. To, że nie znamy dnia ani godziny, czyni je trudnym. Jednak gdybyśmy je znali, byłoby po prostu koszmarem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 04f299c0b7

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

KINO

Tato, przestań!

★★★★☆☆

REŻ. LAURA TERRUSO „WSZYSTKO O MOIM STARYM" („ABOUT MY FATHER") USA 2023

wyst. Sebastian Maniscalco, Robert De Niro, Leslie Bibb

Co za czasy: obecność Roberta De Niro na plakacie wzbudza podejrzliwość zamiast entuzjazmu. Gwiazdor mocno zszargał sobie reputację nieświeżymi komediami; najniżej upadł chyba przy okazji „Co ty wiesz o swoim dziadku" czy „Wojny z dziadkiem". Film Laury Terruso to propozycja dużo lepsza (ale plakat wciąż koszmarny).

Siłą sprawczą tej rodzinnej komedii jest amerykański komik Sebastian Maniscalco, który od lat w swoich stand-upach sięga po wątki rodzinne i imigranckie. Jego ojciec przybył do Ameryki, by spędzić życie jako fryzjer, Maniscalco siedem lat był kelnerem w Los Angeles, próbując przebić się w świecie komedii. Różnica między pokoleniami jest siłą napędową monologów komika i jednocześnie motorem filmu, w którym sam Maniscalco gra postać podobną do siebie (Włocha, który zamierza wżenić się w bogatą amerykańską rodzinę), a De Niro – postać wzorowaną na ojcu Maniscalco. Tym przefiltrowanym przez grepsy ze stand-upu: upartym, bezpośrednim, staroświeckim, niewrażliwym na wymogi politycznej poprawności, więc czasem grubiańskim.

Robert De Niro okazuje się idealnym odtwórcą roli sycylijskiego zgryźliwego tetryka. Co ciekawe, rozpatrywano go już jako potencjalnego ojca Maniscalco, gdy komik kręcił w 2016 r. inspirowany swoim życiem pilot serialu „Sebastian Says". Ale wtedy wygrał Tony Danza. (A serialu ostatecznie nie zamówiono). W filmie „Wszystko o moim starym" okazuje się, że Maniscalco i De Niro pasują do siebie poprzez wyśmienite niedopasowanie. Tak miało być, chodzi o coś więcej niż konflikt generacji.

Nie jest to dzieło doskonałe, skłonność do gagów czasem prowadzi Maniscalco na manowce, najlepsze są tu jednak dialogi i zderzenie charakterów. Całość okazuje się nadspodziewanie ciepła (mimo pewnej gburowatości i ryzykownych dowcipów) oraz rodzinna. Rzadko dziś dostajemy w kinie opowieści, w których bohaterowie tęsknią za normalnością, a jeszcze rzadziej – w których symbolem normalności jest rodzina. Przymykam więc oko na niedoskonałości i rekomenduję „Wszystko o moim starym" w ramach seansów wakacyjnych. A kto chce poznać bliżej prawdziwego Maniscalco – i jego starego – niech sięgnie po niewydaną w Polsce autobiografię „Stay Hungry". Jest mocna, wzruszająca i zabawna. ©℗

NOWE SERIALE: „GOŁO I WESOŁO"

Ćwierć wieku po sukcesie komedii o bezrobotnych hutnikach striptizerach wracamy do Sheffield, gdzie mimo że przeminęło ośmiu premierów i dziewięć planów rewitalizacji okolicy, nadal bieda piszczy. Kłopot w tym, że scenarzyści nie wiedzą, dokąd jadą. Tam, gdzie gada ze sobą stara gwardia (Robert Carlyle, Mark Addy i reszta ferajny), jest nieźle. Gdy na scenę wchodzą ich dzieci oraz pojawiają się absurdalne intrygi kryminalne – seria traci sens i urok. Może zamiast ośmiu odcinków wystarczyłby film? ***Piotr Gociek***

- *miniseria* ***„Goło i wesoło" („The Full Monty"),*** *USA 2023*

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *sezon 3* ***„Wiedźmin" („The Witcher"),*** *USA 2023*
- *sezon 2* ***„Yellowjackets",*** *USA 2023*
- *sezon 1* ***„Wojownicy Jednorożca" („Unicorn: Warriors Eternal"),*** *USA 2023*

eprasa.pl 04f299c0b7

Wyjedź i nie wracaj

KINO

Neapol jako potwór pożerający ludzi. Kto zetknął się z „Gomorrą" czy prozą Eleny Ferrante, nie będzie zaskoczony. Z „Nostalgii" dowiadujemy się, że nawet po drugiej, muzułmańskiej stronie Morza Śródziemnego żyje się lepiej (a na pewno bezpieczniej) niż w stolicy Kampanii. Główny bohater obrósł w piórka w Kairze. Nawrócił się nawet na islam. Kiedy po 40 latach nieobecności przybędzie odwiedzić sędziwą matkę, odkryje, że w jego rodzinnej dzielni trwa walka o rząd dusz między camorrą i miejscowym proboszczem. Zewsząd słyszy to samo: „Po co tutaj ciągle jesteś?", ale jakaś siła fatalna każe mu snuć plany powrotu na stałe.

★★★☆☆☆

REŻ. MARIO MARTONE
„NOSTALGIA"
WŁOCHY/FRANCJA 2022

wyst. Pierfrancesco Favino, Francesco Di Leva, Tommaso Ragno

Fabuła opiera się na przekonaniu, jakoby przeżycia z okresu dzieciętwa (Felice miał 15 lat, gdy wyemigrował) naznaczały człowieka piętnem nie do usunięcia. Motyw zdradzonej przyjaźni z powodzeniem eksploatował Sergio Leone, tu jednak szeleści on papierem. Ermanno Rea nie dożył ekranizacji swojej ostatniej powieści. Być może jest genialna, lecz wersja filmowa razi schematyzmem i ślamazarnością niczym rozgotowane spaghetti. Na tle hamletyzującego bohatera Zły wypada nieźle (przynajmniej trzeźwo ocenia rzeczywistość). Wiarygodne są też sceny w mieszkaniach neapolitańczyków. Reszta to pic i fotomontaż.

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GENIUSZ CZY ŻARTOWNIŚ?

TVP VOD

★★★☆☆☆

REŻ. BENOÎT FELICE
„ARCIMBOLDO. PREKURSOR SURREALIZMU" („ARCIMBOLDO. PORTRAIT D'UN AUDACIEUX")
FRANCJA 2021

Vox populi, vox Dei. Skoro ludzi zachwycają antropomorficzne malowidła Arcimbolda, to musieli znaleźć się eksperci dowodzący, że ich autor godzien jest stanąć w jednym szeregu z Leonardem da Vinci.

Wcześniej nikt nie traktował zbyt serio artysty komponującego portrety z ryb, zwierząt, warzyw i owoców. Mediolańczyk przez większą część życia służył Habsburgom jako dekorator. Gdy na tron wstąpił Rudolf II, stał się totumfackim ekscentrycznego władcy. Zarządzał słynnym cesarskim gabinetem osobliwości, ozdabiając go groteskowymi obrazami. Był typowym manierystą, lecz autorzy dokumentu wolą w nim widzieć człowieka renesansu, prekursora kolażu, kubizmu i surrealizmu. Czterysta trzydzieści lat po śmierci Arcimbolda sztuka, tworzona gwoli rozbawienia możnych, znowu śmieszy, tumani i przestrasza. Nazywanie twórcy „Wertumnusa" filozofem to jednak żart, na który on sam, jako wzorowy dworak, raczej by sobie nie pozwolił. ©℗

ONI MAJĄ DOLARY

arte

★★★★☆☆

REŻ. LUIS GARCIA BERLANGA
„WITAJ NAM, MR MARSHALL" („BIENVENIDO MISTER MARSHALL")
HISZPANIA 1953
wyst. José Isbert, Manolo Morán, Lolita Sevilla

Lelewel, opisując, jak wiele łączy Polaków i Hiszpanów, nie wiedział, że w XX w. lista zbieżności powiększy o się o nieodwzajemnioną miłość do Ameryki. Jankesi, jak wiadomo, mieli inne priorytety. Z dobrodziejstw planu Marshalla Warszawa zrezygnowała na prośbę Wielkiego Brata, w Madrycie łudzono się dłużej. Pamiątką tych nastrojów jest film o miasteczku, którego nie stać nawet na reperację zegara na ratuszu. Zapowiedź wizyty delegacji z USA w Villar del Rio wywołuje gremialny entuzjazm. Powstaje lista życzeń („Chcę kobiety albo muła" – mówi jeden z rolników). Przeciwni urządzaniu fiesty na cześć Wuja Sama są tylko ksiądz proboszcz (nie ufa heretykom) i zrujnowany arystokrata (z pobudek honorowych). Fanom Mrożka ta słodko-gorzka komedia, w ojczyźnie uznawana za arcydzieło, powinna przypaść do gustu. Forma się zestarzała, ale treść pozostaje aktualna. ***Wiesław Chełminiak***

GRA TYGODNIA: „LAYERS OF FEAR"

To nie część kolejna, a dwie poprzednie skompilowane razem, przeniesione na silnik Unreal Engine 5 i okraszone bardzo niewielką ilością nowej zawartości. Krakowskie studio Bloober Team powraca do marki, którą w 2016 r. rozpoczęło swój romans z horrorami. Romans, którego najbardziej wyczekiwanym owocem ma być Silent Hill 2 Remake. I po prawdzie to na niego czekamy z niecierpliwością, a „LoF" w nowej szacie to osłoda nieprzesadnie słodka. To tytuł dobry, ale nie porywający, nazbyt monotonny. Szczęśliwie „Silent" czai się tuż za rogiem i mam przeczucie, że uderzy z wielką mocą. ©℗ ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★☆☆

- ***Gatunek:*** *Horror, przygodowe*
- ***Platforma:*** *XSX, PS5, PC*
- ***Producent:*** *Bloober Team (także wydawca)/Anshar Studios*

eprasa.pl 04f299c0b7

MOJA PÓŁKA

Alergia Andrzeja Bobkowskiego

KRZYSZTOF MASŁOŃ

Zmarły ponad 60 lat temu Andrzej Bobkowski funkcjonuje w historii literatury polskiej jako autor w gruncie rzeczy jednego dzieła, za to jakiego! Wydane po raz pierwszy na emigracji w 1957 r. „Szkice piórkiem" drogę do krajowego czytelnika miały niełatwą, docierały wolno i na dobrą sprawę dopiero w latach 80. znalazły szerszy krąg odbiorców i niezwykle entuzjastyczne przyjęcie. Ten mocno podrasowany dziennik z okupowanej przez Niemców Francji zniewalał swoją młodzieńczością, witalnością, a i europejskością, której tak tęsknie wówczas wypatrywaliśmy. Przy tym zdumiewał krytycyzm autora wobec tejże Europy i przenikliwe, jakże trafne oceny polityczne, dotyczące także przebiegu działań wojennych.

Dziś wiemy już – po porównaniu rękopisu dzieła z publikacją książkową – że różnice są ogromne i, wbrew temu, co twierdził Bobkowski, dokonał on bynajmniej nie marginesowych retuszów, które teraz – o czym przypominają badacze zajmujący się jego twórczością – każą zweryfikować przynajmniej część ustaleń budujących stereotypowy wizerunek pisarza – kosmopolity, liberała, antykomunisty.

Tak czy inaczej „Szkice piórkiem", podobnie jak również podejrzewany o manipulowanie tekstem „Dziennik 1954" Leopolda Tyrmanda, pozostają jednym z najciekawszych literackich świadectw swojej epoki. I dają wyobrażenie o skali talentu Andrzeja Bobkowskiego, pisarza – o czym możemy się teraz przekonać po lekturze dwóch tomów jego opowiadań i szkiców opracowanych i opatrzonych świetnymi posłowiami przez Krzysztofa Ćwiklińskiego – w nadzwyczajnym stopniu antyrosyjskiego.

FOT. ZBIORY MUZEUM LITERATURY/EAST NEWS

I tak pisząc np. o zapomnianym dziś Hermannie Keyserlingu, którym był Bobkowski wyraźnie zafascynowany, podkreślał celność postrzegania przez tego niemieckiego filozofa Polski: „[…] jest w stopniu o wiele gwałtowniejszym katolicka i zachodnia aniżeli jakikolwiek inny kraj właśnie dlatego, że dzięki swojemu słowianizmowi czuje ona specjalnie różnicę, jaka istnieje między nią a duchem rosyjskim".

Z kolei w szkicu o Conradzie („Biografia wielkiego Kosmopolaka") rzuca taką uwagę: „Całkowite uwolnienie się od Polski jest dla Polaka niemożliwe, bo Rosjanie nam na to nie pozwolą, i kto wie, czy na dnie naszej nieuleczalnej antyrosyjskości nie tkwi właśnie to". Wcale nie jestem pewien, czy – jako naród – jesteśmy rzeczywiście nieuleczalnie antyrosyjscy, dość mamy dowodów pozwalających zakwestionować to uogólnienie, za to z pewnością antyrosyjski, i to w każdym calu, był autor „Szkiców piórkiem". Właśnie antyrosyjski, a nie antykomunistyczny. Antykomunistyczny to był Józef Mackiewicz, a nie młodszy od niego o 11 lat Bobkowski.

W liście do matki pisał: „To bardzo osobiste, ale trudno – wobec wszystkiego, co rosyjskie, mam alergię i biologicznie mnie odrzuca". W „Szkicach piórkiem" wyraża to samo: „Rosji nienawidziłem od dziecka, żywiołowo, razem z ojcem, który do tego stopnia jej nie znosił, że już w Warszawie pachniało mu – Rosją". Wyjaśnijmy, że ojciec pisarza, Henryk Bobkowski, generał Wojska Polskiego, w czasie pierwszej wojny światowej walczył z Rosjanami, będąc ciężko ranny w bitwie pod Wolą Jaworową, gdzie dowodził kompanią. A dziadek Andrzeja Bobkowskiego, Mikołaj Bobkowski, był powstańcem styczniowym. Dość było tego, by na nic zdały się wysiłki matki pisarza, której zależało, by syn gruntownie poznał kulturę, a zwłaszcza literaturę rosyjską. „Bobkowski czytał Rosjan – powiada Krzysztof Ćwikliński w szkicu »Ja wiem, że nic wielkiego nigdy nie napiszę…«, rekapitulującym tom opowiadań twórcy »Coco de Oro« – choć dla większości z nich – jednym z nielicznych wyjątków był Iwan Bunin – nie miał uznania, więcej nawet: czuł do nich nieodpartą niechęć, nudzili go i odstręczali, nie miał ochoty wchodzić w wykreowane przez nich światy, ich psychoetnos był mu nieprzyjemny, wręcz wrogi. Maria Danilewicz-Zielińska uważała, że »antykomunistyczna postawa przechodzi u Bobkowskiego w antyrosyjską, nakazującą mu odrzucenie a priori wszystkiego, co rosyjskie«. I ten zarzut jest niesłuszny. Było odwrotnie". ©℗

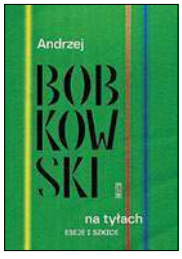

★★★★★★

ANDRZEJ BOBKOWSKI „NA TYŁACH. ESEJE I SZKICE" PIW, WARSZAWA 2023

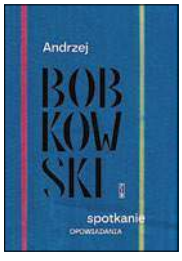

★★★★★★

ANDRZEJ BOBKOWSKI „SPOTKANIE. OPOWIADANIA" PIW, WARSZAWA 2023

eprasa.pl 04f299c0b7

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

I prawda, i ból

Od lutego 2022 r. przyspieszony kurs czytania współczesnej literatury ukraińskiej. Jedno z nowych nazwisk, które szczególnie zapamiętałem: Wiktoria Amelina. Lwowianka, dziecięciem będąc, marzyła o pisaniu, ale karierę robiła w komputerach i zarządzaniu, znaczy w korpo. Na szczęście dziecięce marzenia się spełniają i przyszedł czas, kiedy Amelina mogła już zająć się tylko pisaniem. Z imponującym efektem: jej jedyna przełożona na polski powieść („Dom dla Doma") to kawałek świetnej prozy. Los człowieczy i dzieje nowej Ukrainy z punktu widzenia psa. A dom, w którym pies czyni swe obserwacje, też nieprzypadkowy: kamienica, w której za młodu mieszkał Stanisław Lem.

W sierpniu zeszłego roku czytaliśmy „Dom dla Doma" z Łukaszem Orbitowskim na potrzeby audycji w PR24 („Posłowie", w każdą środę po godz. 22.06) i nachwalić się nie mogliśmy. Narracja bezbłędna, język piękny, w literach zaklęte i smutek, i prawda, i nostalgia, i ból, po którym rozpoznaje się zawsze, że człek ma do czynienia z prawdziwym pisaniem. I kolejne warstwy. Za zasłoną codziennych sporów i kłopotów – ukraińska transformacja ustrojowa. Za zasłoną transformacji – kłopot z sowieckim dziedzictwem. A za nim znów czające się pytania o nową tożsamość. Pytania, na które krwawych odpowiedzi zaczęto udzielać już po inwazji Rosji. Czy i na kamienicę Lema (oraz pudla Doma) opisaną w „Wysokim zamku" spadły odłamki? Miałem nadzieję, że nie.

A teraz myślę sobie, że lepiej byłoby podziurawiony dach we Lwowie przeboleć niż wieści o tej rosyjskiej rakiecie, z premedytacją wystrzelonej w leżący w centrum Kramatorska ważny obiekt militarny: pizzerię. Tak jak wcześniej celowo bombardowano tamtejszy dworzec kolejowy i lokalne centrum handlowe. Rosyjskie polowanie na ludzi. W pizzerii 12 osób zginęło na miejscu, w tym amerykański ochotnik, który od ponad roku walczył w Legionie Międzynarodowym. Wiktoria ciężko ranna trafiła do szpitala 27 czerwca. Od ponad roku jeździła w niebezpieczne strefy pracować z dziećmi i zbierać dowody rosyjskich zbrodni. Teraz sama padła takiej zbrodni ofiarą. Zmarła w szpitalu w Dnieprze 1 lipca. Ostatnią książką, którą podała do druku, był ocalony przez nią dziennik Wołodymyra Wakułenki, ukraińskiego pisarza zabitego przez Rosjan w Iziumie. ©℗

★★★★★☆
WIKTORIA AMELINA „DOM DLA DOMA" WYDAWNICTWO WARSTWY 2020

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Zebrane utwory satyryczne w opracowaniu Antoniego Libery. „Cisi i gęgacze", „Caryca", Towarzysz Szmaciak" i sporo utworów rozproszonych – jakże za to wszystko nienawidziły Szpota władze PRL.

JANUSZ SZPOTAŃSKI „BO MNIE STAĆ NA BLAGĘ" PIW

Zajmująco i kompetentnie o powikłanych dziejach politycznych Italii. Szczególnie ciekawe są rozdziały o ostatnich dekadach: „konserwatyzm jako odpowiedź na atmosferę skrajnej niepewności".

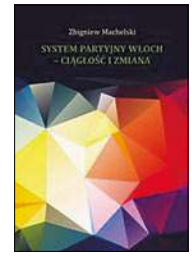

ZBIGNIEW MACHELSKI „SYSTEM PARTYJNY WŁOCH – CIĄGŁOŚĆ I ZMIANA" UNIWERSYTET OPOLSKI

Thriller orbitalny trochę w duchu opowieści z ostatniej dekady zimnej wojny: na międzynarodowej stacji kosmicznej mamy tajemniczą awarię, zgon i spisek rosyjski versus spisek amerykański.

JAKUB SZAMAŁEK „STACJA" W.A.B.

Urodzony opowiadacz historii, liryczny szyderca, wielki mizantrop i ateusz – nie było w ostatnim półwieczu zabawniejszego brytyjskiego autora niż twórca „Świata Dysku". Oto jego oficjalna biografia.

recenzuje Piotr Gociek

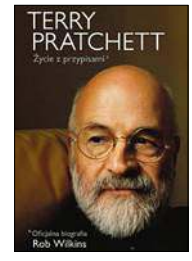

ROB WILKINS „TERRY PRATCHETT. ŻYCIE Z PRZYPISAMI" INSIGNIS

KOMIKS TYGODNIA: „BENIAMIN I BENIAMINA"

Archiwa twórców serii o Asteriksie zdają się nie mieć końca – tym razem Egmont proponuje zbiorcze wydanie wszystkich opowieści o parze sympatycznych bohaterów stworzonych w latach 50. Oprócz tego w tomie znalazły się obszerna opowieść o współpracy Uderzo z Goscinnym, o powstaniu kultowego magazynu komiksowego „Pilote" oraz krótsze historyjki autorstwa tego fenomenalnego duetu.

Piotr Gociek

RENE GOSCINNY, ALBERT UDERZO „BENIAMIN I BENIAMINA" EGMONT 2023

eprasa.pl 04f299c0b7

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Architektura wypoczynku

Konwencje, konstytucje, ustawy, umowy o pracę, inne akty prawne. Wszystkie one – zauważają autorzy wystawy „Wczasy. Krajobrazy wypoczynku" – głoszą, że człowiek ma prawo do wypoczynku. Z prawa tego korzystamy chętnie, za popytem podąża podaż, co ma swoje odbicie w infrastrukturze służącej wypoczynkowi. Ekspozycja, którą oglądać można w Muzeum Architektury we Wrocławiu do końca września, skupia się na budynkach i zespołach wypoczynkowych. Ikonicznych, najciekawszych, niestandardowych, zaskakujących.

Jakaż tu jest różnorodność. Od tradycji i zachowania form historycznych, od projektów uzyskujących harmonię z otoczeniem do awangardy, niestandardowego podejścia do projektowania, wolności i niepokorności twórczej. Na wystawie przedstawiono je w formie modeli i fotografii. 21 obiektów wzniesionych w XX i XXI w. Część jest nam dobrze znana, korzystamy z nich do dziś. Część już nie istnieje, a jeszcze inne po licznych przebudowach zupełnie zmieniły charakter.

FOT. JAKUB CERTOWICZ

GDZIE? *Muzeum Architektury we Wrocławiu*
KIEDY? *do 1 października*

FOT. PAWEŁ MAZUR

URODZINOWY ALBUM

Wilno świętuje swoje 700-lecie, ostrzegając sąsiadów – w świetnej jak zazwyczaj w wypadku tego miasta kampanii reklamowej – że będzie głośno. Echa jubileuszu wybrzmiewają i w Polsce – jednym z nich jest ta wystawa. O historii, pamięci i tożsamości opowiadają zdjęcia wykonane w XIX, XX i XXI w. Opowieść nie tylko o Wilnie, nawet nie tylko o Litwie, lecz także za sprawą powikłanej (na Litwie mają dźwięczne określenie – „żmut") historii – o naszej części Europy. ©℗

GDZIE? *Międzynarodowe Centrum Kultury w Krakowie*
KIEDY? *do 24 września*

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Na dobry nastrój

24 sierpnia miną dwa lata od śmierci najspokojniejszego Stonesa. Gigant rockowej perkusji najbardziej kochał żonę Shirley, konie i jazz. Za życia Charlie wydał dziewięć albumów jazzowych, przy czym najbardziej uwielbiał swingowe, bigbandowe granie.

Złożona z 22 nagrań antologia doskonale reprezentuje całość jazzowej kariery perkusisty. Zaczęła się ona w 1977 r., kiedy wystąpił w The Swindon Arts Centre z zespołem Boba Halla, pianisty boogie-woogie. Wówczas miał powiedzieć, że jest to „jednorazowy incydent". Trzy, po raz pierwszy publikowane, nagrania z tego koncertu są na końcu zestawu. Jeszcze na początku lat 60. Charlie namalował komiks „Ode To a Highflying Bird" w hołdzie Charlie Parkerowi. Na albumie znajdziemy wiele utworów z repertuaru amerykańskiego saksofonisty. Oczywiście na dwóch płytach roi się od bebopowych standardów, które często nabierają jive'owego wigoru. Jest też blues Johna Lee Hookera „Rock House Boogie". W zebranych nagraniach odnajdziemy wielu wspaniałych gości jak choćby szóstego Stonesa Iana Stewarta czy Bernarda Fowlera, który od lat śpiewa w stonesowskich chórkach.

„Anthology" otwierają standardy „Stompin' At The Savoy" i „Flying Home" z repertuaru orkiestry Benny'ego Goodmana, a później usłyszymy klasyki m.in. orkiestr Duke'a Ellingtona i Dizzy'ego Gillespiego. ©℗

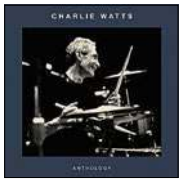

★★★★★☆
CHARLIE WATTS
„ANTHOLOGY"
BMG

★★★★☆☆
YUSUF/CAT STEVENS
„KING OF A LAND"
DARK HORSE

W latach 70. wszyscy nucili jego ballady. W '78 r. przeszedł na islam, przyjął imię Yusuf Islam i porzucił karierę muzyczną na 28 lat. „King of a Land" jest jego najlepszym albumem od czasu powrotu do muzyki popularnej. Nowe piosenki są rodzajem bajek dla młodych i starszych.

★★★★★☆
NOEL GALLAGHER'S HIGH FLYING BIRDS
„COUNCIL SKIES"
SOUR MASH

Przewodził Oasis, najpopularniejszej brytyjskiej grupie lat 90. Na czwartym solowym albumie Noel z kunsztem układa dostojne popowe melodie, wpada w psychodeliczne wiry, barwi soulowymi smykami, a nawet mruga do fanów The Cure. Zaskakująco przyjemna płyta.

eprasa.pl 04f299c0b7

Krzysztof Masłoń

W reality show „Temptation Island Polska" Michał Figurski wodzić ma uczestników zabawy na pokuszenie

FOT. EWELINA DZIWIR/POLSAT

Perły przed wieprze

Nowe już nie idzie, nowe przyszło. Jakby do Polsatu najbardziej. Ledwie miną wakacje, a na antenie TV4 zagości nowy rewolucyjny program z Mateuszem Gesslerem w roli głównej. Opatrzyły się, widać, „Hell's Kitchen", wcale nie tak piekielne, jak się wydawało na początku. Teraz ich miejsce zastąpi nowy reality show, pod poetycką nazwą „Para do gara". Co w nim będzie rewolucyjnego? Zagadkę wyjaśnia podtytuł tego potencjalnego hitu telewizyjnego, tylko z pozoru kulinarnego. Otóż brzmi on następująco: „Ona mówi, on gotuje". I tak trzymać.

Żeby nie było nieporozumień – w niemodnych, tradycyjnych związkach małżeńskimi zwanych też najczęściej ona mówiła, nierzadko do ściany, bo on był i ciałem, i duszą gdzie indziej, czyli w pracy, gdzie zarabiał pieniądze. Ona się jednak emancypowała, sama poszła do roboty, ale szybko się zorientowała, że tyra na dwa etaty, bo ledwie wróci z pracy, musi brać się do gotowania. I o ile pierwsze zajęcie dawało jej jakieś profity, o tyle z drugiego satysfakcję miała niewielką, bo też i na ogół strawę warzyła lichą.

Wreszcie rzekła „Non possumus" i podjęła stosowne kroki. Jej przyłączenie się do Strajku Kobiet było oczywiste, a gdy już wypowiedziała się o sprawach państwa, nadszedł czas na porządki we własnym domu. Teraz on będzie gotować, a ona robić bekę z jego zupek, sałatek i wypieków. A jak mu się co nie spodoba, to dostanie w ryj. Czegoś się w końcu nauczyła na manifestacjach.

Naturalnie na kuchni rewolucja nie może się skończyć. Genialny Janusz Szpotański, którego poematy wydał właśnie PIW („Bo mnie stać na blagę"), już w latach 70. opowiadał o rewolucjach szykowanych nad Sekwaną:

Księżna de Guise, jak głosi fama,
jest wielce postępowa dama.
To gwiazda Woman Liberation,
jej hasłem zmienić mężczyzn w gejsze,
największe zasię jej marzenie:
płci obu zrównać przyrodzenie
do tego stopnia, żeby książę
także zachodzić musiał w ciążę.
Nie jest to żadną fanaberią,
rzecz brana jest niezwykle serio,
z teoretyczną podbudową,
słowem – ostatnie wiedzy słowo,
gdyż księżna – daję słowo wam –
jest mózg najtęższy pośród dam,
po prostu istny Marks w spódnicy
w przebraniu salonowej lwicy.

Tak że wszystko przed nami, ale w realizacji odpowiednich programów uświadamiających zacofanemu narodowi pożytki płynące z pomieszania płci pomóc powinna Polsatowi telewizja z ulicy Wiertniczej, bo sam nie da rady, choćby w głównej roli obsadził powracającego właśnie na wizję po latach banicji Michała Figurskiego. W kolejnym reality show, „Temptation Island Polska" (a jak!), wodzić ma uczestników zabawy (?) na pokuszenie, do czego – jak wiadomo – świetnie się nadaje.

Ale że zadania, które stawia dziś nowoczesnym telewizjom rzeczywistość, są rangi najwyższej, koniecznie trzeba wzmocnić Figurskiego. Najlepiej Wojewódzkim. Bo zmieniać społeczeństwo to jednak nie to samo, co produkować kolejne odcinki uwielbianego ponoć przez widzów serialu paradokumentalnego „Trudne sprawy", skutecznie rywalizującego z TVN-owską „Ukrytą prawdą" o miano Superbadziewia. Trzeba dać spokój temu jakże szlachetnemu konkurowaniu, połączyć siły i wspólnie sprokurowanymi perłami zawstydzić telewizję nomen omen publiczną, wykazując całą wieprzowatość ich przaśnych biesiad i festiwali.

O wciąganiu telewizorni z Woronicza do udziału w przedsięwzięciach zmieniających durnych Polaków w światłych Europejczyków mowy być nie może, jako że po pierwsze – objęta jest salonową anatemą, a po drugie – taki np. Jarosław Jakimowicz, w co drugim zdaniu podkreślający swoje wolskie korzenie, z czego warszawiacy mieszkający na Okopowej nie wiedzą, czy mają się cieszyć czy wręcz przeciwnie, obśmiałby cały projekt jako sprzeczny z naszą tradycją i zdrowym rozsądkiem. Tak jakby oglądanie telewizji służyło zdrowiu!

Telewizja ma uczyć i bawić. Uczyć nie ma czego, gdyż od dawna nic, tylko poucza, a co do zabawy… Właśnie Telewizja Puls zafundowała nam już 24. Mazurską Noc Kabaretową. Kiedy się dowiedziałem, że swój komediowy talent ujawnić ma w całej krasie Barbara Kurdej-Szatan, wystraszyłem się nie na żarty. Okazało się, że niepotrzebnie. Znana z niesłychanej wrażliwości społecznej artystka zagrała wczasowiczkę, która ze swoim mężem wypoczywa wraz z państwem Kogutami z Kurnika. No, boki zrywać! Od razu przypomniał mi się znakomity numer Salonu Niezależnych „Bażant i kura":

– Jak idzie kura na śmierć. Tak podejdzie do tej szosy. Pończochy ma takie zwałkowane, ubrana jest, wiesz, nieładnie, jesionkę taką ma…

– Takie siaty.

– Tak stanie przy tej szosie, tak podfrunie, podbiegnie, stanie. Wróci, pójdzie.

– Pierdnie.

– A bażant ma, wiesz, jak leci na śmierć, to tak się wypręży i tak pazurami, tak tupie, przebiega!

– A jak!

Panią Kurdej-Szatan – jako że bażant z niej co się zowie – też zarekomendowałbym do udziału w przedsięwzięciach na nowo tworzących Polskę i Polaków. Nadaje się do nich jak najbardziej. ©℗

eprasa.pl 04f299c0b7

Zrozumieć „Imperium Zła”

Maciej Pieczyński

Inwazja na Ukrainę to kolejna odsłona wielowiekowej rosyjskiej ekspansji terytorialnej, maskowanej światłymi hasłami „wyzwolenia”. Najnowsza książka prof. Andrzeja Nowaka pozwala zrozumieć, że rosyjski imperializm to nie tylko podbój sąsiadów, lecz także walka z samą ideą państwa narodowego, tak bliska również wielu zachodnim sercom

W 2002 r. w jednym z wywiadów zapytano Władimira Putina, czym rządzona przez niego Rosja różni się od Związku Sowieckiego czasów Stalina. Intencja pytania była oczywista – pokazać, że krwawa dyktatura to słusznie miniona przeszłość, a teraźniejszość i przyszłość kraju upływają i upływać będą pod znakiem wolności i demokracji. Szczególnie że w 1991 r. w rozmowie z tym samym dziennikarzem Putin ze smutkiem ostrzegał przed możliwym „powrotem do totalitaryzmu”. Jedenaście lat później, już jako prezydent, ponownie wyraził smutek, ale z zupełnie innego powodu. Stwierdził mianowicie, że w porównaniu z epoką Stalina Rosja „stała się dużo mniejsza, niestety”. Od omówienia tych dwóch znamiennych wypowiedzi zaczyna się najnowsza książka prof. Andrzeja Nowaka „Powrót »Imperium Zła«. Ideologie współczesnej Rosji, ich twórcy i krytycy (1913–2023)”.

PUTIN – WIERNY UCZEŃ STALINA

To nie sympatia do ustroju komunistycznego, ale właśnie żal za utraconą wielkością terytorialną państwa sprawił, że Putin uznał rozpad ZSRS za największą katastrofę geopolityczną XX w. Inwazja na Ukrainę jest próbą częściowego odwrócenia skutków tej „katastrofy”. Jak zauważa prof. Nowak, choć Rosja jest największym państwem świata, to Rosjanie (nie tylko sam Putin) wciąż chcą więcej i więcej ziemi. Nie tyle zdobywać, ile – według oficjalnej narracji – „odzyskiwać” lub „wyzwalać”. To tradycyjna rosyjska retoryka. Przecież – jak przekonują nie tylko kremlowscy propagandyści, lecz także poważni, zdawałoby się, historycy z ojczyzny Puszkina – Rosja nigdy na nikogo nie napadała. Zawsze tylko broniła się przed agresją z zewnątrz, z reguły z kierunku zachodniego. Od czasów średniowiecznego księcia Aleksandra Newskiego, który walczył z niemieckim i ze szwedzkim rycerstwem, przez ludowe powstanie przeciwko „polskim interwentom” na początku XVII w., dwie wojny ojczyźniane (najpierw z Napoleonem, następnie z Hitlerem), aż do starcia z „kolektywnym Zachodem” (USA, NATO, Unia Europejska) i jego kijowskimi podnóżkami. Odbierała tylko te terytoria, które jej się „uczciwie” należały, „wyzwalając”

eprasa.pl 04f299c0b7

FOT. ADOBE STOCK

mieszkającą tam ludność. Również po 24 lutego 2022 r.

Andrzej Nowak przypomina słynny artykuł Putina z lipca 2021 r., przedstawiający ideologiczne, historiozoficzne uzasadnienie szykowanej już wtedy inwazji. „Rosjanie i Ukraińcy to jeden naród, wspólna całość" – argumentował władca Kremla. Tę wspólną całość uświęcił książę kijowski Włodzimierz, przyjmując prawosławny chrzest (według legendy na Krymie). „Niestety", później co i rusz wrogie siły ową jedność próbowały rozbić. Oddzielna tożsamość narodowa Ukraińców to sztuczny produkt antyrosyjskiej propagandy Polaków i Austriaków. Ukraina jako oddzielne państwo w swoich granicach z 1991 r. powstała zaś dzięki bolszewikom, którzy najpierw utworzyli ukraińską republikę sowiecką, by po 17 września 1939 r. przyłączyć do niej ziemie należące wcześniej do Polski (należące przy tym „niesłusznie", bo to przecież prastare, rosyjskie ziemie). Rosyjskie czołgi ruszyły zatem na Ukrainę, aby przypomnieć jej obywatelom, że w istocie są Rosjanami. Na razie z fatalnym skutkiem.

Zdaniem prof. Nowaka rosyjski imperializm w jego współczesnym wydaniu zrodził się w 1913 r., gdy pewien „cudowny Gruzin", jak nazwał Stalina Lenin, opracował podstawy bolszewickiej polityki narodowościowej. Zakładała ona utworzenie państwa, które, hołdując ideałom marksizmu, jednocześnie będzie silnie scentralizowanym państwem rosyjskim, oferującym podbitym narodom co najwyżej autonomię. Już cztery lata przed zdobyciem władzy było więc mniej więcej jasne, że bolszewicy będą kontynuować imperialną misję caratu, używając przy tym jednak innych haseł. Stąd też synkretyczny charakter również putinowskiej ideologii. Polityka historyczna Kremla łączy kult carów, prawosławnego „Trzeciego Rzymu" z kultem sowieckiego zwycięstwa nad faszyzmem. Wspólnym mianownikiem jest umiłowanie potęgi silnego wewnątrz i ekspansywnego na zewnątrz mocarstwa. Putin jest pod tym względem wiernym uczniem Stalina, nawet jeśli wzbrania się przed bezpośrednimi peanami na cześć „czerwonego cara".

Profesor Nowak szuka odpowiedzi na pytanie: Jaka jest prawdziwa natura rosyjskiego imperializmu? Agresywna Rosja ma więcej wspólnego (albo chciałaby mieć więcej wspólnego) z pokojowym, otwartym i tolerancyjnym Zachodem, niż mogłoby się wydawać, szczególnie biorąc pod uwagę aktualną sytuację na Ukrainie. Mylą się ci, którzy wierzą, że Moskwa jest wyłącznie światową stolicą konserwatyzmu, przedmurzem chrześcijaństwa i patriotyzmu oraz młotem na globalistów. W rzeczywistości Rosja jest nieprzejednanym wrogiem samej idei państwa narodowego. Nie jest to bynajmniej efekt zatrucia ideologicznego wirusem komunizmu. Choć rosyjska ideologia imperialna w znanym nam dzisiaj kształcie została w dużej mierze sformułowana pod piórem Józefa Stalina, to jej korzenie sięgają daleko wstecz, właściwie do samych początków księstwa moskiewskiego, które potem przekształciło się w carstwo, a następnie w imperium, także z nazwy. Sowiecki dyktator tylko zaktualizował o nowe treści odwieczną tradycję. Początkowo Moskwa zbierała ziemie ruskie i budowała swój autorytet światowego centrum prawosławia. Jednak dość szybko, bo już w XVI w., w efekcie podbojów na wschodzie, stała się mocarstwem wielonarodowym. W XVII w. pojawił się dylemat, czy ma ono być otwarte na świat (czytaj: czy ma ów świat podbijać, przyjmując instrumentalnie niektóre jego elementy) czy powinno się od tegoż „zepsutego świata" odizolować. Zwyciężyła pierwsza opcja. Rosja stawała się wielonarodowym imperium, ale z silnym rosyjskim centrum, które nie znosi konkurencji. Podbite ludy muszą uznać jego wyższość. Ukorzyć się przed rosyjskim władcą i zapomnieć o swoich ambicjach narodowowyzwoleńczych. Co najwyżej mogą liczyć na taki status, jaki ma Szkocja w Wielkiej Brytanii. Czyli polityczną niesamodzielność przy zachowaniu względnej regionalnej tożsamości. Zdaniem czołowego rosyjskiego historyka Aleksieja Millera Ukraina była taką „Szkocją" XIX-wiecznej Rosji. I mogłaby nią pozostać w XX w., w ramach koncepcji „trójjedynego narodu rosyjskiego", łączącego wszystkie trzy wschodniosłowiańskie nacje, wyrosłe z korzenia dawnej Rusi. Koncepcji imperialnej, negującej odrębność Ukraińców i Białorusinów. Ci pierwsi nie zechcieli jednak pójść tą drogą. Zainspirowani walką narodowowyzwoleńczą Polaków postanowili sami wybić się na niepodległość.

Profesor Nowak szuka odpowiedzi na pytanie: Jaka jest prawdziwa natura rosyjskiego imperializmu?

Po rozpadzie ZSRS Rosja miała szansę, by porzucić tożsamość imperialnego „więzienia narodów" na rzecz budowy własnego, odrębnego państwa narodowego. Z szansy tej jednak skorzystać nie zamierzała. Najbardziej minimalistycznym wariantem odbudowy

eprasa.pl 04f299c0b7

imperium była propozycja „ponownego zjednoczenia" trzech narodów wschodniosłowiańskich. Odrębność Ukrainy nie mieściła się w głowach największych autorytetów moralnych i intelektualnych. To, że za panowaniem Moskwy nad „trójjedynym narodem rosyjskim" opowiadał się Aleksandr Sołżenicyn, antykomunista, idealizujący carat, można jeszcze zrozumieć. Jednak nawet Josif Brodski, poeta dysydent, piewca indywidualnej swobody, pisał do uzyskujących niepodległość Ukraińców: „Niech was teraz Szwaby z Lachami / wezmą w lepiance od tylca…". Stosunek rosyjskiej inteligencji do imperium to też ważny wątek książki Andrzeja Nowaka. Nie trzeba wcale zastanawiać się, czy Rosja jest krajem Puszkina czy Putina. Puszkin bowiem, podobnie jak spora część wielkich twórców kultury rosyjskiej, imperializm popierał. Część badaczy wskazuje zresztą na fenomen imperializmu Rosji wymierzonego w samych Rosjan. Elity imperium w XVIII w. przyjęły kulturę Zachodu, co pogłębiło przepaść między nimi a ludem. To również daje do myślenia, jeśli chodzi o ideowe pokrewieństwo elit rosyjskich i zachodnich współcześnie…

OSTATNI KRZYK MODY

Imperializm i nienawiść do kategorii narodu mają Rosjanie niemalże we krwi. Niestety, pod tym względem wiele ich łączy z elitami intelektualnymi i politycznym Zachodu. I to jest bodaj najbardziej niepokojąca dla Polski refleksja, jaką można wyczytać na kartach książki prof. Nowaka. Historyk szeroko omawia akademicką dyskusję wokół Rosji i ZSRS, która toczyła się przez lata w państwach zachodnich. Słynne słowa Ronalda Reagana o „imperium zła" przez długi czas traktowane były z reguły jako ocena krzywdząca, niesprawiedliwa. Nawet gdy o imperialnym charakterze Związku Sowieckiego pisali wybitni historycy, tacy jak Richard Pipes, spadała na nich fala krytyki. Zarzucano im, że ich intencje mają charakter nie naukowy, lecz polityczny – że tak naprawdę zależy im po prostu na tym, aby ZSRS rozpadł się jak wszystkie inne imperia wzdłuż etnicznych (narodowych) szwów. Dopiero na przełomie lat 80. i 90., gdy rzeczywiście czerwone mocarstwo chwiało się już w posadach, „imperiologia" stała się, jak to ujmuje Andrzej Nowak, „ostatnim krzykiem mody". Wreszcie imperialny, agresywny w swej istocie charakter Związku Sowieckiego przestał być tematem tabu.

Rosyjska ideologia imperialna od wieków ma charakter antyzachodni. Moskwa chce albo być „trzecim Rzymem", czyli jedynym prawdziwym centrum duchowym (i politycznym) świata, albo „drugim Rzymem", czyli jednym z dwóch takich centrów. A jeśli nie uda się ani jedno, ani drugie, to wybierze drogę „pluralizmu cywilizacji", czyli „świata wielobiegunowego", w którym jest miejsce na wiele regionalnych mocarstw ze swoją strefą wpływów. Jest więc w myśleniu Kremla miejsce na koegzystencję z Zachodem. Zawsze jednak będzie to koegzystencja kosztem „małych narodów" położonych między Rosją a Niemcami. Jak stwierdza popularna rosyjska historyk o poglądach imperialnych Natalia Narocznicka, to właśnie Berlin i Moskwa są jedynymi „organizatorami Europy Wschodniej". Tylko one, jako silne mocarstwa, mają prawo do decydowania o losach położonych pomiędzy nimi „państewek".

Jak słusznie zauważa prof. Nowak, spuścizna komunistyczna urozmaiciła znacząco repertuar kremlowskiej propagandy imperialnej. Rosja, z jednej strony szermując hasłem obrony prawosławia czy tradycyjnych wartości, z drugiej strony występuje w roli pogromcy faszyzmu, nacjonalizmu czy antysemityzmu. To zaś sprawia, że jej retoryka może trafić do zachodniego odbiorcy o poglądach lewicowo-liberalnych. W pewnym sensie jest to kontynuacja starych, imperialnych tradycji – już przecież Katarzyna II Wielka zdobywała poklask zachodnioeuropejskich salonów, bagnetem i szablą wprowadzając „ideały oświecenia" w ogarniętej „ciemnotą i nietolerancją" Rzeczypospolitej… Niestety, Zachód wciąż uważa imperializm za mniejsze zło niż nacjonalizm. Dlatego Moskwa, mając w rękawie asa postępowej, antynazistowskiej retoryki, podpartej doświadczeniem zwycięstwa w drugiej wojnie światowej, może „skutecznie przekonywać miliony odbiorców poza Rosją do tezy, że w istocie próbuje teraz bohatersko wyzwolić Ukrainę ze szponów amerykańskiego imperializmu i usunąć stamtąd raka neofaszyzmu czy antysemityzmu (groźnego również w innych krajach, które wydostały się spod sowieckiej opieki, takich jak państwa bałtyckie czy Polska)". Te argumenty, jak podkreśla autor, trafiają na podatny grunt głównie w krajach globalnego południa. Mogą jednak przekonać również „postępowe" koła na zachodzie Europy, gdzie często, niestety, Waszyngton traktowany bywa jako rywal groźniejszy niż Moskwa.

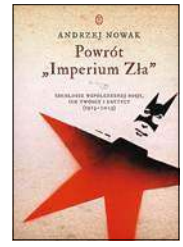

ANDRZEJ NOWAK
POWRÓT „IMPERIUM ZŁA"
WYDAWNICTWO LITERACKIE
2023

WOJNA CYWILIZACJI

„Rosja – trzeci i ostatni Rzym chrześcijaństwa, a zarazem ostroja zdrowego rozsądku wobec pogrążającego Zachód moralnego i intelektualnego kryzysu. Rosja – tradycyjnie wielka mediatorka, w harmonii z innymi »tradycyjnymi« mocarstwami, zwłaszcza z Niemcami i Francją, gwarantująca sprawiedliwy pokój i ład globalny w czas burzy i niepokoju […]. Rosja – ostatnia nadzieja dla walczących na całym świecie z amerykańską hegemonią i powstrzymująca faszystowsko-rasistowską recydywę wokół swoich granic […]. Rosja broniąca pluralizmu cywilizacyjnego przed jednostronną […] dominacją »Anglosaksów«" – pisze autor, wymieniając szeroką paletę propagandowych narracji, którymi żongluje Putin w swoich publicznych wywodach na temat historii.

Z lektury książki Andrzeja Nowaka można wyciągnąć zaskakujący dla wielu wniosek. Na Ukrainie toczy się wojna cywilizacji. Jednak wbrew często formułowanym tezom nie jest to starcie liberalnego Zachodu z konserwatywnym Wschodem. Linia frontu przebiega niemal odwrotnie. Wojna toczy się między ideą państwa narodowego, które samodzielnie wybiera swoją drogę rozwoju, a koncepcją imperium, które z góry, autorytatywnie, narzuca innym swój wzorzec postępu, instrumentalnie używając przy tym haseł walki z „faszyzmem". W rzeczywistości dążąc do budowy świata, którym rządzą imperia, nie zaś narody.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 04f299c0b7

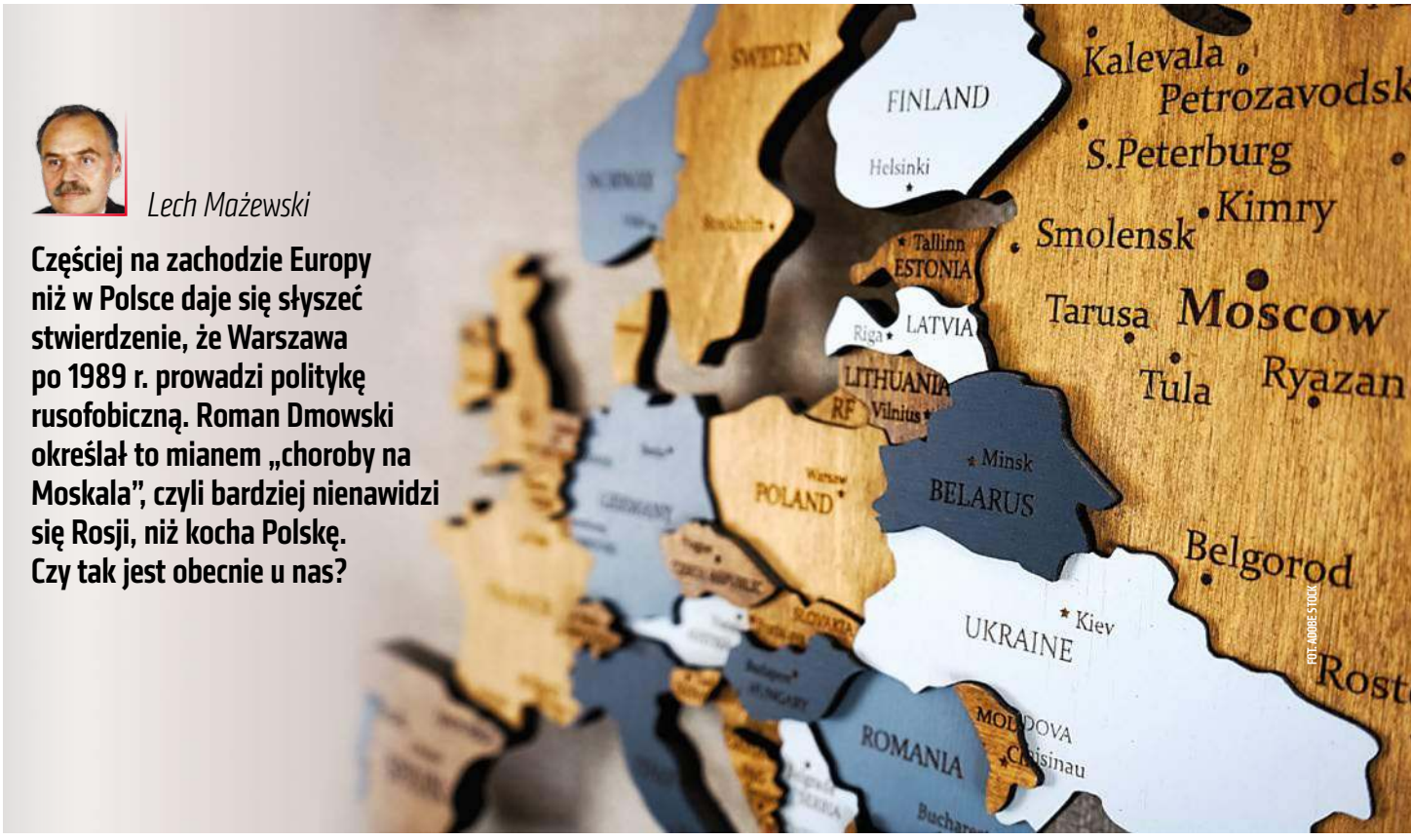

FOT. ADOBE STOCK

Lech Mażewski

Częściej na zachodzie Europy niż w Polsce daje się słyszeć stwierdzenie, że Warszawa po 1989 r. prowadzi politykę rusofobiczną. Roman Dmowski określał to mianem „choroby na Moskala", czyli bardziej nienawidzi się Rosji, niż kocha Polskę. Czy tak jest obecnie u nas?

Obawiać powinniśmy się Niemców

Istnienie po rozpadzie ZSRS w 1991 r. pasa państw pozablokowych w sensie przynależności militarnej od Finlandii i Szwecji przez Litwę, Łotwę i Estonię, a następnie Białoruś, Ukrainę i Mołdawię – nieco zachwiane z powodu powstania ostatecznie na początku 2000 r. tworu o nazwie Państwo Związkowe Rosji i Białorusi (PZRiB) – mogło mieć potencjalnie olbrzymie znaczenie dla sytuacji w Europie. W ten sposób pojawiłaby się bardzo obszerna przegroda między NATO a Rosją, nawet z udziałem dawnych europejskich państw socjalistycznych, w tym Polski. Z pewnością w takiej sytuacji nie wybuchłby żaden konflikt rosyjsko-ukraiński, chyba żeby Kijów przystąpił do gwałtownej ukrainizacji obszarów rosyjskojęzycznych w imię wymagań nacjonalistycznych zamiast budowy państwa regionalnego.

Powstanie takiego pasa państw wręcz się narzucało, a jednak do tego nie doszło. A przecież od połowy lat 50. zeszłego wieku w środkowej i południowej Europie Szwajcaria, Austria i Jugosławia pełniły na mniejszą skalę taką funkcję, rozdzielając w jakimś stopniu NATO od Układu Warszawskiego. Dlaczego tym razem okazało się to niemożliwe? Czy utrzymanie się takiego pasa państw byłoby w interesie tak Polski, jak Ukrainy?

USA i Rosja nie chciały powstania takiego pasa państw. Waszyngtonowi uniemożliwiłoby to ekspansję militarną na tereny dawnego ZSRS, a także sabotowanie chińskiej inicjatywy pasa i szlaku. W przypadku zaś Moskwy odpadłaby możliwość skupienia w jej granicach obszarów ruskiego miru, a więc Białorusi, Ukrainy i północnego Kazachstanu, co postulował już dużo wcześniej Aleksander Sołżenicyn.

W interesie Kijowa było jednak powstanie takiego tworu geopolitycznego, bo dzięki temu to wielkie terytorialnie państwo z ludnością liczącą u progu

eprasa.pl 04f299c0b7

niepodległości w 1991 r. ponad 50 mln mieszkańców i z liczącym się przemysłem (chociażby kosmicznym) mogłoby przeżywać okres prosperity, gdyby oczywiście nie ukształtowała się tam żerująca nań oligarchia. Także my powinniśmy chcieć, aby ten pas państw się uformował, gdyż Polska nie tylko nie stałaby się państwem frontowym, lecz także Rosja zostałaby odsunięta daleko od naszych granic. Co więcej, można to było osiągnąć bez wojny. A przedstawiciele fundacji Strategy and Future uważają, że tylko pokonanie Moskwy może nam to zapewnić.

Pamiętając, że nec Hercules contra plures, jednak wydaje się, iż w Polsce w ogóle nie było zrozumienia geopolitycznego znaczenia sytuacji, jaka istniała na północ, wschód i południe od naszych granic. Świadczyć o tym mogą chociażby zawarcie w 2016 r. umowy o daleko idącej pomocy Polski dla Ukrainy w wypadku wojny oraz nasze działania po wyborach prezydenckich na Białorusi w 2020 r. podejmowane w imię zwycięstwa demoliberalizmu i walki z wpływami Rosji. W efekcie przyczyniliśmy się w jakimś stopniu do niepowstania wzmiankowanego pasa państw pozablokowych.

Można było spróbować postawić kwestię statusu tych państw w odpowiedzi na rosyjskie żądania z 17 grudnia 2021 r. w sprawie nowej architektury bezpieczeństwa w Europie, ale USA z tego nie skorzystały. Sednem tych żądań było wyrzeczenie się przez Ukrainę możliwości wejścia do NATO, ale nie zakaz wejścia do Unii Europejskiej.

Ostatecznie szanse na realizację takiego rozwiązania geopolitycznego zostały pogrzebane 24 lutego 2022 r. wraz z intensyfikacją konfliktu rosyjsko-ukraińskiego, aż do otwartej wojny, a następnie przystąpieniem Finlandii, a zapewne wkrótce i Szwecji, do NATO.

CZY POLSKA ODPOWIEDŹ JEST ADEKWATNA?

W Polsce przeważa opinia, że polityka rządu Mateusza Morawieckiego wobec nasilającego się od zeszłego roku konfliktu nad Dnieprem ma adekwatny charakter do powstałego zagrożenia, które polega na tym, że w przypadku zwycięstwa Moskwy wojska rosyjskie mogłyby się pojawić nad Bugiem. Ta postawa jest w dużym stopniu usprawiedliwiona, stąd trudno się dziwić, że poparcie dla antyrosyjskiej polityki rządu jest duże i ma charakter ponadpartyjny. Jednak z niczym takim nie mielibyśmy do czynienia, gdyby pas państw pozablokowych od Finlandii do Ukrainy i Mołdawii stał się faktem.

Czyniona niekiedy w tym kontekście paralela między kryzysem karaibskim z 1962 r. a konfliktem na Ukrainie od 2022 r. nie ma mocnych podstaw. Na Kubie rzeczywiście zainstalowane były sowieckie rakiety z głowicami atomowymi, nie mówiąc o innym sprzęcie wojskowym, z czym nie mieliśmy do czynienia nad Dnieprem (chociaż nie da się wykluczyć, że w przyszłości Amerykanie mogliby do tego doprowadzić). W tej sytuacji działania podjęte przez prezydenta Johna F. Kennedy'ego były znacznie bardziej uprawnione niż te prezydenta Władimira Putina, które jawią się jako rodzaj źle skrywanej agresji pod nazwą „specjalna operacja wojskowa".

Naprawdę nie ma żadnej potrzeby podgrzewania nastrojów antyrosyjskich w masach

Nie ma wątpliwości, że Polska, chociażby ze względu na swoje położenie geograficzne, a także silne związki z USA, musiała uczestniczyć w dostarczaniu pomocy wojskowej dla Kijowa. Czy jednak rzeczywiście powinniśmy w tak ponadnormatywny sposób, niczego w zamian nie oczekując, przekazywać Ukrainie własny sprzęt wojskowy? Czy nie można było powiedzieć, że chociażby posowieckie czołgi T-72 czy leopardy z niemieckiego demobilu są w tak złym stanie technicznym, że wymagają czasochłonnego remontu, bo inaczej nie będą miały odpowiednich walorów bojowych? A najlepiej to trzeba poczekać na amerykańskie abramsy, które dopiero byłyby właściwym narzędziem do rozbicia wroga. Widoczna nadgorliwość w działaniu polskich władz wynika zapewne z rusofobii, nad którą nie dało się zapanować w imię troski o stan własnej obronności.

Naprawdę nie ma żadnej potrzeby podgrzewania nastrojów antyrosyjskich w masach, czyniąc z nich bez mała najważniejszą cnotę kardynalną. Co ciekawe, opozycja (zarówno liberalno-lewicowa, jak i prawicowi konfederaci) za punkt honoru postawiła sobie, żeby w rusofobii nie dać się nikomu prześcignąć. Rzeczywiście, w warstwie werbalnej obserwujemy wielki triumf antyrosyjskiego patriotyzmu i to także wśród tych, którzy dotąd, będąc fanatycznymi zwolennikami UE, bez mała brzydzili się polskością.

POLSKA A UKRAINA

Od połowy zeszłego roku zarówno w publicznych wystąpieniach rządzących (głównie chodzi o prezydenta Andrzeja Dudę), jak i niektórych geopolitycznych aktywistów, z Markiem Budziszem i Jackiem Bartosiakiem ze Strategy and Future, pojawiają się dość niejasne frazy o konieczności zacieśnienia relacji między Polską a Ukrainą po zakończeniu obecnej fazy konfliktu nad Dnieprem. W tym kontekście mówi się o federacji polsko-ukraińskiej albo o związku obu państw, choć nie używa się tu odpowiedniego terminu: konfederacja. W obu przypadkach nie byłoby już Polski, ale Rzeczpospolita, a jej obywatele to jacyś mityczni Rzeczypospolitanie, co Bartosiakowi mają suflować jego amerykańscy mentorzy. Ostatnio natomiast podnosi się sprawę ścisłego sojuszu wojskowo-polityczno-gospodarczego między Warszawą a Kijowem. Czy i te wypowiedzi podszyte są rusofobią?

Już w punkcie wyjścia drażni nieprecyzyjne używanie terminów, gdyż federacja, związek państw (konfederacja) i zawarcie traktatu międzypaństwowego o współpracy to nie to samo. W przypadku federacji chodzi o powstanie państwa związkowego kosztem likwidacji odrębnego bytu państw nań się składających, z czym nie mamy do czynienia odnośnie do konfederacji, gdzie obok istniejących dotychczas państw pojawia się kolejny twór państwowy, właśnie ów związek państw. Nie ma natomiast mowy o zmianie statusu publicznoprawnego państw zawierających traktat międzypaństwowy o współpracy, a nawet ustanawiający ścisły sojusz wojskowo-polityczno-gospodarczy. Jest oczywiste, że Budzisz może

eprasa.pl 04f299c0b7

tego wszystkiego nie wiedzieć, bo nie jest prawnikiem, ale dla absolwentów studiów prawniczych odnosi się to zarówno do prezydenta Dudy, jak i Bartosiaka, powinna być to oczywista oczywistość, ale z jakichś powodów tak nie jest.

Powyższe pomysły ustrojowo-polityczne nie są jakoś szczególnie oryginalne. Z federacją polsko-litewsko-ukraińską mieliśmy przecież do czynienia na gruncie unii hadziackiej z 1658 r. Tamten twór przetrwał niecały rok, rozniesiony na szablach Kozaków zaporoskich. O ścisłym sojuszu polsko-ukraińskim była mowa w traktacie z 21 kwietnia 1920 r. wraz z konwencją wojskową zawartą trzy dni później. 18 marca 1921 r. traktat pokoju podpisany w Rydze między Polską a sowiecką Rosją i sowiecką Ukrainą obrócił w niwecz ustalenia marszałka Józefa Piłsudskiego i Semena Petlury. Wynikało to głównie z tego, że tylko nieliczni Ukraińcy byli gotowi walczyć wspólnie z Polakami, a niesowiecka Ukraina okazała się fikcją. Prawda, że konfederacji polsko-ukraińskiej dotąd nie było, ale wystarczy spojrzeć na PZRiB, której faktyczny status znacznie bardziej przypomina związek państw niż istnienie państwa związkowego, żeby się zorientować, jak mogłoby to wyglądać. Jasne powinno być, że w takim związku państw to nie Polska odgrywałaby rolę Rosji, skoro to my mamy być sługą narodu Ukrainy i jeszcze w dodatku z Moskwą zbrojnie walczą Ukraińcy, a nie Polacy. Tylko propaganda kremlowska może w Polsce widzieć przyszłego hegemona Wschodu.

Na nasze szczęście dziś sytuacja wygląda tak, że głównym partnerem Kijowa po zakończeniu tej fazy konfliktu będzie nie Warszawa, a Berlin, obok, jak dotychczas, państw anglosaskich z USA w roli głównej. Stanie się tak dlatego, że Polska nie może już nic więcej Kijowowi dać, a RFN – jak najbardziej. Takie przynajmniej są efekty rozmów niemiecko-ukraińskich, jakie miały miejsce w Berlinie w połowie maja tego roku. Po raz kolejny wyżej nad labidzeniami o wartościach czy obłapianiem się głów państw stoją zasady Realpolitik, co świetnie rozumieją liderzy Ukrainy, a czego nie są w stanie pojąć nasi prostolinijni i wręcz naiwni przywódcy, u których polityczna nieporadność idzie na wyścigi z rusofobią.

Dlaczego Warszawa nic nie zrobiła w sprawie powstania przegrody – od Finlandii do Ukrainy i Mołdawii?

W trakcie wojny 1920 r. byliśmy świadkami próby realizacji pomysłów forsowanych dziś przez Budzisza i Bartosiaka. W maju 1920 r. wojsko polskie wkroczyło do Kijowa, żeby wesprzeć sformowanie znaczącej siły zbrojnej niepodległej Ukrainy, po czym obie armie miałyby przemieścić się do Bramy Smoleńskiej w celu pobicia wojsk sowieckich koncentrujących się tam pod dowództwem Michaiła Tuchaczewskiego. Na koniec Polacy doprowadziliby do osadzenia na Kremlu więzionego w taborach Borysa Sawinkowa, występującego w roli nowego Dymitra Samozwańca. Wszystko to zakończyło się totalnym niepowodzeniem, a na początku sierpnia 1920 r. rozpoczęła się dramatyczna bitwa o Warszawę i niepodległość Polski w ogóle – zakończona naszym sukcesem nad bolszewikami. A przecież nie o to chodziło w tej wojnie, ale o przebudowę Wschodu w sensie dokończenia dzieła Gedymina, który nie zniszczył Moskwy, zanim stała się potęgą.

Czy geopolitycznym następcom marszałka Piłsudskiego i ich zwolennikom poszłoby lepiej – nic na to nie wskazuje. Nawet zamieszanie wywołane niedawnym wystąpieniem Jewgienija Prigożyna nie świadczy jeszcze o tym, że rozpad państwa rosyjskiego i jego armii jest na wyciągnięcie ręki. Antymoskiewskie wzmożenie to zdecydowanie za mało, żeby osiągnąć to, czego nie udało się uzyskać w 1920 r. Wydaje się też, że zagrożenie związane z ewentualnością obrony naszej niepodległości na ulicach polskiej stolicy nie ma w tym przypadku żadnego znaczenia. Ale na razie pomysły aktywistów ze Strategy and Future traktowane są jedynie jako rodzaj geopolitycznych fantazji, a nie obowiązujące wytyczne polskiej polityki, i niech tak zostanie, bo inaczej nieszczęście gotowe.

Realizacja któregoś z analizowanych pomysłów ustrojowo-politycznych mogłaby przynieść tylko jedną korzyść dla Polski, a mianowicie rozluźnienie zaciskającej się na naszej szyi pętli federalizującej się UE pod egidą Niemiec. W nieodległej przyszłości zamiast państwa polskiego, jakie znamy, powstałaby struktura podobna do Protektoratu Czech i Moraw z 1939 r. – bez własnej polityki zagranicznej i odrębnej armii, jednak z zachowaniem reszty aparatu państwowego i polskim jako językiem urzędowym. Ze ścisłych związków polsko-ukraińskich zapewne nic nie będzie, ale zagrożenie czechizacją Polski należy traktować jak najbardziej poważnie.

POLITYKA RUSOFOBICZNA

Dlaczego Warszawa nic nie zrobiła w sprawie powstania przegrody biegnącej od Finlandii do Ukrainy i Mołdawii? Co jest rzeczywistym źródłem wszystkich pomysłów w sprawie nowego kształtu relacji polsko-ukraińskich? Nie bardzo wierzę, że chodzi tu o zabiegi na rzecz realizacji interesu Polski. Raczej mamy do czynienia z kolejnymi przejawami dobrze znanej rusofobii, która spotyka się z pozytywnym przyjęciem ze strony patriotycznie usposobionych mas. Myślą przewodnią tych wysiłków byłoby pozbawienie Rosji miejsca w systemie europejskim, które zajmuje ona od czasu zwycięstwa w wojnie północnej (1700–1721). Nareszcie polityka odwetu na Moskwie miałaby okazać się skuteczna, choć dotychczas tak nie było – mimo wielokrotnych prób. Tymczasem wszystko wskazuje na to, że Niemców będziemy mieli nie tylko na zachodniej granicy, lecz także i południowo-wschodniej, a ponadto nie ustrzeżemy się przed ich dominacją w ramach federalizującej się UE. I nie jest to przedmiotem żadnych obaw ze strony polskiej polityki zafiksowanej na kierunku rosyjskim.

Klarownie, acz jednocześnie dosadnie, w prostych żołnierskich słowach, określił całą tę sytuację zimą 1929 r. w warszawskiej Adrii płk Bolesław Wieniawa-Długoszowski, ulubiony adiutant marszałka Piłsudskiego. Mocno podpity powiedział wówczas do młodego Wojciecha Wasiutyńskiego: „Ja mam w d…. Polskę, ja chcę bić Moskali". Po raz kolejny okazuje się, że Dmowski z tą „chorobą na Moskala" miał rację.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest ustrojoznawcą, doktorem habilitowanym.

eprasa.pl 04f299c0b7

Franciszek, papież dyktator?

Paweł Chmielewski

W listopadzie 2017 r. ukazała się we Włoszech książka „Papież dyktator" pióra Marcantonia Colonny (jego prawdziwe nazwisko to H.J.A. Sire). Opisany przezeń sposób sprawowania władzy przez Franciszka uzasadniał nadany pracy tytuł. Wówczas nikt jeszcze nie sądził, że po kilku latach miano „dyktatora" będzie opisywać Franciszka jeszcze lepiej

Słynny włoski watykanista Sandro Magister opublikował niedawno artykuł, w którym nazwał papieża Franciszka samozwańczym „królem z boskiego nadania". Dlaczego? 13 maja tego roku papież opublikował nową watykańską „konstytucję", dosłownie – „Prawa fundamentalne Państwa Miasta Watykanu". Dokument wprowadza wiele szczegółowych zmian, które nie są dla ogółu katolików ani nadmiernie ważne, ani szczególnie interesujące. Z jednym wyjątkiem: chodzi o źródło, z którego Franciszek wyprowadził swoje prawo do ogłoszenia takiej „konstytucji". „Wezwany do wykonywania na mocy munus petrinum władzy suwerennej również nad Państwem Miasta Watykanu..." – napisał. Co w tym zaskakującego? Tym jednym zdaniem, otwierającym „konstytucję", Franciszek powiązał urząd papieski (munus petrinum, posługę Piotrową) ze sprawowaniem władzy doczesnej nad Państwem Watykańskim. Owszem, papieże sprawowali i sprawują najwyższą władzę suwerenną nad państwami. W doktrynie Kościoła nie uchodziło to jednak za sytuację związaną istotowo z ich urzędem.

Aby to wyjaśnić, Magister zacytował kard. Luigiego Lambruschiniego, sekretarza stanu z czasów pontyfikatu Grzegorza XVI (1831–1846). Lambruschini wskazywał, że fakt bycia przez papieża suwerenem własnego państwa jest opatrznościowy i dobry dla religii, bo pozwala zachować swobodę podejmowania decyzji i opierać się naciskom władzy świeckiej. Zwracał jednak uwagę, że nie zachodzi tu żaden związek konieczności: papież może być, ale nie musi być suwerenem państwowym. Gdyby było inaczej, wskazywałoby to wręcz na fałszywość chrześcijaństwa: przecież papieże pierwszych wieków, choć byli pełnoprawnymi następcami św. Piotra, to nie sprawowali żadnej władzy doczesnej. Innymi słowy, to, że papież jest nie tylko głową Kościoła katolickiego, lecz także zarazem głową państwa, to wspaniałe zrządzenie Opatrzności – ale tylko tyle. Nie należy do istoty papiestwa.

ROSNĄCA WSZECHMOC

Przez najbliższe miesiące w gronie ekspertów będą toczyć się dyskusje nad właściwą interpretacją decyzji Franciszka: Czy można to rozciągnięcie urzędu Piotrowego na władzę doczesną pogodzić z Tradycją czy chodzi jednak o niewytłumaczalne novum? Sam Franciszek w żaden sposób nie uzasadnił swojej decyzji o wyprowadzeniu władzy doczesnej z urzędu Piotrowego. Zadziałał arbitralnie, w stylu opisanym przez Colonnę/Sire'a. Jedenastowieczny teolog benedyktyński z Anglii o imieniu Eadmer, pisząc o niepokalanym poczęciu Najświętszej Maryi Panny, stwierdził, że Bóg podjął taką decyzję, bo mógł i chciał. Podobnie zachował się Franciszek: chciał ogłosić się „królem Watykanu", mógł – bo i kto mu zabroni? – więc to zrobił. Jedynym uzasadnieniem tej głęboko niejasnej zmiany są polityczna siła Franciszka i brak jakiegokolwiek sprzeciwu w szeregach Kościoła. Biskupi i kardynałowie – zwłaszcza ci drudzy – uparcie milczą w obliczu kolejnych zaskakujących posunięć Ojca Świętego. A niezależnie od ostatecznej oceny prawno-kanonicznych implikacji najnowszego posunięcia Franciszka decyzja z 13 maja to tylko kolejna z wielu zwiększających centralizm władzy i jego osobistą „wszechmoc".

W czerwcu 2022 r. papież ogłosił inny fundamentalny dokument prawny, konstytucję apostolską „Praedicate evangelium", która zreorganizowała zasady działania Kurii Rzymskiej. Zgodnie z tradycją na czele urzędów kurialnych stali dotąd biskupi i kardynałowie. Wynikało to z prostego faktu: zgodnie z nauką Kościoła święcenia biskupie wiążą się z trzema posługami (tzw. tria munera): nauczania, uświęcania i rządzenia (docendi, sanctificandi, regendi). Innymi słowy, biskup

eprasa.pl 04f299c0b7

FOT. VATICAN POOL/GETTY IMAGES

jest władny nauczać religii katolickiej, kierować liturgią oraz bezpośrednio zarządzać powierzoną mu owczarnią. Może to wszystko czynić we właściwych granicach, w podległości biskupowi Rzymu, ale te trzy „władze" zakorzenione są w samych jego święceniach.

MARGINALIZACJA BISKUPÓW

Najwyższa władza w Kościele należy, oczywiście, wyłącznie do papieża, jak to jasno definiuje konstytucja dogmatyczna pierwszego Soboru Watykańskiego „Pastor aeternus". Jednak nawet ten dokument, definiujący dogmat o nieomylności papieskiej, przypomina o „zwyczajnej i bezpośredniej władzy biskupiej jurysdykcji" i „ustanowieniu biskupów od Ducha Świętego na miejsce Apostołów". Tymczasem w „Praedicate evangelium" Franciszek uznał, że w Kurii Rzymskiej żaden biskup nie może sprawować władzy na mocy swoich własnych święceń. Nie, jeżeli przewodniczy jakiemuś urzędowi, to robi to tylko na mocy papieskiej delegacji. Dlatego na czele urzędów mogą stać teraz nie tylko biskupi i kardynałowie, lecz także świeccy: całość autorytetu w Kurii Rzymskiej jest dziś wyprowadzana z delegacji Franciszka.

Idźmy dalej. W 2021 r. papież rozpoczął globalny proces synodalny, który ma rzekomo zdemokratyzować podejmowanie decyzji w Kościele. Co to oznacza w praktyce? Ma zostać zmniejszona… rola biskupów w podejmowaniu decyzji. W październiku tego roku odbędzie się w Rzymie Synod Biskupów. Jednak ponad 20 proc. jego uczestników… nie będzie biskupami. Obok następców apostołów w synodzie udział wezmą również księża, zakonnicy, zakonnice oraz osoby świeckie. Będą mieć prawo głosowania. Jak to możliwe, że osoby, które nie uczestniczą w kościelnym munus regendi – posłudze rządzenia – będą głosować na synodzie? To banalnie proste: wola ojców synodalnych nie ma bowiem żadnego, dosłownie żadnego, znaczenia.

Synod Biskupów został ustanowiony przez św. Pawła VI jako organ doradczy. Jednak dotychczasowy sposób działania tej instytucji realizował zasadę kolegialności w Kościele, która leżała w samym sercu nauczania Soboru Watykańskiego II. Kolegialność oznacza wspólne sprawowanie władzy: przez papieża, ale razem z biskupami, którzy działają cum Petro et sub Petro (z Piotrem i pod Piotrem). Franciszek przekształcił Synod Biskupów. W gruncie rzeczy nie ma już nawet sensu utrzymywanie dawnej nazwy: teraz jest to raczej Synod Ludu Bożego, jeżeli trzymać się tego tak drogiego kościelnym liberałom określenia. Zdanie pojedynczego biskupa nie waży już więcej niż zdanie świeckiego. Podobnie jak w Kurii Rzymskiej wszyscy są w pewnym sensie tylko delegatami papieża. Jest zresztą znamienne, że decyzję o ogłoszeniu wielkiego, globalnego procesu synodalnego papież ogłosił nagle i bez zapowiedzi, nie definiując nawet podstawowych pojęć: do dziś nie wiadomo, czym jest „synodalność". Nakazał na gwałt organizować debaty z wiernymi, tak, jakby biskupi nawet nie musieli wiedzieć, w czym uczestniczą.

Ograniczanie władzy biskupów widać także w kwestii liturgii. Kodeks Prawa Kanonicznego (835) nazywa biskupów „moderatorami, promotorami i stróżami życia liturgicznego w powierzonym sobie Kościele". Za pontyfikatu Franciszka częściowo przestało to obowiązywać. W lipcu 2021 r. papież ogłosił motu proprio „Traditionis custodes". Zabronił biskupom podejmowania samodzielnych decyzji w sprawie liturgii łacińskiej. Teraz muszą nieustannie konsultować się z Kurią Rzymską i prosić o zgodę na różne drobiazgi. Nieco wcześniej, bo w 2020 r., analogiczne zmiany papież przeprowadził odnośnie do powoływania m.in. nowych zakonów. Wcześniej biskup mógł utworzyć zakon na prawie diecezjalnym. Teraz nie może tego zrobić, nie uzyskując wcześniejszej zgody urzędników Kurii Rzymskiej. W ocenie komentatorów zmiana miała na celu uniemożliwić zakładanie „oaz" dla księży czy zakonnic związanych z liturgią trydencką. Autorytet biskupa ponownie został zmniejszony.

JESZCZE WIĘCEJ BAŁAGANU

Papieska apodyktyczność ma oczywiście jeszcze więcej przejawów. Wymieniać moglibyśmy długo: frywolny dobór członków Kolegium Kardynalskiego, bez poszanowania tradycji lokalnych; podejmowanie arbitralnych decyzji doktrynalnych i moralnych, bez żadnego względu na stanowisko poprzedników i naukę Kościoła (Komunia dla rozwodników, kara śmierci, relatywizm religijny); odebranie instytucjom kościelnym całego majątku (w lutym tego roku papież zdecydował, że wszystko, co posiadają urzędy Watykanu, przechodzi na własność państwa, w praktyce – na własność samego papieża).

W ubiegłym roku o konsekwencjach zmian wprowadzonych przez Franciszka w funkcjonowaniu Kurii Rzymskiej mówił kard. Gerhard Müller, były prefekt Kongregacji Nauki Wiary. Nie szczędził gorzkich słów. Podkreślał, że biskupi są przedstawicielami Chrystusa, a nie wyłącznie delegatami papieża; realizowaną przez Jorgego Maria Bergoglia koncepcję władzy uznał za „autokratyczną", mówiąc wprost o „karykaturze" posługi św. Piotra. Cóż jednak z tego, skoro to pojedynczy głos, nawet jeżeli prominentnego kardynała. Reszta milczy i pokornie znosi kolejne ekscesy władzy, obawiając się gniewu papieża dyktatora.

Wszystko wskazuje na to, że po pontyfikacie Franciszka trzeba będzie ponownie przyjrzeć się stosunkom władzy w Kościele, regułom rządzącym relacjami papieża z biskupami. Wydawało się, że te sprawy zostały już dość dobrze wyjaśnione. Cóż, jest inaczej. Jakby bałaganu na innych płaszczyznach było jeszcze mało…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 04f299c0b7

Tomasz Rowiński

Prefekt czy sługa rewolucji?

Arcybiskup Victor Manuel Fernández zaproponował Kościołowi pełnoskalowe zaimplementowanie teologicznego relatywizmu FOT. ARQUIDIOCESIS DE LA PLATA/YOUTUBE

Wyznaczenie przez papieża Franciszka na szefa Dykasterii Nauki Wiary abp. Victora Manuela Fernándeza jest skandalem, ale niestety niezaskakującym. Jest w tych okolicznościach za to zawarta jakaś dziejowa groza – wiary katolickiej ma strzec teraz człowiek, który w jawny sposób ją podważa

Nigdy w historii nie mieliśmy do czynienia z tego rodzaju wydarzeniem. Stanowisko strażnika wiary dla abp. Fernándeza trzeba potraktować jako próbę wrogiego przejęcia nie tylko ważnego urzędu, lecz także całego Kościoła przez relatywistów.

Trudno właściwie powiedzieć o Fernández, że będzie czegokolwiek strzegł, on nie po to przychodzi na stanowisko w Dykasterii Nauki Wiary. Choć w zasadzie jest jedna rzecz, której prawie na pewno przypilnuje. Jak trafnie zauważył Paweł Chmielewski na portalu pch24.pl, „Fernández nie będzie czynił żadnych przeszkód rewolucyjnym kardynałom Mario Grechowi oraz Jeanowi-Claude'owi Hollerichowi, których Franciszek postawił na czele Synodu o Synodalności". Ogólniejsza uwaga Chmielewskiego o domykaniu systemu kurialnego przez Franciszka także znajduje swoje uzasadnienie w dynamice działania papieża. Dziś nie da się już znaleźć w Stolicy Apostolskiej właściwie nikogo – poza garstką zmarginalizowanych ortodoksów w rodzaju kard. Burke'a – kto miałby ochotę przeciwstawić się jesiennemu walcowi synodalności. Wszyscy krytycy zostali usunięci poza obszar wpływu na centralną politykę Kościoła. Jeśli, poza opieką Opatrzności, jest jeszcze jakaś nadzieja dla katolickiej prawowierności poprzedzająca coraz krótszy czas pozostający do synodu, to trzeba jej szukać u tych, którzy przybędą spoza Rzymu.

DESTRUKCYJNA LIGA MISTRZÓW

Przed Fernández staną rzecz jasna pewne specyficzne wyzwania i trudno sądzić, by papież nie oczekiwał ich realizacji. Synod o synodalności, pomimo pełnej już papieskiej kontroli nad procesami, jakie wiążą się z tym wydarzeniem, wciąż ma szansę przerodzić się w bardzo poważną wewnątrzkatolicką awanturę. Jej konsekwencje są dziś rzeczywiście trudne do określenia, ale odpowiedzialność za nie przynajmniej częściowo spadnie na nowego prefekta. Inną poważną kwestią do rozwiązania, która stanie przed argentyńskim szefem Dykasterii Nauki Wiary, będą relacje z Kościołem w Niemczech. Choć Fernández powiedział o sobie swego czasu, że jest teologicznie „bardziej progresywny od papieża", to i tak nie będzie mu łatwo w tym względzie dogonić działających razem niemieckich biskupów. Ci zaś, jeśli chodzi o sianie zamętu doktrynalnego – nie tylko zresztą w swoim kraju – grają w najwyższej lidze. Chciałoby się powiedzieć, że jest to liga mistrzów, ale w destrukcji. W przeciwieństwie jednak do rozgrywek najlepszych sportowców na to, co wyprawia się w Niemczech, trudno patrzeć z zachwytem.

Trzeba dodać, że abp Fernández ze swoimi wypowiedziami także aspiruje do tego, by znaleźć się w tym samym gronie, co biskupi i świeccy zaangażowani w niemiecką „drogę synodalną". Problem z Fernández nie polega bowiem po prostu na tym, że jest on jednym z wielu klakierów papieża Franciszka i jego dyktatorskiego, a także niszczycielskiego – mówiąc metaforycznie – spaceru przez Kościół. Sprawa nie ogranicza się też

eprasa.pl 04f299c0b7

do tego, że jest po prostu starym kolegą Bergoglia. Do tej pory, owszem, można było tak sądzić, ale w ostatnim czasie stał się on tą osobą, która w nowy sposób, jasno i klarownie, sformułowała zasady, promowanego przez argentyńskiego biskupa Rzymu, nowego paradygmatu w teologii – mówiąc językiem samych zainteresowanych. Używając zaś aparatu pojęciowego, którym posługiwali się Jan Paweł II i Benedykt XVI, Fernández, formułując niedawno swój program teologiczny dla dykasterii, zaproponował Kościołowi pełnoskalowe zaimplementowanie teologicznego relatywizmu. Niestety, takie propozycje nie rozwiążą żadnego z katolickich problemów, ale mogą wprowadzić nas w jeszcze większe zamieszanie.

W KIERUNKU TEOLOGII BAJECZNEJ

Tak zwany nowy paradygmat polega w pewnym uproszczeniu na tym, że ludzkie doświadczenie, „głos ludu Bożego, przyjmuje się jako narzędzie nadrzędne w procesie interpretowania Objawienia. W „nowym paradygmacie" to nie do Objawienia chrześcijanie mają dopasowywać swoje życie, ale to Objawienie ma być dopasowywane do tego, jak „lud" wyobraża sobie chrześcijaństwo. Teoria – konsekwentnie stosowana – może stać się prostą drogą do zniesienia wszelkich katolickich doktryn, nie tylko moralnych zresztą, wedle widzimisię kościelnych decydentów i aktywistów. Samo to jest już wystarczająco niebezpieczne dla prawd wiary, jednak jeszcze bardziej niepokoi, że powołanie na szefa Dykasterii Nauki Wiary abp. Fernándeza spowodowało też radykalizację retoryki u samego papieża.

W liście skierowanym do nowego prefekta Franciszek napisał: „Dykasteria, której będziesz przewodniczył, w innych czasach stosowała niemoralne metody. Były to czasy, w których zamiast promować wiedzę teologiczną, ścigano ewentualne błędy doktrynalne. Oczekuję od ciebie z pewnością czegoś zupełnie innego". Pomijam tę kwestię, że Franciszek jeszcze bardziej wzmocnił znaną u niego tendencję do dezawuowania katolickiej przeszłości. Ważniejsze jest co innego. Możemy spierać się w sprawie tego, czy papieże w XIX i w pierwszej połowie XX w. nie postępowali zbyt surowo wobec teologów poszukujących rozwiązań w innej metodologii niż dominująca wtedy tzw. szkoła rzymska, reprezentowana u jej schyłku przez naprawdę potężną zarówno intelektualnie, jaki i w zakresie posiadanej władzy postać dominikanina Reginalda Garrigou-Lagrange'a. Możemy nawet zastanawiać się, czy silna presja polityczna Stolicy Apostolskiej na katolickich myślicieli nie stała się jedną z przyczyn powstania w Kościele dobrze zorganizowanej opozycji modernistycznej czy – inaczej – relatywistycznej. Jednak twierdzenie, że upominanie katolickich teologów, przynajmniej w sytuacji, gdy ich ewidentnie niezgodne z wiarą myśli zaczynają w Kościele uzyskiwać popularność, jest niemoralne, trzeba określić mianem bałamutnej manipulacji.

Nauka o Bogu i prawdach wiary, zresztą jak każda nauka, pozbawiona właściwych sobie ram musi zdegenerować się w znane dobrze z czasów pogańskich fantazje teologii bajecznej. Ten rodzaj degeneracji da się zresztą rozpoznać już we współczesnych „dysydenckich" teologiach, w których można spotkać wiele gnostyckich fantazji kompletnie niezgodnych z treścią Objawienia, za to np. świetnie wyrażających oczekiwania współczesnych ideologii. Czy prefekt Dykasterii Nauki Wiary, „promując wiedzę teologiczną", będzie przyklaskiwał różnym absurdalnym pomysłom, wedle których apostołowie byli kobietami lub, dla odmiany, stowarzyszeniem gejowskim? Sądzić raczej należy, że mamy do czynienia w papieskiej wypowiedzi z kolejnym przykładem niezbyt już sprytnej propagandy ukrywającej takie cele jak np. demontaż katolickiej moralności.

Czy rzeczywiście zmieni się polityka kościelna wobec dysydentów? Trzeba się raczej spodziewać, że tak jak przez wszystkie minione lata trwającego pontyfikatu będą miały miejsce nieustanne upomnienia, wykluczenia, przemilczenia i kary skierowane przeciwko ludziom, zgromadzeniom zakonnym i środowiskom. Sposoby – były one różne – upominania teologów w przeszłości nie zawsze były najlepsze, ale ich charakter był przejrzysty. Tam zaś, gdzie oficjalnie głosi się różnorodność, dyscyplinę trzeba egzekwować skrytobójczo. Od lat doświadczają tego ludzie przywiązani do katolickiej tradycji. Dziś dotyka to nawet tych, którzy nie chcą porzucić dziedzictwa papieża Wojtyły. Oni także – mówiąc słowami Franciszka – stali się „ludźmi sztywnymi bojącymi się wolności".

NOWA DOKTRYNA

Na koniec warto wrócić do tego, w jaki sposób abp Fernández – nie od dziś – formułuje swój program. Kilka miesięcy temu, dokładnie na początku marca, w jednej ze swoich homilii napisał: „Nie zdając sobie z tego sprawy, Kościół przez wieki rozwijał doktrynę pełną klasyfikacji, które ustalały, że tylko ochrzczeni, którzy są w łasce Bożej, mogą przyjmować Komunię, a ci, którzy są w grzechu śmiertelnym, nie mogą tego robić. Tylko ci, którzy okazują skruchę za swoje grzechy i okazują zamiar zadośćuczynienia, mogą otrzymać sakramentalne rozgrzeszenie". Takie stanowisko Kościoła arcybiskup La Platy określił mianem „strasznego", dodając, że na szczęście Franciszek już zmienił tę sytuację.

Można by skupić się na tym, że słowa abp. Fernándeza przede wszystkim są wyrazem jakiejś heretyckiej doktryny wynikającej z „nowego paradygmatu" w teologii. Przede wszystkim jednak, wbrew deklarowanemu w Stolicy Apostolskiej otwarciu na różnorodność, mamy tu do czynienia z dość ścisłą nową doktryną, w której zakres wchodzą kwestie sakramentalne i moralne. Zapewne będzie ona teraz strzeżona przed głosami krytycznymi. Gdyby świat był rzeczywistością idealną, bp Fernández miałby po takich słowach przeciwko sobie cały katolicki świat, dla którego jego opinie byłyby obarczone poważnym błędem. Nawet jednak bez tego można być pewnym, że w imię rewolucji czułości, miłosierdzia i różnorodności będzie trzeba w Kościele ściąć wiele głów tkwiących w „wypaczeniach" wojtylianizmu i ratzingeryzmu.

To tylko doktrynalna część problemu. Za abp. Fernándezem niestety ciągnie się przynajmniej jedna sprawa budząca wątpliwość, czy jako prefekt Dykasterii Nauki Wiary będzie on zdolny do rzetelnego realizowania programu „zero tolerancji" wobec nadużyć seksualnych wśród duchowieństwa. Wiele wskazuje, że nasze ciekawe czasy mogą w Kościele stać się jeszcze ciekawsze. Niestety.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 04f299c0b7

Motocykl WSK-125 na moście Poniatowskiego w Warszawie

FOT. ARCHIWUM FOTOGRAFICZNE ZBYSZKA SIEMASZKI/NAC

Z Andrzejem S. Połosakiem, autorem książki „Polish Way of Ride. Zarys historii produkcji motocykli nad Wisłą"

rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Gazela, Osa i Junak

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Dlaczego w Polsce w latach 80. XX w. zaprzestano budowy motocykli?

ANDRZEJ POŁOSAK: Zaledwie kilkanaście lat wcześniej Polska była trzecim co do wielkości ich producentem. Przeważnie były to proste maszyny do użytku codziennego, napędzane silnikami dwusuwowymi. Na przełomie lat 60. i 70. we wszystkich naszych fabrykach produkowano ok. 300 tys. jednośladów rocznie. Pomimo tego polski przemysł motocyklowy został stopniowo doprowadzony do upadku poprzez decyzje polityczno-administracyjne. Gospodarka była prawie całkowicie kontrolowana na centralnym szczeblu administracyjnym. „Mała stabilizacja" to także powolny, choć konsekwentny czas bogacenia się społeczeństwa. Motory wówczas traktowano jako pojazdy codziennego użytku, nierzadko będące środkiem transportu dla całej rodziny. Panująca w naszym kraju aura nie jest jednak zbyt łaskawa dla motocyklistów. Toteż coraz więcej z nich przesiadło się za kierownicę samochodów osobowych. Coraz popularniejszych.

Zmianę trendu na rynku motoryzacyjnym zauważyli też ekonomiści będący głównymi animatorami gospodarki w latach PRL. W sytuacji zwiększonego zainteresowania samochodami malejący popyt na motocykle miał być zaspokajany zarówno przez import jednośladów z krajów komunistycznych (Czechosłowacja, Niemiecka Republika Demokratyczna), jak i z państw tzw. drugiego obszaru płatniczego (Włochy, Francja, Hiszpania). W jednośladach produkcji krajowej partyjni „macherzy od ekonomii" widzieli produkty zbędne. Zakłady, dotychczas produkujące motocykle, miały zostać przebranżowione w kierunku innych działów przemysłu motoryzacyjnego.

Produkcję motorów wygaszano stopniowo. Decyzję o tym podjęto w roku 1964 na IV Zjeździe Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Jako pierwsza zaprzestała jej Warszawska Fabryka Motocykli. Połączona z Polskimi Zakładami Optycznymi przejęła ich profil wytwórczy.

Nieco później zakończono wyrób junaków w Szczecińskiej Fabryce Motocykli. Zakład przemianowano na Fabrykę Mechanizmów Samochodowych, specjalizującą się w wałach napędowych do wszelkiego rodzaju pojazdów, w tym kutrów rybackich.

Z taśm produkcyjnych Kieleckich Zakładów Wyrobów Metalowych, gdzie powstawały jednoślady marki SHL, ostatni zszedł w roku 1970. KZWM przestawiły się na tworzenie kabin do ciężarówek marki Jelcz, a także – nawiązując do tradycji przedwojennych – na wyrób elementów metalowych na potrzeby wojska.

Motocykle produkowano też w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku.

I stąd wzięła się ich nazwa – WSK. Producent należał do Zjednoczenia Przemysłu Lotniczego i Silnikowego PZL, jednoślady stanowiły niejako produkcję

eprasa.pl 04f299c0b7

uboczną. Zakład, z wojskowego punktu widzenia będący przedsiębiorstwem strategicznym, zawsze był hojnie dofinansowywany. Korzystała na tym również produkcja motocykli. Według mnie to właśnie odrębna struktura własnościowa i organizacyjna firmy spowodowała, że na Lubelszczyźnie produkcja motocykli utrzymała się najdłużej.

Obserwowany w Polsce na przełomie lat 70. i 80. spadek popytu na motocykle doprowadził do kuriozalnej sytuacji, wspominanej z nostalgią przez wielu starszych mieszkańców naszego kraju. W tym samym czasie, gdy tysiące Polaków dokonywały przedpłat bądź też oczekiwały w wieloletnich kolejkach, by tylko stać się posiadaczem kultowego dziś Fiata 126p, na oczekujących na klienta polskich motocyklach zbierał się kurz.

Kto i dlaczego zniszczył polski przemysł motocyklowy?

W Polsce Ludowej tego typu decyzje zawsze podejmowały najwyższe gremia partyjne i rządowe, choćby na wspomnianym już IV Zjeździe PZPR. Zatwierdzone tam ustalenia stanowiły początek długiej agonii polskiego przemysłu motocyklowego.

Należeliśmy wtedy do Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. Być może tam zadecydowano o likwidacji polskich motorów. Brak na to jednak bezpośrednich dowodów, ponieważ archiwa RWPG są trudno dostępne i praktycznie nieprzebadane.

Dokąd eksportowano PRL-owskie motocykle?

Dziś zabrzmi to kuriozalnie, ale eksport motocykli, produkowanych w PRL, do krajów RWPG oraz innych państw socjalistycznych był praktycznie marginalny. Co jeszcze dziwniejsze, poza pojedynczymi przypadkami nie eksportowano polskich jednośladów do Związku Sowieckiego. Najlepszymi rynkami zbytu były państwa zachodnioeuropejskie, azjatyckie oraz Stany Zjednoczone. Junaki trafiały do kilkudziesięciu krajów, jednak najbardziej warte wspomnienia epizody eksportowe wiążą się z markami SHL i WSK oraz skuterami Osa.

W latach 60. XX w. „eshaelki" pojawiły się w Stanach Zjednoczonych, za sprawą sieci domów towarowych Sears, prowadzących sprzedaż wysyłkową różnych towarów. Fakt relatywnej popularności

SHL M17 Gazela, lata 70., Warszawa

FOT. ARCHIWUM GRAŻYNY RUTOWSKIEJ/NAC

SHL po drugiej stronie Atlantyku jest jednak mało znany, gdyż importer rozprowadzał je w USA pod własnymi markami. Kosztowały tam niewiele, zostały zatem „zajeżdżone" na amerykańskiej prowincji.

Furorę motocykle SHL zrobiły w Indiach. W roku 1962 firma Escorts Limited z Bangalur uzyskała prawa licencyjne do produkcji modelu SHL M11, który na hinduskim rynku sprzedawany był jako Rajdoot. W Indiach „eshaelki" produkowano aż do roku 2005. W ciągu 43 lat wytworzono ponad 4 mln egzemplarzy!

Ten sam przedsiębiorca zakupił też licencję na produkcję skuterów Osa. Modelem produkowanym w Indiach była nowsza Osa M52, której sprzedaż w Polsce rozpoczęła się dopiero w roku 1962. Ponadto w Indiach, na podstawie założeń konstrukcyjnych Osy, Escorts Limited opracowała własny skuter – Rajdoot Runabout. W przeciwieństwie do polskiego wzorca posiadał on mniejsze koła, zawieszenie przednie, oparte na wahaczu pchanym, a jego stylistyka wzorowana była na sławnej włoskiej Lambretcie.

Najlepszymi kierunkami eksportu „wuesek" były Grecja, Turcja i Wielka Brytania. Z tym ostatnim państwem wiąże się ciekawy epizod eksportowo-produkcyjny motocykli ze Świdnika. W roku 1977 Roy Cary z firmy Barron Eurotrade z Honeychurch podpisał z Wytwórnią Sprzętu Komunikacyjnego umowę, na podstawie której WSK dostarczała do Albionu kompletne motocykle, bez silników i skrzyń biegów. Tam montowano do nich włoskie silniki Minarelli, zblokowane z pięciostopniowymi skrzyniami biegów. Ta nietypowa fuzja okazała się nieudana. Firma Barron Eurotrade wstrzymała import, koncentrując się na sprzedaży i serwisie włoskich jednośladów.

A czy jednoślady produkowane w PRL były rdzennie rodzimej konstrukcji czy też stanowiły kopie produktów zagranicznych?

Po drugiej wojnie światowej przemysłowy dorobek przegranych Niemiec przejęli alianci. Trafił do nich m.in. motocykl DKW RT125. Motory oparte na jego rozwiązaniach konstrukcyjnych produkowano w Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych i Związku Sowieckim. Bez cienia przesady można orzec, że stał się wzorcem jednośladów napędzanych silnikami dwusuwowymi wytwarzanych w PRL. W tej grupie pojazdów jedynymi wyjątkami, prawdziwie polskiej konstrukcji, były motocykle WSK M21 oraz SHL M17 Gazela. Jednym z ich twórców był znakomity polski konstruktor, prof. Wiesław Wiatrak. Stylistyką oraz opracowaniem konstrukcji nośnej Gazeli kierował zaś inż. Jerzy Pancewicz.

Legendarnego Junaka, produkowanego w Szczecińskiej Fabryce Motocykli, popularnie nazywa się dziś „polskim Harleyem". Opracowany został przez zespół inżynierów w składzie: Krzysztof Wójcicki, Jan Ignatowicz, Stefan Porazi̇ński. W międzywojniu współpracowali oni z inż. Tadeuszem Rudawskim, twórcą motocykli CWS Sokół 600, 500 i 200. Junak, napędzany jednocylindrowym, czterosuwowym silnikiem o pojemności skokowej 350 cm sześc., był konstrukcją polską, choć tercet jego kreatorów korzystał z tzw. motocykla wzorcowego. Brytyjskiego Triumpha 3TA Twenty-One.

Czy nasze motory przedwojenne też były kopiowane?

Jak najbardziej. Należy jednak rozgraniczyć ich rodzaje i metody występujące przed drugą wojną światową i po niej. O ile w okresie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej kopiowanie rozwiązań zagranicznych oparte było na wspomnianych reparacjach wojennych, a także na zakupie licencji i opracowywaniu na ich bazie dziesiątek „wersji rozwojowych", o tyle w dwudziestoleciu międzywojennym inżynieria wsteczna stanowiła osobistą inwencję konstruktorów. Dobrym przykładem takich działań są chociażby motocykle CWS Sokół 600 i 500. Podczas projektowania ich twórca, inż. Rudawski, inspirował się brytyjskimi jednośladami marki BSA. Innym przykładem bezlicencyjnego korzystania z „dobrych pomysłów innych

eprasa.pl 04f299c0b7

Skuter WFM Osa (z lewej) i motocykl IŻ-49 (z prawej) FOT. ARCHIWUM FOTOGRAFICZNE ZBYSZKA SIEMASZKI/NAC

ludzi" w polskich motocyklach z okresu dwudziestolecia międzywojennego jest motocykl CWS M111, bardziej znany pod późniejszą nazwą CWS Sokół 1000. Model, będący wręcz symbolem polskiego przedwojennego przemysłu, był w istocie mieszanką rozwiązań amerykańskich. Struktura nośna i zawieszenie nawiązywały bardzo otwarcie do Harleya-Davidsona JD. Silnik i układ napędowy wzorowano na Indian Super Scout.

Ile prawdy, a ile legendy jest w historii Lecha – pierwszego motoru odrodzonej Polski?

Powstał w roku 1929. Za powstanie tej konstrukcji odpowiedzialne były dwie osoby – przemysłowiec z Poznania, Wacław Sawicki, oraz inż. Władysław Zalewski, który powrócił do odrodzonej Polski z emigracji w Stanach Zjednoczonych. Wymyślili motocykl napędzany relatywnie nowoczesnym silnikiem o pojemności skokowej 500 cm sześc. Charakteryzowały go cylindry, wyposażone w odejmowane głowice, oraz pompa oleju, wymuszająca smarowanie silnika. Pozostałe elementy konstrukcyjne były typowe dla amerykańskich jednośladów z tamtego okresu. Trzystopniowa skrzynia biegów, sprzęgło obsługiwane nogą oraz brak hamulca przy kole przednim.

Lech miał być produkowany przez specjalnie powołane do tego celu przedsiębiorstwo, Towarzystwo Akcyjne W. Sawicki i Spółka, z siedzibą w Opalenicy. Konstruktorzy próbowali zainteresować swym jednośladem Wojsko Polskie. Niestety, kilkuletni brak decyzji Wojskowego Instytutu Badań Inżynierii – mającej formalnie dopuścić Lecha do użytku w armii – oraz pogłębiający się kryzys ekonomiczny spowodowały, że opalenicką spółkę zamknięto po wyprodukowaniu zaledwie kilkudziesięciu pojazdów.

Nie można zapominać, że Lech powstawał w okresie po piłsudczykowskim zamachu stanu z maja 1926 r. Sanacja wykazywała tendencje centralizacyjne, nacjonalizacyjne i etatystyczne w gospodarce. Lech produkowany był przez niewielką prywatną wytwórnię. Być może była to również gra polityczna, choć nie udało się mi znaleźć jakiejkolwiek informacji, czy Wacław Sawicki i Władysław Zalewski mieli jakiekolwiek powiązania z Narodową Demokracją, skonfliktowaną z sanacją.

Który z polskich zmotoryzowanych jednośladów uważa pan za najlepszy?

Najbardziej warta uwagi jest niewątpliwie Gazela. SHL M17 Gazela – bo tak oficjalnie nazywał się ów pojazd – był jednym z dwóch polskich powojennych motocykli seryjnych, zaprojektowanym od podstaw przez polskich inżynierów. Ponadto była to konstrukcja schludna i nowoczesna, bez kompleksów mogąca rywalizować ze światową konkurencją podobnej klasy.

Niestety, Gazela nie trafiła na swój czas. Była przyjazna użytkownikom i komfortowa, lecz skomplikowana pod względem obsługi serwisowej. A jej wysoka cena stanowiła barierę dla wielu potencjalnych nabywców. Prawdziwym powodem niepowodzenia rynkowego Gazeli było wprowadzenie do produkcji seryjnej polskiego Fiata 126p, który stał się obiektem marzeń miłośników motoryzacji.

Dlaczego w III RP nie powrócono do koncepcji seryjnej produkcji motocykli?

Przez niemal cztery dekady, które upłynęły od zakończenia produkcji motocykli w Polsce, podejmowano wiele prób wznowienia ich wytwarzania. Należy tu wspomnieć trwający w latach 1988–1993 montaż sowieckich (a następnie białoruskich) motocykli marki Mińsk w Zjednoczonych Zakładach Rowerowych Romet w Bydgoszczy czy też liczne inicjatywy podejmowane przez znanego kierowcę wyścigowego i działacza sportów motorowych, Włodzimierza Gąsiorka. To jest: skonstruowanie i usiłowanie wdrożenia do produkcji w Fabryce Samochodów Osobowych motocykla Maraton – zaprojektowanego z silnikiem Suzuki, pomysł rozpoczęcia produkcji motocykli Kawasaki w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku, późniejsza koncepcja uruchomienia w WSK produkcji motocykli chińskich (m.in. Jialing), małoseryjna produkcja nowej „wuefemki", budowanej w kooperacji z Mińską Fabryką Motocykli i Rowerów (na Białorusi), a także prowadzona w firmie Gąsiorka – Motor Klubie Wawer – jednostkowa produkcja skuterów Osa, po konwersji ich napędu na silnik elektryczny (powstały dwa egzemplarze). Wszystkie te przedsięwzięcia zakończyły się fiaskiem ze względu na panujący w Polsce rozgardiasz administracyjny.

Wspomnieć należy także o ponownym wprowadzeniu na rynek motocykli kultowych marek Junak i Romet. Trzeba jednak pamiętać, że są to jednoślady produkowane w Chinach i Korei Południowej, jedynie sprzedawane pod polskimi markami. W kontekście globalnego rynku motocyklowego Europa (w szczególności zaś Unia Europejska) jest rynkiem małym, dodatkowo bardzo wymagającym, jeśli chodzi o kwestie homologacyjne (bezpieczeństwo, ochrona środowiska itp.). Z tego powodu globalnym koncernom motoryzacyjnym najbardziej opłaca się produkować jednoślady we wschodniej Azji, gdzie są najbardziej popularne. Dlatego też produkcja motocykli na Starym Kontynencie przetrwała jedynie w Niemczech, Austrii, Hiszpanii i we Włoszech. Opracowanie i wdrożenie do produkcji w Polsce nowych typów motocykli rodzimych marek byłoby niebotycznie drogie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

ANDRZEJ S. POŁOSAK „POLISH WAY OF RIDE. ZARYS HISTORII PRODUKCJI MOTOCYKLI NAD WISŁĄ" WYDAWNICTWO VON BOROWIECKY

Andrzej S. Połosak – miłośnik jednośladów z silnikami i motorowy ekspert, autor książki „Polish Way of Ride. Zarys historii produkcji motocykli nad Wisłą".

eprasa.pl 04f299c0b7

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

W Puziowych Dołach

Dlaczego mówimy o zbrodniach komuny – tych wojennych i powojennych? Bo są spadkobiercy polityczni, ideologiczni i organizacyjni (tak!) tych zbrodni. Nigdy się od nich nie odcięli i nie zamierzają tego robić, bo to fundament, na którym mocno stoją. Jednocześnie oskarżają wszystkich innych, przede wszystkim przeciwników, o to samo, choć łatwo wykazać, że po prostu kłamią.

Historia PPR i GL-AL w latach 1942–1945 to przede wszystkim nieustanne pasmo zbrodni. O większości z nich bardzo niewiele wiemy, bo sprawcy przez dziesięciolecia cierpliwie zacierali po nich ślady, a nawet śledztwa wszczynane po 1989 r. były bardzo szybko umarzane (jakoby brak dowodów, sprawcy nieustaleni itp.).

Tak było m.in. ze zbrodnią popełnioną 19 kwietnia 1944 r. w Puziowych Dołach (powiat Janów Lubelski), gdzie w wyjątkowo okrutny sposób komuniści z AL zamordowali 13 okolicznych mieszkańców. Byli to m.in.: Paweł Balawander, Lucjan Duma, Wacław Dyjewski, Stanisław Gęborski, Franciszek Kania, Piotr Kobylarz, Władysław Krzyżak, ksiądz narodowo-katolicki Aleksander Markiewicz, ks. Adam Zioło i Adolf Zioło.

Bandyckie grupy AL otoczyły wsie Dąbrówka i Potok-Stany. „Partyzanci" przetrząsali budynki i bili mieszkańców, grabiąc ich. Na skutek „pacyfikacji" zatrzymali 13 mieszkańców, podejrzewanych o współpracę z AK i NSZ. Powiązanych powrozami więźniów wywieziono ze wsi i w wąwozie ich wymordowali. Jednego poćwiartowali siekierą, innego rozerwali końmi. Pozostali zginęli od kul – z jednym wyjątkiem: ksiądz polsko-katolicki Aleksander Markiewicz, proboszcz parafii „narodowej" w Dąbrówce, został spalony żywcem. Dowodzący komunistycznymi rezunami Andrzej Flis „Maksym" chciał zabawić kompanów i kazał księdzu, by ten... wszedł na drzewo i wygłosił kazanie. Kapłan odmówił. Lucjana Dumę rozerwali końmi. Już wcześniej sprawcy zastrzelili Kazimierza Barana i Józefa Grzyba. Natomiast Stanisława Krzeszowskiego mordowano powoli, obcinając mu po kawałku nogi na pniaku. Zbrodnia analogiczna do tych, które miały miejsce m.in. na Wołyniu.

Miejsce pochówku – a ściślej ukrycia ich ciał w lesie – jest do dziś nieznane. Sprawcy śmierci pilnie strzegli tej tajemnicy. Jeden z ostatnich, żyjący do niedawna, odmówił rodzinom ofiar ujawnienia tego miejsca. Znamy jednak miejsce wielu okazałych pochówków oprawców. To… Cmentarz Wojskowy na warszawskich Powązkach, Aleja Zasłużonych. Ich herszt Stefan Szymański „Lis" na spotkaniu ze studentami w 1994 r. na Uniwersytecie Warszawskim oświadczył: „My ich nie zamordowaliśmy, my ich zabiliśmy". ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Małżeństwo towarzysza Tomasza

Bolesław Bierut nakazywał społeczeństwu moralność socjalistyczną, ale sam uważał, że nie obowiązują go żadne normy etyczne. Dotyczyło to również erotycznej strony życia kremlowskiego namiestnika, gdy poważnym problemem była liczba partnerek uważających się za jego żony. A może nawet nie liczba, lecz status prawny. W różnych bowiem okresach życia cztery panie uważano za jego małżonki, a trzy z nich właściwie równocześnie.

Bierut w młodości był wyjątkowo nieśmiały wobec płci pięknej. Ale kiedy wreszcie się przełamał, to nie potrafi już żyć bez damskiego towarzystwa. Włodzimierz Sokorski nazywał go nawet „Bolek – je...a", a podobno Bierut traktował to jako komplement. W świetle prawa towarzysz Tomasz posiadał jedną, legalną żonę. Była nią Janina Górzyńska, z zawodu przedszkolanka, starsza od niego o dwa lata. Poznali się w majątku Studzianki niedaleko Lublina, gdzie Janina pracowała, a Bierut prowadził prace miernicze. Ślub kościelny wzięli w Lublinie 3 lipca 1921 r. „Ślub odbył się w katedrze – wspominała Górzyńska – i był bardzo oryginalny. Ksiądz zgodził się, że nie obowiązywała nas spowiedź. Ślub odbywał się na mszy. Nie mieliśmy strojów ślubnych, a ubrani byliśmy normalnie. Po nim przyjechaliśmy do domu, zjedliśmy śniadanie i wybraliśmy się na wycieczkę".

Małżonkowie doczekali się córki Krystyny i syna o imieniu Jan. Bierut nigdy z Górzyńską się nie rozwiódł i to właściwie jej przypadała rola pierwszej damy Polski Ludowej. Jej małżonek pełnił obowiązki przewodniczącego KRN, następnie prezydenta Polski, premiera i pierwszego sekretarza PZPR. Ale Górzyńska nie mieszkała z mężem, a pisząc do niego listy, tytułowała go „panem prezydentem".

„Była to zwykła, poczciwa, siwawa pani – opisywał jej wizytę w Belwederze sekretarz prasowy Bieruta, Stanisław Łukasiewicz – zachowująca się skromnie, cicho, wyrażająca się składnie i poprawnie. [...] Bierut witał się z żoną z namaszczeniem, całował ją potulnie w rękę, wymieniali pocałunki w policzki. Do dalszych rozmów świadkowie już nie byli potrzebni i dlatego odbywały się one za zamkniętymi drzwiami gabinetu prezydenta. Po jakimś czasie pani Bierutowa z wolna opuszczała pałacyk, po drodze rozglądając się po ścianach, a w Belwederze sprawy ruszały wartko naprzód". Bierut był wówczas związany z Wandą Górską nazywaną „królową Belwederu", która wcześniej była partnerką Pawła Findera, co w dość ciekawym świetle stawia jej osobę. Ale to już temat na inny felieton. ©℗

eprasa.pl 04f299c0b7

Ostatnie ostrzeżenie przed

Olivier Bault

Czy uliczna wojna wszczęta po zastrzeleniu 17-latka we Francji to jeszcze jeden wybuch agresji migrantów niezwiązanych z krajem czy początek czegoś tragiczniejszego?

W 2016 r. Laurent Obertone napisał powieść o pogrążaniu się Francji w wojnie domowej. Opis na tylnej okładce: „Interwencja policji na terenie dzielnicy no-go przeradza się w dramat: policjant, który wpadł w zasadzkę, traci zimną krew i strzela na oślep. Dzielnica płonie, a cały kraj chwieje się w posadach. Ogień roznosi się z miasta do miasta, państwo rozpada się".

Obertone opisał sytuację, w której kumulacja działań gniewnej młodzieży z przedmieść, islamskich terrorystów i lewicowych bojówek doprowadziła do upadku francuskiej republiki w przeciągu zaledwie kilku dni. Czy taka sama iskra padła na beczkę prochu w rzeczywistości?

CO SIĘ MOŻE WYDARZYĆ?

Wszystko zaczęło się w Nanterre, miejscowości na przedmieściach Paryża. Według wstępnych ustaleń prokuratury dwóch motocyklistów francuskiej policji zauważyło jadący z dużą prędkością po buspasie samochód Mercedes klasy A koloru żółtego na polskich rejestracjach [wiele wypożyczalni samochodów z Francji ubezpiecza i rejestruje auta w Polsce – przyp. red.]. Policjanci rozpoczęli za nim pościg na sygnale. Gdy samochód zatrzymał się na światłach, funkcjonariusze chcieli skontrolować kierowcę, ale ten ruszył na czerwonym świetle. Za kierownicą siedział 17-letni Nahel Merzouk. Nie miał prawa jazdy i był już znany policji m.in. z wcześniejszych przypadków odmowy zatrzymania się do kontroli drogowej.

Dalszy pościg za młodzieńcem pochodzenia algierskiego i jego dwoma pasażerami trwał ponad 20 minut. W czasie ucieczki kierowca przejechał na kolejnych czerwonych światłach i o mało nie potrącił na pasach pieszego oraz rowerzysty. W końcu utknął w korku. Policjanci zsiedli z motocykli i wyciągnęli broń. Jednak gdy korek się rozładował, Nahel ponownie zaczął uciekać. Policjant strzelił i trafił Nahela w klatkę piersiową przez lewe ramię. Jego adwokat twierdzi, że mierzył w nogę oraz że ruch samochodu spowodował uniesienie ręki. Policjanci twierdzą także, że wystraszyli się, iż pojazd przyciśnie ich do muru, który się za nimi znajdował.

Siedemnastoletni kolega i pasażer zabitego Nahela stwierdził na filmiku, który opublikował w sieci, że drugi policjant miał powiedzieć: „Zastrzel go". Jednak po analizie materiału wideo służba IGPN (inspekcja francuskiej policji) doszła do wniosku, że policjanci krzyczeli, aby

eprasa.pl 04f299c0b7

wojną domową?

FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

kierowca wyłączył silnik oraz wydawali komendę „ręce za głowę".

„ANIOŁEK" I „RASIZM" W POLICJI

Tożsamość policjanta, który oddał strzał, nie została ujawniona. Wiadomo jedynie, że ma 38 lat, jest żonaty i ma dzieci. To były wojskowy. Od roku był policyjnym motocyklistą w departamencie Hauts-de-Seine, gdzie znajduje się Nanterre. Nie odnotowano żadnych problemów w jego dotychczasowej służbie. Wręcz przeciwnie, dwa lata temu został odznaczony za odwagę po zatrzymaniu sprawcy porwania i rabunku. Nie było to jego pierwsze odznaczenie – osiem razy otrzymał listy z gratulacjami za swoją pracę w policji.

Nahel, którego gwiazda futbolu Kylian Mbappé (Francuz pochodzenia algierskiego po matce i kameruńskiego po ojcu) nazwał „aniołkiem" w komentarzu po sprawie, żadnym aniołem nie był. Zanim został zabity podczas próby ucieczki, był zatrzymywany 12 razy za prowadzenie pojazdów bez prawa jazdy, konsumpcję i posiadanie narkotyków oraz paserstwo.

Nie czekając na śledztwo, duża część francuskiej elity polityczno-medialnej zaczęła obwiniać policjanta i mówić o rasizmie w policji. Sam prezydent Emmanuel Macron stwierdził, że śmierć Nahela jest „niewybaczalna", co jednoznacznie wskazywało na winę policjanta. Czy chciał przez to uspokoić nastroje? Jeśli tak, to skutek był raczej odwrotny. Podobnie zdziałało aresztowanie policjanta zaraz po postawieniu mu zarzutów, aby nie mógł odpowiadać z wolnej stopy, jak to zwykle bywa w takich przypadkach.

Francuscy policjanci przywykli do takiego traktowania w starciach z młodymi przestępcami z dzielnic „wrażliwych". Wiele lat temu mój dobry znajomy, policjant pracujący wówczas w VIII dzielnicy Lyonu, opowiadał mi, że jeśli widzi białego Francuza w dojrzałym wieku przejeżdżającego na czerwonym świetle, to ściga go i zatrzymuje. Natomiast jeśli widzi grupę młodych Arabów, którzy nie zatrzymali się na czerwonym świetle, jadących drogim samochodem, możliwe, że skradzionym, to udaje, że tego nie zauważył. W przeciwnym wypadku, cokolwiek się wydarzy, policjant będzie na przegranej pozycji – jeśli będzie opór, to albo zginie w starciu z lepiej uzbrojonymi przeciwnikami, albo kogoś zastrzeli i będzie miał „przechlapane", bo przełożeni nie staną po jego stronie. W najlepszym wypadku młodzi imigranci nie będą stawiali oporu, ale sędzia i tak ich od razu wypuści, więc szkoda zachodu.

Można powiedzieć, że takie tchórzostwo przełożonych w policji i żandarmerii oraz rządzących krajem na różnych szczeblach trwa co najmniej od początku wieku i charakteryzuje zarówno rządy lewicowe, jak i centroprawicowe.

Francuzi o tym wiedzą, co dobitnie pokazuje to, że na konto zbiórki na rzecz rodziny uwięzionego policjanta założonej przez byłego polityka z partii Marine Le Pen, a następnie partii Érica Zemmoura, Francuza egipskiego (koptyjskiego) pochodzenia Jeana Messiha, już po czterech dniach wpłacono ponad milion euro. Było to dużo więcej, niż wpłynęło na równoległą zbiórkę na rzecz rodziny Nahela Merzouka.

Tchórzostwu polityków i medialnego mainstreamu towarzyszyło w tym przypadku kibicowanie przez skrajną lewicę, również tę parlamentarną, młodym gniewnym z przedmieść. A ci już drugiego wieczoru po zastrzeleniu młodego Algierczyka zaczęli atakować służby porządkowe i innych przedstawicieli znienawidzonej Republiki Francuskiej, w tym i strażaków gaszących wzniecane przez nich pożary. Płonęły samochody, autobusy i tramwaje miejskie. Odnotowano także przypadki rzucania koktajli Mołotowa w środki transportu publicznego wożących ludzi (zdecydowano więc o wyłączeniu wieczornej komunikacji miejskiej w dużych miastach i wprowadzeniu nocnych godzin policyjnych w wielu miejscowościach). Na celowniku „protestujących" znalazły się komisariaty i posterunki policji, sądy, urzędy miasta, biblioteki, szkoły, przedszkola, przejeżdżające samochody, zwłaszcza z białymi na pokładzie, cała infrastruktura miejska itp. W Lyonie przed urzędem pocztowym w czasie rozruchów, na szczęście poza godzinami jego otwarcia, wybuchł ładunek.

Po niecałym tygodniu od śmierci Nahela Merzouka szef związku pracodawców MEDEF ocenił straty generowane przez zamieszki dla prywatnych przedsiębiorstw na ok. 1 mld euro. Bezpośrednie koszty zniszczeń w infrastrukturze publicznej zostały wstępnie wycenione na 200–250 mln euro. Tylko w aglomeracji paryskiej kompletnie zniszczono, w niecały tydzień, 25 autobusów miejskich i dwa tramwaje.

eprasa.pl 04f299c0b7

Na 45 tys. policjantów i żandarmów zmobilizowanych w tym czasie przez ministerstwo spraw wewnętrznych w ciągu sześciu nocy rannych zostało ponad 700.

ROSNĄCA SKALA PRZEMOCY

Ostatni raz rozruchy na taką skalę, obejmujące miasta w różnych częściach kraju, miały we Francji miejsce w 2005 r. po śmierci dwóch nastolatków porażonych prądem w transformatorowni, gdzie schowali się podczas ucieczki przed policją.

Policjanci i żandarmi twierdzą jednak, że skala przemocy i wciekłości jest dziś większa, a media społecznościowe przyczyniły się do dużo szybszego rozprzestrzenia się zamieszek i do nieporównywalnie większej koordynacji działań ich uczestników. Poza tym przemoc rozlała się tym razem także na centra miast.

Buntownicy, jak widać i słychać na zdjęciach i filmikach, a także w mediach społecznościowych, to głównie ludzie kolorowi, w dużej części Arabowie i Murzyni. Często powołują się na Allaha i odwołują do tożsamości muzułmańskiej. Na przykład w niewielkiej miejscowości Givors (nieopodal miejscowości, gdzie sam się wychowałem, na południu od Lyonu), gdy starszy Francuz zaczął strzelać ze strzelby w kierunku niszczycielskiej hołoty, w serwisach społecznościowych napisano: „Ktoś strzela do muzułmanów!". W bretońskim mieście Brest zaś na czatach można było przeczytać, że właśnie organizowana jest grupa do ataku na bar gejowski, aby rozprawić się z „pedałami" „w imię Koranu" czy „Allaha". Bar musiał szybko się zamknąć. Świat obiegło także zdjęcie muzułmanki na pogrzebie młodego Nahela, ubranej w czador, spod którego widać tylko oczy (co jest we Francji zakazane), noszącej afisz z napisem: „Sprawiedliwość dla Nahela! Allah y rahmo!" („Niech Allah będzie dla niego miłosierny").

Wśród najbardziej szokujących przypadków przemocy można wymienić m.in. zmasowany rabunek sklepów w słynnych galeriach handlowych Les Halles w I Dzielnicy Paryża, atak na autobus z turystami z Chin w Paryżu czy atak na dwóch policjantów w Marsylii, którzy zostali rozpoznani, gdy wracali do domu w cywilu po pracy. Policjanci ci byli dźgani nożem i kopani na ziemi przez grupę rozentuzjazmowanych młodych Arabów (ciężko ranni zostali przewiezieni do szpitala).

Czy wydarzenia, które zszokowały Francję i świat, będą dla Francuzów otrzeźwieniem?

Wiele rodzin policjantów żyje dziś w strachu, gdyż ich personalia i adresy często krążą w Internecie, bywają rozpoznawani i napadani na ulicach. I dla napastników nie ma znaczenia, że policjantka jest akurat ze swoimi małymi dziećmi.

Jedno z najbardziej drastycznych wydarzeń w dniach największych rozruchów to próba podpalenia domu mera w miejscowości L'Haÿ-les-Roses na przedmieściach Paryża. W czasie, gdy sam mer Vincent Jeanbrun pełnił wartę w urzędzie miasta otoczonym drutami kolczastymi, jego żona i dzieci, w wieku pięciu i siedmiu lat, przebywały w domu. Napastnicy staranowali samochodem bramę posesji, potem auto podpalili i próbowali wepchnąć na werandę przed domem. Kiedy pani Jeanbrun uciekła wraz z dziećmi z domu tylnym wyjściem, ścigali ją przez pewien czas. Na szczęście udało jej się uratować, choć w czasie ucieczki złamała nogę, a jedno z dzieci rozcięło sobie łuk brwiowy. Miejscowa prokuratura wszczęła w tej sprawie śledztwo za próbę zabójstwa z premedytacją.

30 czerwca dwa duże związki zawodowe policjantów, UNSA-Police i Alliance, wydały komunikat stwierdzający, że „Francja jest już w stanie wojny" i że „w obliczu dzikich hord" należy „przywrócić porządek republikański" i unieszkodliwić tych „szkodników" siłowo, wykorzystując „wszelkie środki, aby jak najszybciej przywrócić rządy prawa". Komunikat ten ostrzega też rząd premier Élisabeth Borne i prezydenta Macrona, że po opanowaniu sytuacji policjanci wejdą w fazę „oporu" wobec braku działań polityków i braku wsparcia dla sił porządkowych.

Wydawało się, że siły porządkowe po tygodniu zaczynają panować nad sytuacją. Spadała liczba rozruchów i ataków na osoby (przeważnie białe) i mienie, a także liczba rannych policjantów i aresztowań w ciągu kolejnych nocy. Posypały się pierwsze wyroki pozbawienia wolności w ramach przyspieszonej procedury. Procedura ta odnosi się wyłącznie do osób dorosłych, a średnia wieku aresztowanych wynosiła 17 lat. Po tygodniu od śmierci Nahela takie wyroki usłyszało 360 z ok. 3,3 tys. aresztowanych.

Eksperci i komentatorzy przestrzegają jednak przed nadmiernym optymizmem. – Należy przeanalizować tę sytuację nie pod kątem tego, co się dzieje teraz, ale pod kątem tego, co może się stać, gdy wymknie się to spod kontroli – mówił pułkownik żandarmerii Philippe Cholous w niedzielę wieczorem, 2 lipca, na antenie telewizji CNews. – Jest oczywiście gniew na przedmieściach, ale myślę, że jest też gniew wśród klasy średniej, tych porządnych obywateli Francji pracującej. Wielką urazę żywią też siły porządkowe, które często pozostawiane są same sobie przez gremia polityczne. Smutna śmierć Nahela była tego przykładem. […] Poziom irytacji i niechęci, poziom przemocy, a przede wszystkim to, że na niektórych obszarach istnieje prawdziwa nienawiść do Francji i krąży broń, to wszystko powoduje, że potencjał jest wybuchowy. A to, że podpala się mniej pojazdów lub plądruje mniej sklepów, nie oznacza, że potencjalne ryzyko maleje – zaznaczył.

Czy wydarzenia, które zszokowały Francję i świat, będą dla Francuzów otrzeźwieniem? Czy francuska klasa polityczna, poza obozem Marine Le Pen, który przed takim rozwojem spraw ostrzega co najmniej od lat 80., zacznie wreszcie działać na rzecz interesu narodowego, przywróci rządy prawa i zahamuje imigrację bijącą co roku kolejne rekordy pod rządami kolejnych prezydentów? Oficerowie żandarmerii, armii i kontrwywiadu od dawna ostrzegają przed niebezpieczeństwem wojny domowej we Francji, a na istnienie takiego ryzyka wskazywali także ważni politycy. W 2018 r. pierwszy minister spraw wewnętrznych Macrona, Gérard Collomb, odchodząc ze stanowiska ministra spraw wewnętrznych, ostrzegał, że dziś Francuzi żyją obok siebie, ale niedługo mogą stanąć naprzeciwko siebie. W rozmowie z dziennikarzami doprecyzował, że jego zdaniem zostało Francji jakieś pięć–sześć lat na odwrócenie tego procesu, po czym będzie za późno. Choć to socjalista, to powiedział też wyraźnie, że widzi ścisły związek między nadmierną imigracją a rozkładem francuskiego społeczeństwa. Było to pięć lat temu. Czy nie jest już za późno?

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 04f299c0b7

FOT. UNIWERSYTET OPOLSKI

Z Patrykiem Jakim, politykiem Suwerennej Polski, europosłem do Parlamentu Europejskiego
rozmawia Ryszard Gromadzki

Krach otwartego społeczeństwa

RYSZARD GROMADZKI: Fala niszczycielskich rozruchów, która przetoczyła się ostatnio przez Francję po zastrzeleniu przez policjanta w trakcie pościgu nastolatka o arabskich korzeniach, to jeszcze jeden dowód na krach idei „otwartego społeczeństwa" wyznawanej przez lewicę na Zachodzie?

PATRYK JAKI: Każdy, kto choć trochę zna historię, wie, że taki koncept jest absurdalny. Dlatego że u podstaw tzw. polityki multi-kulti leżała idea mieszania się cywilizacji, których nie da się przemieszać, szczególnie w systemie demokratycznym. Jedyny system, w którym można sobie wyobrazić koegzystencję cywilizacji, kultury zachodniej i cywilizacji szariatu, to system autorytarny.

W demokracji trudno sobie to wyobrazić. Ze względu na całkowicie inne fundamenty obydwu tych cywilizacji. Cywilizacja zachodnia zbudowana na trzech fundamentach – filozofii greckiej, prawie rzymskim i moralności chrześcijańskiej – jest całkowicie inna od tego, co proponuje szariat. Już w odniesieniu do prawa rzymskiego, które przecież rozróżniało pewne kategorie prawa i było rozwinięciem reguły wyrażonej w Piśmie Świętym przez Jezusa Chrystusa: „Bogu, co boskie, cesarzowi, co

eprasa.pl 04f299c0b7

cesarskie", czyli dokonując rozdzielenia sacrum i profanum, w szariacie, kulturze muzułmańskiej to wszystko ze sobą się łączy. W kulturze chrześcijańskiej każdy człowiek ma swoją niezbywalną godność i nie ma w niej rozróżnienia na mężczyznę i kobietę. Szczególnie w radykalnym islamie to rozróżnienie w wymiarze praktycznym widać na każdym kroku. Właśnie z tego kulturowego tła biorą się dramatyczne dane z Francji, które pokazują zależność między rosnącym wpływem islamu na życie społeczne a liczbą gwałtów. O ile w 1971 r. na 100 tys. mieszkańców liczba gwałtów wynosiła 2,0, o tyle w 2017 r. wskaźnik ten wzrósł do poziomu 25,17, a w 2022 r. liczba ta wzrosła aż o 228 proc. w stosunku do danych z 2017 r. Dla porównania: w Polsce w 2017 r. liczba gwałtów na 100 tys. mieszkańców kształtowała się poziomie 1,89. Kolosalna różnica, którą widać w tych danych, to bezpośredni efekt wychowania w cywilizacjach, które w skrajnie różny sposób postrzegają rolę kobiety. Patrząc na to z innej strony, mamy do czynienia ze swoistym paradoksem. Lewica, która tyle mówi o prawach kobiet, nie chce dostrzec oczywistości, widocznej nawet dla ludzi niewierzących w Boga, ale pozbawionych ideologicznych uprzedzeń: to cywilizacja chrześcijańska jest najbardziej przyjazna dla kobiet. To, co proponuje dziś lewica, jest największym zagrożeniem dla kobiet. Ujmując rzecz w dużym skrócie, nasza chrześcijańska cywilizacja nakładała na człowieka różne ograniczenia, na tym polegała siła Europy – tak długo, jak te ograniczenia były nakładane zarówno w sferze prawa, jak i sferze moralności. Kultura szariatu jest w kwestii tych ograniczeń całkowicie odrębna. W momencie, kiedy te dwie cywilizacje zaczynają się we Francji mieszać, to nie wiem, jak bardzo trzeba być naiwnym, żeby nie przewidzieć, że musi to spowodować wybuch.

Jeśli będziemy mieszać rzeczy, których nie da się połączyć, to zawsze doprowadzi to do wybuchu

Czy używamy właściwego klucza, opisując tło ostatnich barbarzyńskich rozruchów we Francji? Czy postawy ich wywodzących się w większości z krajów Maghrebu i Afryki uczestników rzeczywiście determinują muzułmańskie korzenie? Czy ci młodzi zadymiarze skłonni do dzikiej przemocy nie są raczej społecznym produktem odrzutu współczesnej pogrążonej w kryzysie cywilizacji zachodniej?

Rzeczywiście jest tak, że laicyzacja Zachodu spowodowała, że w życiu społecznym zachodnich społeczeństw wytworzyła się pusta przestrzeń, stąd wynika potrzeba transcendencji czy przynależności. W tę pustkę, która się tam wytworzyła, dużo łatwiej przenika islam i wszystko, co może być z nim kojarzone. W tym sensie ma to znaczenie dla właściwego opisu kolejnej fali przemocy, której doświadcza dziś Francja. Trudno mi jednak zgodzić się z pana tezą, że ludzie, którzy teraz demolują Francję, są przede wszystkim produktem laicyzacji. Być może w jakiejś części, ale jeśli prawdą jest to, że większość sprawców brutalnej przemocy to drugie lub trzecie pokolenie imigrantów z krajów muzułmańskich północnej i centralnej Afryki, a rozruchy koncentrowały się przede wszystkim w Paryżu i Marsylii, w których funkcjonują największe społeczności muzułmańskie, w tym środowiska radykalnych islamistów, to daje jasny obraz sytuacji.

Nie jest tu najistotniejsze, czy uczestnicy rozruchów są wyznawcami Mahometa czy tylko wzrastali w kręgu cywilizacji muzułmańskiej, która dała im pretekst do protestu, radykalizacji czy wręcz poczucia bezkarności, które może dawać im zdominowane przez laicką ideologię państwo. Instytucje tego państwa utwierdzają ich w przekonaniu, że są z natury poszkodowani, bo pochodzą z Afryki. Nic dziwnego, że ci zamieszkujący blokowiska na przedmieściach ludzie uważają, że mają pełne prawo, żeby teraz odpłacić byłym kolonizatorom za wyzysk i upokorzenia, które były udziałem ich przodków. Faktem jest, że to przede wszystkim młodzi ludzie wywodzący się ze środowisk muzułmańskich stali za ostatnią falą przemocy we Francji. Na filmach z zajść w Marsylii publikowanych w mediach społecznościowych widać, jak biali kibice tamtejszego klubu Olimpique bronią sklepów czy centrów miast przed agresorami. To wymowne.

Odpowiadając wprost na pańskie pytanie: Czy sprawcy kolejnej fali przemocy we francuskich miastach są produktem społecznego kryzysu Zachodu? Moim zdaniem nie. Ale już na pytanie, czy laicyzacyjna, sekularyzacyjna kultura Zachodu sprawia, że radykalne grupy islamskie tak łatwo pozyskują nowych zwolenników, odpowiem twierdząco.

Mimo że kolejne fale przemocy, których doświadcza Francja, są coraz bardziej niszczycielskie, lewica ma ciągle ten sam patent na rozwiązanie kryzysu: jeszcze więcej integracji. Według lewicowych polityków i mediów to, że młodzi ludzie wywodzący się z muzułmańskich środowisk niszczą wszystko, co spotkają na swojej drodze, to efekt rozczarowania obowiązującym modelem integracji. Trzeba wymyślić nowy, skuteczniejszy. Czy nie jest to droga donikąd?

Odpowiedź na to pytanie jest jednoznaczna. Jeśli będziemy mieszać rzeczy, których nie da się połączyć, to zawsze doprowadzi to do wybuchu. Wystarczy zmierzyć się z argumentacją, którą stosuje lewicowy mainstream. Oni mówią, że, owszem, jest problem, ale jest on spowodowany, po pierwsze, brutalnością policji, a po drugie, niskimi zarobkami, które pogłębiają nierówności.

Szklanym sufitem, przez który potomkowie muzułmańskich imigrantów nie potrafią albo raczej nie chcą się przebić...

Spróbujmy zmierzyć się z argumentami, których używa lewica. Jeśli chodzi o śmierć nastolatka, który próbował uciec przed policjantem, to nawet jeśli uznać, że reakcja policjanta była nieproporcjonalna, to pragnę zwrócić uwagę, że w Polsce zdarzały się podobne przypadki.

Przypomnę choćby głośną sprawę Igora Stachowiaka sprzed kilku lat...

Dokładnie tak. Kończyło się to oczywiście protestami ulicznymi i medialną wrzawą, ale nikomu nie przyszło do głowy, aby podpalać biblioteki czy centra miast.

Nie mówiąc o próbach zabójstwa funkcjonariuszy publicznych, jak to miało miejsce w jednym z miast pod Paryżem.

Dlaczego mamy do czynienia z tak różnymi obrazami sytuacji? Moim zdaniem dlatego, że Polacy są wychowani w innej cywilizacji. Nawet jeśli ktoś nie wierzy w Boga i nie chodzi do kościoła, to jest wychowywany w dorobku moralnym cywilizacji chrześcijańskiej. To po

eprasa.pl 04f299c0b7

pierwsze. Po drugie, jeśli ktoś przekonuje, że przyczyną ostatniej fali przemocy we Francji są nierówności, to wszyscy ludzie, którzy znają ten kraj, z którymi rozmawiałem w tej sprawie, podkreślają, że Francuzi wykonali ogromną pracę, żeby rodziny imigrantów obowiązywały takie same zasady jak innych obywateli.

Mówimy o francuskim modelu afirmatywnym, który miał stworzyć równe szanse dla imigrantów. To nie zadziałało?

Model, o którym mówimy w niektórych obszarach życia publicznego, sprawiał, że imigrantom było łatwiej niż białym Francuzom. Dlaczego to nie zadziałało? Oni po prostu nie chcą pracować. Pomijam już to, że średnie zarobki we Francji są wyraźnie wyższe niż w Polsce, a jednak u nas nie ma takich wybuchów społecznych jak tam. Próbując rozłożyć argumenty lewicy na czynniki pierwsze, w tym równaniu na końcu zawsze jasno wychodzą różnice kulturowe, cywilizacyjne. Nie można udawać, że jest inaczej. Trzeba docenić szczerość byłej lewicowej premier Szwecji Magdaleny Andersson, która była najpierw zwolenniczką i promotorką idei multi-kulti, ale kiedy rok temu oddawała urząd premiera, przyznała, że ten eksperyment się nie udał, a w Szwecji powstały dwa równoległe społeczeństwa. Te słowa wypowiedziała lewicowa premier Szwecji, która prowadziła bardzo progresywną politykę. Obawiam się, że do ludzi, którzy w ocenie przyczyn ostatnich rozruchów we Francji wciąż mają wątpliwości, nie trafią już żadne argumenty.

Wydaje się, że bardzo daleki od diagnozy postawionej przez byłą premier Szwecji jest prezydent Francji Emmanuel Macron. Prezydent, odnosząc się do fali niszczycielskiej przemocy we francuskich miastach, przekonywał, że napędzają ją media społecznościowe, w których zanurzeni są młodzi ludzie, pokazujące szeroko brutalne starcia na ulicach. Macron chce cenzury mediów społecznościowych.

Nie spodziewałem się ze strony prezydenta Macrona czegoś innego. On sam wie, że ponosi ogromną odpowiedzialność za wymieszanie kulturowe we Francji, że ludzie, którzy demolują dziś kraj, to nie są bynajmniej wyborcy Marine Le Pen. To są jego wyborcy. Macron nie może i nie chce przyznać, że jest inaczej, niż twierdzi. Oczywiście nie znaczy to, że on nie wie, jaka jest prawda. On nie chce się do niej przyznać, bo wie, że byłby to akt oskarżenia wobec niego samego. W tej sytuacji jedyną nadzieją na to, żeby zmienić rzeczywistość, jest wybór kogoś spoza lewicowo-liberalnych elit.

Była lewicowa premier Szwecji i promotorka idei multi-kulti przyznała, że eksperyment się nie udał, a w Szwecji powstały dwa równoległe społeczeństwa

Jeden z ważniejszych polityków Platformy Obywatelskiej powiedział ostatnio, że także w Polsce stoimy przed koniecznością wolnej debaty o polityce imigracyjnej wolnej od rasistowskich uprzedzeń. Czy taka debata jest potrzebą chwili, kiedy Polska boleśnie doświadcza zapaści demograficznej?

Rzeczywiście. Polska rozwija się bardzo szybko, wskaźniki demograficzne są słabe. Musimy pilnie szukać odpowiedzi na te wyzwania. Trzeba myśleć wielowektorowo, to znaczy zastanowić się, jak skłonić Polki i Polaków, żeby mieli więcej dzieci. Ale to temat na inną rozmowę. Równie istotne jest rozstrzygnięcie, jaką politykę imigracyjną prowadzić, bo od tego problemu nie da się uciec. Uważam, że najlepsze jest rozwiązanie środka. Nie chodzi o to, co sugeruje ostatnio Donald Tusk, żeby zamknąć granice i udawać, że nic nas nie interesuje. Mówi to polityk, który w rzeczywistości jest zwolennikiem przymusowej relokacji imigrantów. Trzeba także odrzucić to, co proponuje Konfederacja, co zawiera się w haśle: „Stop ukrainizacji" i nie wpuszczamy nikogo. Potrzebujemy mądrej, zrównoważonej polityki w tym zakresie. Polska była, jest i powinna być w przyszłości otwartym krajem.

Taka jest nasza tradycja, dziedzictwo I Rzeczypospolitej...

I tak powinno być dalej. Powinniśmy sięgać do naszej historii i uczyć się na niej. Jeśli mamy szukać jakiegoś modelu polityki imigracyjnej, to najlepiej oprzeć go na naszym kręgu kulturowym, najlepiej współdziedziczącym tradycję I Rzeczypospolitej.

Czyli mówimy o naszych bliskich Kresach?

Dokładnie tak. Mamy dziś w Polsce ogromną liczbę Ukraińców i jakoś nie mamy problemów, jakie ma Francja. Co więcej, zdecydowana większość z nich pracuje, chce pracować, tym samym buduje polski PKB. Przywołam ostatnie dane, z których wynika rekordowy poziom zatrudnienia, przekraczający po raz pierwszy w historii pułap 17 mln ludzi. Ten efekt wynika z tego, że również bardzo wielu Ukraińców pomaga nam budować siłę polskiej gospodarki.

Jednak jeśli spojrzeć na asymilację społeczną, to integrowanie Ukraińców dokonuje się bardzo powoli. To odrębna społeczność odseparowana od polskich spraw.

Osobiście mam inne doświadczenia. Chociaż to oczywiście kwestia subiektywna, do pełnego obrazu konieczne byłyby zweryfikowane badania. Znam wiele osób z Ukrainy, które się asymilują. Dzieci, które chodzą do naszych szkół, będą otwarte na stosunkowo silną kulturę polską. Odwołam się raz jeszcze do tradycji I Rzeczypospolitej, w której obok Polaków żyli Litwini, Kozacy, Rusini, Tatarzy, Żydzi, Ormianie, i wszyscy mieli poczucie przynależności do tej lepszej od wszystkiego wokół wolnościowej cywilizacji.

Czy nasza kultura, dziedzictwo, polska cywilizacja są dziś na tyle atrakcyjne, że możemy w oparciu o nie budować polską soft power ułatwiającą integrację przybyszów z polskim żywiołem? W przeszłości polskość miała taką siłę przyciągania, że nawet w okresie braku własnej państwowości przyjmowali ją przedstawiciele innych narodów.

W sensie doktrynalnym polska soft power jest wyposażona w cechy, które pan wskazał. W sensie faktycznym postępuje dychotomia, która jest dziedzictwem zaborów, PRL i PRL-bis, która polega na tym, że my sami w Polsce nie potrafimy się zgodzić co do tego, czy polskość jest atrakcyjna czy nie. Ten rozdźwięk sprawia, że nie wykorzystujemy tego atutu tak, jak moglibyśmy wykorzystywać. Świadomość tego atutu miały elity I Rzeczypospolitej, które traktowały go jako największy wyróżnik, coś, czym można było się chwalić na każdym spotkaniu czy biesiadzie. Jeśli jako naród, ale też klasa polityczna byśmy to przepracowali, to atrakcyjność naszej oferty wzrosłaby wielokrotnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 04f299c0b7

Gdzie jest Emanuela?

FOT. STEFANO MONTESI/CORBIS/GETTY IMAGES

Piotr Włoczyk

Czterdzieści lat po tajemniczym zaginięciu Emanueli Orlandi jej rodzina wciąż nie zna odpowiedzi na najważniejsze pytanie. Pewne nadzieje dają ostatnie deklaracje Watykanu

Niewykluczone, że ta sprawa potoczyłaby się zupełnie inaczej – nie byłoby o niej tak głośno – gdyby nie telefon, który rodzina państwa Orlandi odebrała kilka dni po zaginięciu 15-letniej Emanueli. Męski głos po drugiej stronie słuchawki poinformował bliskich dziewczynki, że ich Emanuela wróci do rodziny, o ile wcześniej Mehmet Ali Ağca zostanie wypuszczony z więzienia. Był to pierwszy z całej serii zwrotów akcji, które już od 40 lat nie dają spokoju rodzinie zaginionej (jej 93-letniej matce i czworgu rodzeństwa). Tą tajemniczą sprawą kryminalną żyją też całe Włochy, a od jesieni zeszłego roku miliony ludzi na całym świecie mogły się o niej dowiedzieć za sprawą miniserialu Netflixa.

Ostatnim miejscem, gdzie była widziana 15-latka, był przystanek autobusowy obok gmachu senatu w centrum Rzymu. Był 22 czerwca 1983 r., Emanuela Orlandi wracała właśnie z lekcji gry na flecie. Jeszcze tylko zdążyła zatelefonować do domu – odebrała jej siostra – i powiedzieć, że spóźni się, bo autobus nie przyjeżdża. Od tego momentu nie ma po niej śladu, Emanuela zapadła się pod ziemię.

Jej zaginięcie wywołało ogromne poruszenie w Watykanie, gdzie nastolatka mieszkała z rodziną. Państwo Orlandi byli obywatelami tego państwa – ojciec Ercole Orlandi był pracownikiem Prefektury Domu Papieskiego.

OTWIERANIE GROBU

Zdjęcie Emanueli z przepaską na czole znają całe Włochy. Na temat jej poszukiwań i śledztwa powstały niezliczone reportaże, programy telewizyjne, wywiady i książki. Co kilka lat sprawa wracała z hukiem, gdy media informowały o kolejnym świadku, który przedstawił sensacyjnie brzmiącą wersję zdarzeń, lub o poszlace, która kierowała śledztwo na zupełnie nowe tory. Teorii na temat jej

eprasa.pl 04f299c0b7

zniknięcia jest cała masa, ale wśród nich najczęściej omawiane są: użycie dziewczynki jako karty przetargowej w negocjacjach na temat uwolnienia Mehmeta Ali Ağcy, porwanie przez mafię, by zmusić watykańskich oficjeli do szybkiego oddania rzekomego długu, a także działalność grupy pedofilskiej, która miałaby wykorzystać Emanuelę, a następnie ją zabić.

Ta ostatnia wersja zyskała na znaczeniu w 2012 r. za sprawą o. Gabriele Amortha, powszechnie szanowanego w Watykanie egzorcysty diecezji rzymskiej (mianowanego na to stanowisko w 1985 r. przez Jana Pawła II). Ojciec Amorth powiedział wówczas w wywiadzie dla dziennika „La Stampa", że dziewczynka została porwana i zmuszona do wzięcia udziału w orgiach. „Ta zbrodnia miała motyw seksualny. Organizowano imprezy, a watykański żandarm pełnił rolę »rekrutera« dziewczyn" – powiedział o. Amorth, przywołując tu słowa archiwisty watykańskiego ks. Simeone Duca, który również uważał, że właśnie tak zginęła nastolatka.

Jak twierdził egzorcysta, poza ludźmi z wnętrza Watykanu w orgiach mieli też brać udział zagraniczni dyplomaci. Według o. Amortha Emanuela Orlandi została następnie zabita, a jej ciała skutecznie się pozbyto. Papieski egzorcysta nigdy nie gryzł się w język, jeżeli chodzi o wskazywanie grzechów, nawet w przypadku samej Stolicy Apostolskiej. W wywiadzie rzece udzielonym dziennikarzowi Marco Tossatiemu o. Amorth, nawiązując do słynnych słów Pawła VI, powiedział, że „swąd szatana" unoszący się nad Watykanem jest efektem działania diabła wśród najwyższych rangą duchownych. Ojciec Amorth (zmarł w 2016 r. w wieku 91 lat) nie tylko wskazywał w tym kontekście na zaginięcie Emanueli Orlandi, lecz także m.in. na tajemnicze zabójstwo Aloisa Estermanna, komendanta Gwardii Szwajcarskiej, i jego żony, którzy zostali zastrzeleni w 1998 r.

– Kościół zapamięta go jako niezwykle odważnego kapłana, który nie bał się mówić o szatańskiej działalności, nawet jeżeli dotyczyło to samego Watykanu – powiedział „Do Rzeczy" na temat o. Amortha John Henry-Westen, znany kanadyjski działacz katolicki, redaktor naczelny lifesitenews.com.

W tym samym 2012 r. doszło do kolejnego zwrotu akcji, który wyjęty był niemal żywcem z thrillera. Było to pokłosie telefonu widza, który zadzwonił do jednego z programów telewizyjnych na temat niewyjaśnionych zagadek kryminalnych i oznajmił: „Aby znaleźć rozwiązanie tej sprawy, zobaczcie, kto pochowany jest w krypcie bazyliki św. Apolinarego". Włoscy śledczy podjęli ten trop i wreszcie w 2012 r. otworzyli grób Enrica De Pedisa ps. Renatino, ostatniego przywódcy gangu Banda della Magliana, który w 1990 r. (zginął zastrzelony) został pochowany w krypcie bazyliki.

Doszło do pewnego przełomu. Alessandro Diddi, główny watykański prokurator, postanowił przyjrzeć się raz jeszcze zebranym materiałom

Był to wyjątkowo ciężki czas dla rodziny Orlandi. „Mają nadzieję, że nie zostaną tam znalezione jej szczątki" – powiedział wówczas mediom Massimo Krogh, adwokat rodziny Orlandi. – Oczywiście tak długo, jak nic tam nie zostanie znalezione, rodzina ma nadzieję, że ona wciąż żyje".

W trakcie ekshumacji znaleziono w krypcie setki kości należących do wielu innych pochowanych tam osób, co sprawiło, że jeszcze przez wiele miesięcy prowadzono badania DNA. Ostatecznie prokuratura uznała, że w bazylice św. Apolinarego nie ma jednak śladu po Emanueli Orlandi. Osobną zagadką było to, w jakich okolicznościach rodzina tego bandyty uzyskała zgodę biskupa na pochowanie go w krypcie świątyni. Po nagłośnieniu sprawy szczątki „Renatino" nie wróciły już do bazyliki, tylko spoczęły na „zwykłym" cmentarzu.

Rodzina Orlandi od początku zarzuca Watykanowi brak woli wyjaśnienia zaginięcia Emanueli. Zgoda władz kościelnych na prace ekshumacyjne w krypcie bazyliki św. Apolinarego została więc dobrze oceniona przez rodzinę, której głównym rzecznikiem jest Pietro Orlandi – brat Emanueli.

„To bardzo pozytywne, szczególnie że w przeszłości było zupełnie inaczej. Cisza ze strony Watykanu, trwająca już 29 lat, jest dla mnie niewytłumaczalna. Nigdy nie wierzyłem, że znajdą ją tam zakopaną, ale ważne było, żeby rozwiać wątpliwości – mówił wówczas Pietro Orlandi, dodając, że według niego prawda na temat zaginięcia jego siostry jest znana „wielu osobom".

Nadzieja rodziny co jakiś czas podsycana była kolejnymi medialnymi plotkami, że Emanuelę widziano w tym czy innym europejskim mieście. Przez te lata sprawdzana była też wersja, według której zaginiona miałaby spokojnie żyć w jednym z rzymskich klasztorów...

NOWE TROPY

Pół roku temu doszło w tej sprawie do pewnego przełomu. Alessandro Diddi, główny watykański prokurator, postanowił przyjrzeć się raz jeszcze zebranym materiałom. Współpracuje on w tej sprawie z rzymską prokuraturą, która również otworzyła w tym roku na nowo śledztwo. To już trzeci raz, kiedy włoscy śledczy wracają do zaginięcia Emanueli. Diddi stwierdził, że po ponownym przeanalizowaniu zebranych dotąd dowodów oraz po przeprowadzeniu rozmów z ludźmi, którzy pracowali w Watykanie w 1983 r., pojawiły się tropy, które „warte są dalszego wyjaśniania".

„Jeżeli śledztwo, które otworzył Watykan w sprawie porwania Emanueli, zostanie faktycznie przeprowadzone ze szczerym zamiarem ostatecznego wyjaśnienia sprawy i oddania sprawiedliwości Emanueli, to może być bardzo krótkie. Długie dochodzenie nie jest potrzebne, bo oni już znają prawdę. Wystarczy, że ją opowiedzą" – przekonywał potem w mediach społecznościowych Pietro Orlandi.

W 40. rocznicę zaginięcia papież Franciszek wyraził „bliskość z rodziną, w szczególności z matką" dziewczyny, co jednak nie do końca przekonuje jej bliskich. Rodzina Orlandi podkreśla, że liczą się dla niej przede wszystkim konkretne działania.

Za sprawę, która tak bardzo bulwersuje Włochów, wziął się też włoski parlament, który na początku roku postanowił powołać specjalną, 40-osobową komisję śledczą. Włoscy parlamentarzyści będą się przy okazji przyglądali także zaginięciu 16-letniej Mirelli Gregori, która zapadła się pod ziemię w Rzymie miesiąc przed Emanuelą. Niewykluczone, że obie te sprawy są ze sobą powiązane.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 04f299c0b7

FOT. DON ARNOLD/GETTY IMAGES

NIE MA KONTA ZA POGLĄDY

Nigel Farage, brytyjski polityk, który był jedną z głównych twarzy wyjścia z UE, ma problem. Banki zamknęły jego konta. Jak twierdzi, odbyło się to bez podania przyczyn, a powodem są jego poglądy polityczne. „Establishment próbuje mnie zmusić do opuszczenia Wielkiej Brytanii, zamykając moje konta bankowe" – napisał Farage na Twitterze. Według brytyjskiej prasy minister skarbu Jeremy Hunt miał być tymi doniesieniami „głęboko zaniepokojony" i zlecić kontrolę w tej sprawie.

GRETA Z ZARZUTAMI

Aktywistka klimatyczna ze Szwecji usłyszała zarzuty – jest oskarżona o nieposłuszeństwo i odmowę podporządkowania się poleceniom policji. Chodzi o wydarzenia z czerwca, kiedy to Greta Thunberg dołączyła do grupy młodych ludzi blokujących tankowce w porcie w Malmö. „Kryzys klimatyczny jest już kwestią życia i śmierci dla niezliczonych ludzi. Zdecydowaliśmy się nie być obserwatorami i zamiast tego fizycznie zatrzymać infrastrukturę paliw kopalnych" – uzasadniała na Twitterze włączenie się do tej akcji.

WSPANIAŁY ROZWÓJ ROSJI

Auta z technologiami sprzed 30 lat? Brak wielu firm, komponentów? To nic. Prezydent Rosji podczas wirtualnego szczytu Szanghajskiej Organizacji Współpracy stwierdził: – Rosja przeciwdziała wszystkim tym zewnętrznym sankcjom, naciskom, prowokacjom i rozwija się jak nigdy dotąd.

KONFETTI OD AKTYWISTÓW

Aktywiści klimatyczni znów zaatakowali. Tym razem postanowili przeszkodzić zawodnikom rozgrywającym jeden z czterech najważniejszych turniejów tenisowych świata – Wimbledon. Członkowie organizacji Just Stop Oil wtargnęli na kort, na którym grali mecz Sho Shimabukuro i Grigor Dimitrow. Rozrzucili na murawie konfetti i kawałki układanki.

NA PLAŻY BEZ JEDZENIA

Władze włoskiego miasta Sant'Antioco przyjęły nowe regulacje dotyczące zachowania się na plaży. Oburzenie wzbudził punkt, który zabrania „organizowania pikników lub spożywania jakiegokolwiek jedzenia". Za złamanie zakazu grozi kara 500 euro. Mieszkańcy zaczęli wskazywać, że tak sformułowane prawo grozi wysoką grzywną np. za spożycie loda nad morzem. Burmistrz miasta odpowiedział, że będzie przymykał na to oko. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Jak umiera dziennikarstwo

Był 8 sierpnia 1703 r., gdy dziennikarz Hieronymus Gmainer oraz Johann Baptista Schönwetter wydali pierwszy egzemplarz „Wiennerisches Diarium". Twórcy dziennika deklarowali, że będą przedstawiać rzeczywistość taką, jaka jest, „bez oratorskiego lub poetyckiego połysku". Początkowo do gazety dodawano darmową kawę, ale nawet po zakończeniu tej promocji pismo cieszyło się dużą popularnością.

W 1768 r. redakcja opublikowała reportaż z koncertu „wyjątkowo utalentowanego" 12-latka (nazywał się Wolfgang Amadeusz Mozart). Od 1780 r. dziennik był wydawany pod nazwą „Wiener Zeitung". Nawet jako gazeta rządowa uznawany był za solidne źródło wiedzy o sprawach krajowych i zagranicznych, kulturze czy gospodarce. Tytuł stał się jednym z najstarszych dzienników świata. 29 czerwca 2023 r. do kiosków trafiło jego ostatnie wydanie papierowe. W swej tradycyjnej formie dziennik ten, co zaznaczyła redakcja na stronie tytułowej, przetrwał 320 lat, 12 prezydentów, 10 cesarzy i dwie republiki.

Teoretycznie „Wiener Zeitung" nadal będzie istniał w Internecie, a w papierze będzie wychodził raz w miesiącu. Redakcja – która z powodu trudnej sytuacji ekonomicznej musiała zmniejszyć liczbę dziennikarzy z 55 do 20 – ma jednak świadomość, że koniec jest blisko. „Nadeszły burzliwe czasy dla dziennikarstwa wysokiej jakości... Na coraz większej liczbie platform poważne treści rywalizują z fake newsami, filmikami z kotkami oraz teoriami spiskowymi" – zauważyli redaktorzy, podzielając troski poważnych dziennikarzy z wielu krajów świata. Niestety, trudno liczyć na radykalną zmianę trendu. Głupimi rządzi się łatwiej – wiedzą o tym i politycy, i biznesmeni... ©℗

eprasa.pl 04f299c0b7

Poznaj najważniejsze wydarzenia mijającego tygodnia na polskiej scenie politycznej. Na rozmowy w Telewizji Republika zaprasza Rafał Ziemkiewicz.

REPUBLIKA

Salonik POLITYCZNY

RAFAŁA ZIEMKIEWICZA

Niedziela
11:00

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl 04f299c0b7

Jacek Przybylski

Pojedynek

Threads. Tak nazywa się nowa aplikacja ze stajni Instagrama mająca stać się pierwszym bardzo poważnym konkurentem dla serwisu należącego do Elona Muska. Czy rzeczywiście Zuckerberg wprowadził na rynek „zabójcę Twittera"?

Elon Musk

FOT. MAJA HITIJ/GETTY IMAGES

Koloseum. Jedna z najbardziej imponujących starożytnych budowli stolicy Italii przyciąga rocznie ok. 6 mln turystów z całego świata. W największym i najbardziej okazałym amfiteatrze poza publicznym torturowaniem i mordowaniem skazańców główną rozrywką były walki gladiatorów.

To właśnie Koloseum na miejsce swojego pojedynku wybrało według plotkarskich magazynów w USA dwóch znanych na całym świecie miliarderów, co pośrednio potwierdził na Twitterze sam Elon Musk, pisząc, że „są szanse na to, że walka odbędzie się w Koloseum". Ponoć o takim pomyśle wie już nawet włoski minister kultury. Walka najbogatszych ludzi świata w takim miejscu nie jest całkowicie wykluczona, choć Koloseum po raz ostatni zostało wykorzystane, gdy Paul McCartney zorganizował w starożytnych murach kameralny koncert charytatywny. Cel imprezy wewnątrz zabytku był więc wyraźnie bardziej ambitny niż pokaz dwóch bogatych brzydali w sportowych ciuchach próbujących złoić skórę konkurentowi, choć to zapewne po prostu signum temporis. I przy tej okazji na cele charytatywne można by przecież uciułać kilkaset milionów dolarów.

Niezależnie od miejsca w bezpośredniej walce zmierzyć ma się ekscentryczny prezes Tesli produkującej elektryczne samochody, marzący o podbiciu Marsa założyciel kosmicznej spółki SpaceX i od niedawna właściciel Twittera Elon Musk. Jego rywalem będzie twórca Facebooka, szef Instagrama, prezes firmy Meta i Człowiek Roku 2010 magazynu „Time" Mark Zuckerberg. „Walkę w klatce" zaproponował na Twitterze 51-letni Elon Musk. „Wyślij mi lokalizację" – błyskawicznie odpowiedział mu na Instagramie 39-letni Mark Zuckerberg. I chociaż słowna przepychanka wskazywała jedynie na próbę rozdmuchania i tak rozdętych do granic możliwości ego obu panów, to amerykańskie media informują, że dwaj superbogacze naprawdę poważnie podchodzą do pomysłu pojedynku.

– To byłaby największa walka w historii świata – mówił w wywiadzie dla plotkarskiego TNZ Dana White, szef UFC, deklarując chęć pomocy w organizacji wydarzenia.

Pojedynki toczone w ramach Ultimate Fighting Championship (UFC) odbywają się w ośmiokątnym ringu otoczonym siatką, nazywanym oktagonem lub po prostu klatką. Zawodnicy mogą używać wielu różnych sztuk walki: boksu, tajskiego boksu, brazylijskiego ju-jitsu czy judo. Walki budziły sprzeciw wielu szanowanych polityków (jak np. republikański senator John McCain), ich organizatorzy dali więc sędziom prawo do przerywania walki, zabronili kopania w głowę leżącego przeciwnika, zakazali ciosów w krocze etc. A że miłośników bestialskich walk nie brakuje również w XXI w., tzw. mieszane sztuki walki (MMA) stają się z roku na rok coraz lepszym sposobem na biznes. Gaże współczesnych gladiatorów sięgają 1 mln dol. za walkę.

Organizacje typu UFC zarabiają zaś m.in. na prawach do transmisji oraz sprzedaży pakietów pay-per-view. Na przykład za możliwość obejrzenia jednej z jubileuszowych gali UFC zapłaciło 1,6 mln (!) osób.

Imprezy tego typu potrafią przynosić organizatorom wielomilionowe zyski, a wartość udziałów największych organizacji szacowana jest już w miliardach dolarów. Do tej pory rekordowe przychody, wynoszące ponad 600 mln dol., przyniosła organizatorom walka Conora McGregora

eprasa.pl 04f299c0b7

Mark Zuckerberg
FOT. CHRISTOPHE MORIN/IP3/GETTY IMAGES

miliarderów

z Floydem Mayweatherem sprzed pięciu lat. Ile pieniędzy mógłby przynieść pojedynek Elona Muska i Marka Zuckerberga? Według szefa UFC potencjalnie przychód przebiłby 1 mld dol. i zapisał się na kartach historii jako „największa walka wszech czasów". I mimo amerykańskiej skłonności do grubej przesady w tym przypadku może się tak bardzo nie mylić. Chociaż akurat takie amerykańskie wydarzenia „kulturalne" powinny być prezentowana nie w Rzymie, lecz w Las Vegas.

„LODÓWKA" KONTRA „ATLETA"

Mimo doniesień kolejnych mediów wypada wątpić, aby zapowiedź pojedynku miliarderów w klatce była czymś więcej niż tylko PR-owską zagrywką dwóch ultrabogaczy z kompletnie różnej kategorii wagowej, ale tysiące ludzi na świecie typują już swych faworytów, a do najbogatszych zawodników świata zgłaszają się największe gwiazdy sportu MMA gotowe przekształcić technologicznych bossów w prawdziwe maszyny do zabijania.

Gdyby doszło do starcia, więcej osób stawiałoby zapewne na młodszego, mającego bardziej wysportowaną sylwetkę, regularnie trenującego i odnoszącego już pierwsze sukcesy w zawodach brazylijskiego ju-jitsu Zuckerberga. Założyciela Facebooka chciałby szkolić np. Jon Jones, były mistrz UFC w wadze półciężkiej oraz aktualny mistrz w wadze ciężkiej. Z kolei Elonowi Muskowi, którego sylwetka przypomina raczej lodówkę z pierwszej połowy XX w. niż ciało sportowca, swoje usługi zaoferował m.in. Kanadyjczyk Georges St-Pierre, dwukrotny zdobywca mistrzowskiego pasa organizacji UFC w wadze półśredniej oraz wagi średniej z 2017 r., który aż trzykrotnie wybierany był przez telewizję Sportsnet na kanadyjskiego sportowca roku. Szefa Tesli i Twittera również nie należy lekceważyć, bo nie jest zwykłym siedzącym za biurkiem miękiszonem, ale byłym mistrzem sztuk walki (ma m.in. czarny pas w brazylijskim ju-jitsu).

Gdyby do pojedynku rzeczywiście doszło, to emocji na pewno by nie brakowało. Obaj panowie mają rozdmuchane ego. A przy okazji wiele powodów, aby się wzajemnie nie lubić. Na przykład 1 września 2016 r. należąca do Muska spółka kosmiczna SpaceX przeprowadziła nieudaną próbę rakietową. Falcon 9 eksplodowała, niszcząc przy okazji satelitę AMOS-6, za pośrednictwem którego firma Zuckerberga zamierzała dostarczać darmowy Internet m.in. w Afryce w ramach projektu Internet.org. „Będąc akurat w Afryce, jestem głęboko rozczarowany, słysząc, że awaria podczas startu SpaceX zniszczyła naszego satelitę, który zapewniłby łączność tak wielu przedsiębiorcom i wszystkim innym na całym kontynencie" – napisał wówczas na Facebooku Zuckerberg. Musk dał mu w zamian darmowe wyniesienie satelity w Kosmos.

W 2017 r. panowie publicznie posprzeczali się w sprawie przyszłości sztucznej inteligencji i związanego z jej rozwojem ryzyka zagłady ludzkości. „Rozmawiałem o tym z Markiem. Jego zrozumienie sprawy jest dość ograniczone" – zadrwił wówczas na Twitterze Musk. Właściciel Twittera publicznie twierdził też np., że aplikacji „WhatsApp nie można ufać", i zasugerował, że Zuckerberg jest „ekstremalnie stronniczy", wspierając głównie rządzących obecnie w USA demokratów. Musk poparł również głośną kampanię „DeleteFacebook", wzywającą użytkowników do kasowania kont na tej platformie.

PRAWDZIWA WALKA O KORONĘ

Niezależnie od tego, czy szefowie technologicznych spółek będą mieli okazję dać sobie solidne lanie czy nie, mogą ze sobą zacięcie rywalizować, nie zbliżając się do klatek czy innych oktagonów. Obaj panowie mają już takie majątki, że nigdy w życiu nie musieliby przepracować już nawet jednej minuty. Nie zamierzają jednak przechodzić na wcześniejszą emeryturę i ostro walczą o miejsce w rankingu najbogatszych ludzi świata.

W ostatnich tygodniach pierwsze miejsce wśród najbogatszych ludzi świata odzyskał Elon Musk. 6 lipca „Forbes"

eprasa.pl 04f299c0b7

szacował majątek ekscentrycznego 52-latka na 251,1 mld dol. Łatwiej sobie tę liczbę wyobrazić, jeśli zapiszemy ją tak: 250 000 000 000 lub napiszemy, że za takie pieniądze można kupić sobie flotę ponad 300 superluksusowych jachtów. Dla porównania: PKB Węgier to ok. 170 mld dol., a Słowacji – ok. 115 mld dol.

Na tle swego największego konkurenta Mark Zuckerberg wypada nieco blado. W czerwcu obecnego roku jego fortuna pierwszy raz od lutego 2022 r. szacowana była na ponad 100 mld dol. 6 lipca „Forbes" szacował jego majątek na 104,4 mld dol., co tego dnia dawało mu siódmą pozycję w rankingu najbogatszych ludzi na tej planecie. Trzeba jednak pamiętać, że założyciel Facebooka ma dopiero 39 lat, więc w perspektywie najbliższych lat ma jeszcze szansę się dorobić (oczywiście jeśli nie weźmie kosztownego rozwodu).

Zarówno dla Muska, jak i dla Zuckerberga pierwsze półrocze obecnego roku było wyjątkowo udane, bo notowania obu firm wzrosły o ponad 100 proc., dzięki czemu majątek Muska urósł o ok. 100 mld dol., a Zuckerberga o mniej więcej 60 mld (nie jest to jakaś wielka zasługa obu panów, bo według Bloomberga pierwszych sześć miesięcy 2023 r. ogólnie było najlepszym półroczem dla miliarderów od połowy 2020 r.).

Kierowana przez Muska Tesla nie tylko ma wyższą wartość rynkową niż Meta (ok. 885 mld dol. kontra 754 mld dol.), lecz także zatrudnia więcej pracowników (ok. 128 tys. wobec 86 tys.). Z kolei Meta może się pochwalić wyższymi niż Tesla przychodami w 2022 r. (116,6 mld dol. wobec 81,5 mld dol.) oraz wyższym zyskiem netto (23,2 mld dol. kontra 14,1 mld dol.). Inwestorzy właśnie w Tesli widzą jednak większy potencjał do szybkiego rozwoju.

ZABÓJCA TWITTERA?

Pojedynek rynkowy między Metą a Twitterem wydaje się o wiele bardziej fascynujący niż obiecana walka w klatce. Zwłaszcza że w czwartek Zuckerberg wyprowadził potencjalnie bardzo bolesny cios. Publicznie zaprezentowano Threads, a więc serwis, który ma się stać najpoważniejszym konkurentem dla Twittera, przyciągając do siebie użytkowników i reklamodawców, których zraziło kupno ćwierkającej platformy przez Elona Muska. W ubiegłym tygodniu serwis umożliwiający publikowanie postów o maksymalnej długości do 500 znaków, zdjęć oraz maksymalnie pięciominutowych filmików zbierał mocno mieszane komentarze. Aplikacja mocno przypomina interfejs Twittera. Prawnik reprezentujący kierowany przez Elona Muska ćwierkający serwis wysłał już do Marka Zuckerberga list, w którym oskarżył Metę o kradzież tajemnic handlowych poprzez zatrudnianie dawnych pracowników Twittera. Najnowszy serwis Instagram Threads na razie nie jest oficjalnie dostępny w Polsce ani w żadnym kraju Unii Europejskiej.

W 2010 r., gdy Mark Zuckerberg zostawał Człowiekiem Roku, magazyn „Time" chwalił go za „połączenie ponad pół miliarda ludzi i odwzorowanie zachodzących między nimi relacji społecznych; za stworzenie nowego systemu wymiany informacji; oraz za zmianę sposobu w jaki wszyscy żyjemy". Media społecznościowe raczej już „nie łączą", lecz działają głównie jako platformy do toczenia nieustających sporów. Zmorą na Facebooku czy Twitterze stała się również ogromna liczba botów i fałszywych kont. Ich właściciele doskonale zdają sobie z tego sprawę i – jak na monopolistów przystało – zamiast coś z tym zrobić, za rozwiązanie irytującego użytkowników problemu każą sobie zapłacić.

251 mld dol.

NA TYLE W UBIEGŁY CZWARTEK BYŁ SZACOWANY MAJĄTEK ELONA MUSKA

Meta pochwaliła się w zeszłą środę, że rozpoczyna wdrażanie w Polsce „Meta Verified". Pakiet subskrypcji na Instagramie i Facebooku ma dawać „twórcom szerszy dostęp do weryfikacji i wsparcia technicznego w językach angielskim i polskim". Usługa – będąca częścią globalnej ekspansji ogłoszonej przez Marka Zuckerberga – obejmuje m.in. plakietkę potwierdzającą, że użytkownik jest faktycznie osobą, za którą się podaje, oraz że konto zostało uwierzytelnione za pomocą dokumentu tożsamości. Ma to zmniejszyć ryzyko podszywania się oszustów pod facebookowe czy instagramowe profile najbardziej znanych polityków, gwiazd show-biznesu, sportowców czy znanych firm. W ramach płatnego pakietu Meta zobowiązuje się m.in. do zapewnienia większej ochrony przed podszywaniem poprzez monitorowanie kont, które mogą atakować profile osób, które stają się popularne i zyskują obserwujących. Subskrypcja „Meta Verified" jest płatna. Jak poinformowało biuro prasowe Meta Platform w przesłanym „Do Rzeczy" komunikacie, jest ona dostępna do kupienia na platformach Instagram i Facebook w przeglądarce internetowej za 65 zł oraz na urządzeniach iOS i Android aż za 80 zł.

W tej kategorii Mark Zuckerberg otworzył kolejny front wojny z Elonem Muskiem, który możliwość wykupienia płatnych subskrypcji na Twitterze wprowadził w ubiegłym roku w Stanach Zjednoczonych, a od tego roku mogą z niej korzystać również użytkownicy w Polsce. W zamian za miesięczny abonament można potwierdzić swoje konto i otrzymać specjalny niebieski znacznik (dlatego usługa nazywa się TwitterBlue). Weryfikacja to nie wszystko. Użytkownicy posiadający „niebieską subskrypcję" mogą liczyć na lepsze pozycjonowanie na Twitterze, możliwość wrzucania dłuższych filmików oraz edycji tweetów, mniej reklam na osi czasu etc. Cena w Polsce to ok. 36 zł netto miesięcznie przy zakupie w przeglądarce lub ok. 49 zł przy zakupie w aplikacji (osobom, które słusznie zastanawiają się, dlaczego w aplikacji jest drożej – i to zarówno w przypadku Facebooka/Instagrama, jak i Twittera – szybko odpowiadam: w przypadku zakupów w aplikacjach firmy muszą odprowadzić stosowny „haracz" na rzecz Apple oraz Google).

Pomysł Elona Muska w momencie wprowadzania wzbudził ogromne kontrowersje i narzekania ze strony użytkowników, którzy odkryli nagle, że świat nie jest sprawiedliwy i nawet Twitter będzie dzielił ludzi na „równych i równiejszych". Również wielu ekspertów od rynku mediów społecznościowych prognozowało, że Musk szybko będzie się z nowego pomysłu wycofywał rakiem. Tymczasem wygląda na to, że marzący o podboju Marsa twórca Tesli przetarł biznesowe szlaki, którymi podążać będą również jego konkurenci.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 04f299c0b7

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Armia na kredyt

Rząd – z oczywistych powodów – zbroi Polskę; zbroi po zęby, budując jedną z największych armii w Europie, a takie zbrojenie kosztuje.

A że nie ma na to zbrojenie dostatecznej ilości pieniędzy w kasie państwa, to zaciąga długi, żeby uzbroić Polskę szybko, a zapłacić za wzmocnienie armii później. No i oczywiście – jak to w Polsce – podnosi się rwetes. A to, że – po pierwsze – jeśli rząd postrzega obecny stan armii jako aż tak wielkie zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa, iż wymaga to natychmiast aż tak ogromnych zakupów sprzętu i związanych z tym aż tak wielkich nakładów, to w pierwszej kolejności powinien zmniejszyć wydatki publiczne na inne cele, a już co najmniej ich teraz nie rozdymać – np. na niekonieczne cele socjalne. Czy bowiem w tej sytuacji nie można zrezygnować choćby z powiększenia „500+" do „800+", a także z fundowania „kredytów 2 proc." i innych przedwyborczych prezentów? Dałoby to – i to co roku – dziesiątki miliardów złotych oszczędności (samo niepodniesienie „500+" do „800+" niemal 25 mld zł rocznie), które można byłoby przeznaczyć na wzmocnienie armii.

Albo też – po drugie – jeśli już rząd uznał, że musi równocześnie kupować uzbrojenie oraz fundować prezenty wyborcom, to powinien po prostu podnieść na te cele podatki, zamiast udawać, że ma na wszystko pieniądze, których – widać gołym okiem – nie ma.

No i wreszcie – po trzecie – jeśli rząd uważa, że nie ma innego wyjścia, jak zbrojenie armii za tak wielkie pieniądze i jednocześnie aż tak znaczące powiększanie wydatków na przedwyborcze prezenty, a podatków na razie podnosić nie chce (wiadomo – to mało popularne, a idą wybory), co zmusza go do zaciągania na zbrojenia wielkich kredytów (jak ten wzięty w Korei Południowej, na grube kilkadziesiąt miliardów złotych), czyli w istocie do zadłużania przyszłych dochodów polskich podatników, to powinien o tym otwarcie i wyczerpująco informować opinię publiczną.

„Podejrzewam, że Koreańczycy to finansowanie zaproponowali – tak na portalu Money.pl zarzut ten sformułowała dr Małgorzata Starczewska-Krzysztoszek. – Problem polega na tym, że tę pożyczkę będzie trzeba spłacić. Rząd nabrał wody w usta, a warto byłoby poznać warunki, na jakich ten kredyt został udzielony: na jakie oprocentowanie, na jak długo. Powinniśmy wiedzieć, ile nas to wszystko będzie kosztowało".

Ależ, Szanowna Pani Doktor, o co tyle rabanu? Przecież i tak się o wszystkim dowiemy, i to ze szczegółami; dowiemy się z całą pewnością. Wszak wierzyciele prędzej czy później przyjdą do nas – zadłużonych u nich polskich podatników – po swoje. A uzbrojoną po zęby armię już wtedy będziemy mieli. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Wyścigi słoni

Wieczny minister infrastruktury Andrzej Adamczyk z wielką dumą ogłosił, że poza „darmowymi" autostradami (nic w państwie nie jest „darmowe", bo za wszystko ostatecznie płacą podatnicy w tej czy innej formie) zrealizowana zostaje kolejna obietnica rządu: zakaz wyprzedzania przez samochody ciężarowe na drogach szybkiego ruchu. Ma to sprawić, że będzie bezpieczniej, szybciej i wygodniej. Oczywiście kierowcom samochodów osobowych.

Nowe przepisy nie tylko nie sprawią, że będzie bezpieczniej, lecz także wkrótce zakorkują autostrady i ekspresówki

Jestem gotów się założyć, że ten populistyczny nonsens nie przetrwa nawet roku i polegnie, podobnie jak poległy dwuletnia ważność punktów karnych i skasowanie kursów „reedukacyjnych" dla kierowców. Zresztą pod naciskiem lobby transportowego.

Zakaz może wyglądać atrakcyjnie z punktu widzenia prywatnego kierowcy, który przecież drogą szybkiego ruchu porusza się okazjonalnie. Jednak wylano dziecko z kąpielą. W krajach, gdzie takie zakazy się pojawiają, nie obowiązują one na wszystkich drogach i przez cały czas, ale są dostosowane do warunków. Bywają nawet wprowadzane elastycznie za pomocą znaków wyświetlanych na tablicach elektronicznych. U nas zaś jak zwykle – od ściany do ściany.

Nowe przepisy nie tylko nie sprawią, że będzie bezpieczniej, lecz także wkrótce zakorkują autostrady i ekspresówki dokumentnie. Auta ciężarowe będą mogły wyprzedzać tylko w sytuacji, gdy inny pojazd będzie się poruszał „znacząco wolniej" od dozwolonej dla nich prędkości. Ta prędkość to 80 km/h. Jeśli więc na prawym pasie pojawi się pojazd jadący 70 km/h, to ustawi się za nim cały ciąg ciężarówek, może nawet długości paru kilometrów. Cały prawy pas zostanie w ten sposób zablokowany na prędkości 70 km/h. Lewy pas natomiast zablokują pojazdy, które wyprzedzać mogą, ale jadą względnie wolno – np. 100 km/h. A do wyprzedzenia będą mieć nie dwie czy trzy, ale kilkanaście albo kilkadziesiąt ciężarówek. Nietrudno było to przewidzieć, wystarczy logicznie myśleć. Jednak tu przecież nie o logiczne myślenie chodzi, ale o to, żeby sprzedać wyborcom kolejny populistyczny badziew. ©℗

eprasa.pl 04f299c0b7

Wszędzie wierni

Narodowe Sanktuarium Matki Bożej Częstochowskiej w Doylestown to ważne miejsce dla amerykańskiej Polonii

FOT. THE NATIONAL SHRINE OF OUR LADY OF CZESTOCHOWA

Radosław Wojtas

W podróż przez Atlantyk Polacy ruszali z nadziejami, marzeniami, planami, a także z głęboko w ich sercach wyrytą tradycją, kulturą, wiarą, której pozostawali wierni tysiące kilometrów od przeżywającej różne koleje losu ojczyzny. Jednym z pomników tej wierności jest „amerykańska Częstochowa”

Zaczęliśmy skromnie. 1 października 1608 r. do wybrzeży dzisiejszego stanu Wirginia przybił brytyjski statek „Mary and Margaret”. Wyruszył w podróż przez Atlantyk z inicjatywy kpt. Johna Smitha, by dotrzeć do pierwszej w Ameryce Północnej stałej osady angielskich – a drugiej, po Hiszpanach, europejskich – kolonialistów. Do Jamestown. To na pokładzie tego statku do Ameryki Północnej dotarli pierwsi Polacy. Niektórzy – Jan Bogdan, Michał Łowicki, Jan Mata, Stanisław Sadowski, Zbigniew Stefański – znani dziś z imienia i nazwiska. Rzemieślnicy. Specjaliści produkcji mydła, potażu, szkła.

Ludzie ci wyruszyli ku nieznanemu w czasie, gdy Rzeczpospolita była u szczytu potęgi. W okresie, który zapisał się w historii jako wieki złoty i srebrny, kiedy nic nie zapowiadało zbliżającej się katastrofy i utraty niepodległości. Pierwsi polscy osadnicy w Ameryce Północnej dali się poznać jako jedni z najbardziej aktywnych w kolonii. Polacy uruchomili hutę szkła i manufaktury produkujące dziegieć, smołę, potaż i liny okrętowe. Nie wahali się walczyć o swoje. Gdy w 1619 r. odmówiono im prawa wyborczego, Polacy zorganizowali pierwszy na amerykańskiej ziemi strajk, który zrównał ich w prawach z innymi mieszkańcami. To zasługą Polaków było ocalenie życia porwanego przez Indian prezydenta Jamestown – Johna Smitha.

Przez kolejne stulecia miliony Polaków podróżowały przez Atlantyk z różnych powodów. Ruszali w drogę z nadziejami, marzeniami, planami, a także z głęboko w ich sercach wyrytą tradycją, kulturą, wiarą, której pozostawali wierni tysiące kilometrów od przeżywającej różne koleje losu ojczyzny. Jednym z pomników tej wierności jest sanktuarium Matki Bożej Częstochowskiej w Doylestown. Ta opowieść jest o tym miejscu i o niektórych z tych, dzięki którym licząca dziś ok. 10 mln osób Polonia może powierzać swe prośby i składać dziękczynienia w sanktuarium zwanym „amerykańską Częstochową”.

PAULIN Z OBRAZEM

Historia Narodowego Sanktuarium Matki Bożej Częstochowskiej w Doylestown rozpoczyna się w roku 1951. Początek znów jest skromny, bo jest nim podróż jednego człowieka – paulina, o. Michała Zembrzuskiego. Mnich nie przyjeżdża do Stanów Zjednoczonych zupełnie sam. Ma ze sobą kopię cudownego obrazu Matki Bożej Jasnogórskiej, pobłogosławioną przez papieża św. Jana XXIII. Już wtedy zakonnik nosi w sercu marzenie erygowania amerykańskiego sanktuarium Matki Bożej Częstochowskiej. Na wzór Jasnej Góry w Polsce.

Pierwsze lata obecności w Stanach poświęca pracy misjonarskiej wśród Polaków, Węgrów i Włochów. Aby zrozumieć, dlaczego kapłan działa akurat wśród tych mniejszości, musimy nieco cofnąć się w czasie i prześledzić jego niezwykłą drogę duszpasterską. Urodzony 16 grudnia 1908 r. na Mazowszu najstarszy z siedmiorga dzieci Maksymiliana i Wiktorii z Tańskich Zembrzuskich

eprasa.pl 04f299c0b7

wstępuje do niższego seminarium ojców paulinów w Częstochowie już w wieku 13 lat. Klasyczne gimnazjum i studia filozoficzne kończy w Krakowie, pierwsze śluby zakonne składa w 1927 r., śluby wieczyste w 1933 r., a święcenia kapłańskie otrzymuje na Jasnej Górze 31 marca 1934 r. Ma 26 lat i przez pół swojego niedługiego wtedy życia związany jest z paulinami.

Nie mamy tu miejsca na pogłębianie życiorysu, ze spraw najistotniejszych wymieńmy więc tylko, że jeszcze w trakcie studiów zakon paulinów wyznacza go do pracy na Węgrzech, gdzie przebywa aż do roku 1948. Byłby tam zapewne i dłużej, gdyby nie to, że komunistyczne władze Węgier nakazują mu opuszczenie kraju. Trafia do Rzymu i tam do roku 1951 – kiedy to wysłano go do Ameryki – pracuje z Polakami. Godny uznania i wart odnotowania jest epizod wojenny ojca Zembrzuskiego. Przebywając na Węgrzech, pomaga tysiącom uchodźców z Polski, w tym Żydom, którym wydaje akty chrztu, by mogli przedostać się przez Węgry do bezpieczniejszych krajów. Ocalił w ten sposób ponad tysiąc osób!

Wróćmy jednak do lat 50. XX w. Dwa lata po przyjeździe do USA o. Michał Zembrzuski ma już kupiony kawałek ziemi w Doylestown, w stanie Pensylwania, i zgodę Stolicy Apostolskiej, by założyć na niej klasztor i sanktuarium. Kika razy padło już w tym tekście słowo „skromnie", ale nie sposób go nie powtórzyć i teraz, pisząc o początkach „polskiej Jasnej Góry". Pierwsza Msza św. zostaje tu odprawiona 26 czerwca 1955 r. w drewnianej stodole zaadaptowanej na kaplicę. Jej poświęcenie otwiera nowe centrum kultu maryjnego i inauguruje działalność sanktuarium, do którego natychmiast zaczynają ściągać pielgrzymki. Pierwsza z nich ma miejsce już w dniu uroczystości poświęcenia kaplicy.

BLIŻEJ DO MATKI

Do sanktuarium i repliki cudownego obrazu ciągną pielgrzymi z całych Stanów Zjednoczonych. Jest ich wielu. Zbyt wielu jak na „możliwości" małej drewnianej kaplicy. Szybko zapada decyzja o rozwoju miejsca kultu Maryi. Z pomocą finansową wiernych w roku 1960 o. Zembrzuski dokupuje więcej terenu, cztery lata później odbywa

Wszystko zaczęło się od kaplicy, którą urządzono w drewnianej stodole

FOT. THE NATIONAL SHRINE OF OUR LADY OF CZESTOCHOWA

Karol Wojtyła trzykrotnie nawiedził sanktuarium (raz jako papież). Na zdjęciu o. Michał Zembrzuski w białym habicie

FOT. THE NATIONAL SHRINE OF OUR LADY OF CZESTOCHOWA

się ceremonia wmurowania kamienia węgielnego, a w roku 1966 – na tysiąclecie chrztu Polski – w obecności tysięcy pielgrzymów i 36. prezydenta Stanów Zjednoczonych, Lyndona Bainesa Johnsona, abp John Król uroczyście konsekruje nową świątynię na cześć Matki Boskiej Częstochowskiej. Głównym celebransem miał być prymas Polski, jednak Stefan Wyszyński nie otrzymał zgody władz PRL na wyjazd, jego (nie)obecność symbolizuje więc puste krzesło, na którym umieszczono biało-czerwone kwiaty i cierniową koronę – na znak cierpienia Polaków i Kościoła w PRL.

Sanktuarium staje się z jednej strony ważnym miejscem kultu, z drugiej – istotnym ośrodkiem polonijnym i patriotycznym. Witraże świątyni przedstawiają ważne momenty z historii Polski, w kościele znajduje się urna z ziemią z cmentarza Orląt Lwowskich oraz urna z sercem Ignacego Paderewskiego. Od 1967 r. organizowany jest tu amerykańsko-polski festiwal, największy polonijny festiwal w regionie przyciągający każdego roku ponad 25 tys. osób. W 1984 r. uczestniczył w nim prezydent USA Ronald Reagan.

Sanktuarium trzykrotnie nawiedził Karol Wojtyła – dwa razy jako arcybiskup krakowski i raz już po wyborze na Stolicę Piotrową. Pobłogosławił wówczas i podpisał kopię ikony Matki Bożej Częstochowskiej. (Obecnie znajduje się ona w kaplicy Jej poświęconej, tzw. dolnym kościele). Od 2009 r. sanktuarium Matki Bożej Częstochowskiej w Doylestown nosi tytuł „Narodowego Sanktuarium Stanów Zjednoczonych".

W historii sanktuarium bywały i trudne momenty. Sen z powiek o. Zembrzuskiemu przez długi czas spędzały kłopoty finansowe. Udało się je rozwiązać, a po wyjściu z tych tarapatów zorganizowano w sanktuarium ceremonię… symbolicznego „palenia długów".

NA WIECZNOŚĆ

Przy sanktuarium wyrosła duża nekropolia. Liczy ona ponad 6 tys. grobów i jest największym cmentarzem polonijnym na świecie. Na 10 m w górę pnie się tam odlana z brązu i osadzona na granitowym cokole postać klęczącego husarza. To pomnik Mściciela autorstwa Andrzeja Pityńskiego poświęcony ofiarom zbrodni katyńskiej. W jego cieniu spoczywa ok. 2 tys. polskich żołnierzy.

Na nekropolii tej złożono również doczesne szczątki założyciela sanktuarium. Ojciec Michał Zembrzuski zmarł 16 stycznia 2003 r., w święto patronalne zakonu paulinów – w dniu Matki Bożej Królowej Pustelników. Przeżył 94 lata, z czego 68 w kapłaństwie. W chwili odejścia był najstarszym paulinem na świecie. Pożegnano go z honorami, tłumy wiernych oddały mu cześć przed odbyciem ostatniej ziemskiej wędrówki. W drodze na miejsce spoczynku kondukt zatrzymał się przy pierwszej, drewnianej kaplicy, do której wprowadzono na niedługi czas trumnę z ciałem o. Zembrzuskiego. Na pożegnanie z jego ukochanym miejscem modlitwy, w którym bywał „sam na sam" z Maryją.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 04f299c0b7

MERCEDES GLC 200 4MATIC

GLC to najpopularniejszy model niemieckiego producenta zarówno w Europie, jak i w Polsce. Nie bez powodu. Model prezentuje się elegancko, ale jego główną zaletą jest wszechstronność. W razie potrzeby śmiało można nim zjechać z równej jak stół autostrady. Auto pozwala dojechać nieutwardzonymi drogami nie tylko do willi pod miastem. GLC 200 potrafi również zaskoczyć off-roadowymi możliwościami. Miłośnicy jazdy w terenie mogą nawet przełączyć cyfrowy centralny wyświetlacz (znajdujący się za trójramienną sportową kierownicą w miejscu tradycyjnych wskaźników) na tryb off-roadowy, w którym do dyspozycji kierowcy pojawiają się nie tylko kompas, lecz także wszelkie najważniejsze informacje (od stopnia przechyłu auta, poprzez ciśnienie powietrza w oponach, do szczegółów działania napędu na cztery koła oraz wysokości n.p.m.). Fajne. Oczywiście można też przełączyć wyświetlacz w tryb klasyczny, sportowy lub np. zamienić cały ekran w dużą kolorową mapę.

Osiągi nie rzucają na kolana. Od 0 do 100 km/h wyposażona w dwulitrowy silnik o mocy 204 KM miękka hybryda (wspierana przez 23 „konie elektryczne") przyspiesza w 7,8 s. Nie jest źle, ale nie jest to auto dla rajdowców amatorów. Testowany model został raczej stworzony z myślą o tych, którzy zamiast pędzić na złamanie karku, wolą komfortowo „żeglować" do celu. Dalekim podróżom sprzyjają pneumatyczne zawieszenie, przestronna, ergonomicznie zaprojektowana oraz świetnie wyciszona kabina, a także duży, ustawny bagażnik o pojemności aż 600 l. Centralny element kabiny stanowi ekran systemu multimedialnego, który można obsługiwać za pomocą dotyku, gestów oraz słów (wystarczy zacząć zdanie od „Hej, Mercedes"). Na dużym ekranie systemu multimedialnego pojawiają się również elementy rozszerzonej rzeczywistości: auto wykrywa np., gdy stoimy na światłach, i wyświetla widok z kamery, dzięki czemu nie trzeba wychylać się znad kierownicy, aby zobaczyć, czy jest już zielone. Systemy wspomagania ostrzegają przed pieszymi. Auto może również odciążyć kierowcę podczas monotonnej podróży nad morze/góry, automatycznie utrzymując zadaną odległość od pojazdów poprzedzających. Do dyspozycji kierowcy jest też kolorowy wyświetlacz HUD.

„Żeglowaniu" sprzyja również automatyczna skrzynia biegów 9G-Tronic, która działa płynnie, ale nie jest stworzona do nagłego wciskania gazu do dechy. Zużycie paliwa w cyklu mieszanym podczas redakcyjnego testu wyniosło 7,8 l/100 km.

W podstawowej wersji Mercedes GLC 200 4MATIC z automatyczną skrzynią biegów oraz silnikiem o mocy 204 KM + 23 KM został wyceniony na 249 tys. zł. Egzemplarz testowy wyposażony dodatkowo m.in. w system audio Burmester czy panoramiczny dach to już wydatek rzędu 303,5 tys. zł. ©℗

DRUKARKA FOTOGRAFICZNA EPSON L8050

Maksymalna rozdzielczość mono i w kolorze 5760 x 1440 dpi, kompaktowy rozmiar, wysoka szybkość druku, niski koszt użytkowania w przeliczeniu na jedną stronę oraz łatwość obsługi – to największe najnowszej drukarki fotograficznej japońskiego producenta.

Stosunkowo niewielkie urządzenie, które bez trudu zmieści się na półce, zostało wyposażone w sześć pojemników na atrament. Według producenta taki zestaw powinien pozwolić na wydrukowanie do 2,1 tys. kolorowych zdjęć wysokiej jakości o wymiarach 10 x 15 cm. Poszczególne kolory można uzupełniać niezależnie od siebie. A brak konieczności podgrzewania głowicy pozwala fotografom, którzy często drukują swoje zdjęcia, na oszczędności na prądzie.

Testowany model jest prosty w obsłudze i daje możliwość bezprzewodowego wysyłania zdjęć/dokumentów ze smartfona, tabletu lub laptopa. Drukować można na papierze zwykłym i fotograficznym (maksymalny format to A4), a także na kopertach, plastikowych kartach identyfikacyjnych czy płytach CD i DVD. Na pochwałę zasługuje szybkość druku (wydrukowanie standardowego zdjęcia 10 x 15 cm zajmuje zaledwie ok. 25 sekund, a zdjęcia w formacie A4 ok. minuty, choć np. przy użyciu Wi-Fi Direct prędkość ta wyraźnie spada). Jakość wydrukowanych zdjęć jest wysoka i dostrzegalnie lepsza od modeli, w których zastosowano tylko cztery pojemniki na tusz. Szybkość i jakość druku wielostronicowych dokumentów typu PDF jest w porządku.

Wady? W modelu L8050 przydałby się choćby malutki ekran do rozwiązywania podstawowych problemów z drukarką. Nie jest on niezbędny, to prawda, ale nawet do zwykłej konserwacji, zmiany z Wi-Fi na Wi-Fi Direct czy przeczyszczenia głowicy etc. mógłby być przydatny. Bardzo mocno brakuje mi za to funkcji dupleksu (automatycznego druku dwustronnego), która umożliwia znaczną oszczędność czasu spędzonego przy urządzeniu przy drukowaniu dokumentów. Trzeci minus (choć na szczęście znany każdemu jeszcze przed zakupem): testowane urządzenie jest tylko drukarką. Przed zakupem warto się więc zastanowić, czy w domu/małym biurze bardziej potrzebne jest urządzenie przeznaczone wyłącznie do druku zdjęć wysokiej jakości czy popularny kombajn łączący funkcję drukarki, kserokopiarki i skanera. Cena: 2009 zł. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (X2)

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 04f299c0b7

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Bunt pod Mikulińcami

Mikulińce pod Tarnopolem znane są dziś przede wszystkim z pozostałości renesansowego zamku wzniesionego przez Annę Jordanową z Sieniawskich ok. 1550 r. Później warownia należała do Zborowskich, gdyż córka właścicielki i jej męża, Wawrzyńca Spytka Jordana, wyszła za mąż za Samuela Zborowskiego, znanego awanturnika i buntownika, wnosząc Mikulińce w wianie. Kolejni właściciele to Koniecpolscy, Sieniawscy i Lubomirscy. W 1675 r. zamek poddał się Turkom, którzy nie dotrzymali układu i wymordowali całą załogę. Późniejszym komendantem odzyskanej fortecy był Jan Samuel Chrzanowski, bohaterski obrońca Trembowli. W XVIII w. zamek przeszedł w posiadanie Ludwiki Potockiej, która zbudowała istniejący tutaj pałac i w roku 1779 przepiękny kościół Trójcy Świętej, fundując rok później przy świątyni zakon księży wincentynów misjonarzy. Niestety, zlikwidowany wkrótce przez Austriaków. Sam zamek podupadał – pod koniec stulecia przebudowano go na fabrykę sukna, a pod koniec XIX w. Mniszchowie uczynili z niego stajnię. Dziś pozostały z niego tylko malownicze ruiny.

Z Mikulińcami wiąże się ciekawa historia, o której nie przeczytamy w żadnym przewodniku. Otóż w sierpniu 1664 r. wybuchł tutaj otwarty bunt w oddziałach koronnych ciągnących na Moskwę i dowodzonych przez Stefana Czarnieckiego, wówczas jeszcze wojewodę kijowskiego. Co ciekawe, ogarnął on oddziały cudzoziemskiego autoramentu – piechotę i dragonię, zaczął się zaś w regimencie

FOT. DOMENA PUBLICZNA

RYS. MART

należącym do wojewody. Zwykle konfederacje wojskowe wszczynali żołnierze narodowego autoramentu, czyli jazdy – husarii i chorągwi kozackich (później pancernych). Rozruchy wśród plebejskiej piechoty należały do rzadkości.

Przyczyna buntu była prosta – jak zwykle Rzeczpospolita zalegała z żołdem. Wprawdzie wojsko otrzymało w zastaw klejnoty koronne, ale we Lwowie odebrano je im, nie wypłacając żołdu. Nie można też wykluczyć inspiracji Jerzego Sebastiana Lubomirskiego, przyszłego rokoszanina pozostającego w konflikcie z królem Janem Kazimierzem.

Zamieszki szybko ogarnęły prawie wszystkie regimenty cudzoziemskiego autoramentu; przerażony Czarniecki nakazał pozostałym, wiernym mu oddziałom strzelać do buntowników. Jak pisze Adam Kersten – było już jednak za późno, żołnierze zdobyli działa i obrócili je na bohatera z czasów „Potopu". Wojewoda musiał uciekać spod Mikuliniec; strzelano za nim i wyzywano. Czarniecki pozostawił tutaj swoje tabory, które padły łupem żołnierzy; jednak dzięki temu buntownicy, zajęci łupieniem wozów, nie zdołali powrócić do Lwowa.

Fala niesubordynacji oddziałów autoramentu cudzoziemskiego przetoczyła się wówczas przez całą armię koronną. Aby je spacyfikować, Czarniecki i król wykorzystali istniejący w armii antagonizm pomiędzy szlacheckimi oddziałami narodowego autoramentu a piechotą. Do zdławienia rozruchów użyli zatem jazdy, tradycyjnie pogardzającej plebejską i cudzoziemsko odzianą piechotą, a panowie towarzysze krwawo przywrócili porządek w szeregach wojska. Niespodziewany bunt spowodował jednak opóźnienie kampanii, która prowadzona wspólnie z Tatarami i Kozakami miała doprowadzić do odzyskania przez Rzeczpospolitą Zadnieprza i zmuszenia Moskwy do oddania zawojowanych terenów Ukrainy i Wielkiego Księstwa Moskiewskiego. Tymczasem wyprawa utknęła pod Głuchowem i niedługo została zakończona ze znacznymi stratami. Była to ostatnia w historii Korony i Litwy próba marszu na Moskwę i rzucenia na kolana odwiecznego przeciwnika, który już za pół wieku zaczął sam brutalnie wtrącać się w wewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej. ©℗

eprasa.pl 04f299c0b7

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Malinowy najlepszy

Lipiec pod względem kulinarnym jest najwspanialszym miesiącem w roku w Polsce. Na bazarkach, targach i w sklepach znajdziemy wszystko, co tak smakuje tylko latem! Bób, fasolka szparagowa, soczyste pomidory, pyszna, słodkawa młoda cebula, przepyszne maliny i oczywiście czereśnie. Nasza babcia, która jadała tylko sezonowo, zawsze powtarzała, że najsmaczniejsze pomidory są w lipcu. Pamiętam kanapki z chleba pieczonego w domu z masłem, które babcia robiła własnoręcznie w maselnicy ze świeżymi pomidorami i młodą cebulką, lekko posolone. Tak samo, jak pomidorową z młodych pomidorów, które nasz tato dokładnie przecierał przez sito, a następnie łączył z rosołem i podawał nam z lanymi kluseczkami i ze śmietaną.

Pomidor to owoc, bo zawiera nasiona i powstaje z kwiatów, ale pod względem kulinarnym jest warzywem i wykorzystujemy go do dań wytrawnych. Jest niskokaloryczny, zawiera sporo potasu, beta-karotenu, witaminy C i E oraz tak cenny dla człowieka likopen. W Europie pomidory pojawiły się w XVI w. i nazwano je „złotymi jabłkami", czyli pomi d'oro. Nazwa ta przyjęła się i obowiązuje do dziś we Włoszech, a w Polsce używamy jej spolszczonej wersji. Nie można wyobrazić sobie kuchni włoskiej czy hiszpańskiej bez pomidorów. Ale – jak się okazuje – nie tylko kuchni. W Hiszpanii, dokładnie w Walencji, organizowane jest święto La Tomatina, podczas którego uczestnicy bezkarnie i z radością obrzucają się pomidorami.

FOT. ADOBE STOCK

Bez pomidorów trudno wyobrazić sobie także polski stół. Niewiarygodne jest to, że odmian pomidorów jest aż 350, ale nam najbardziej smakują odmiany malinowa oraz bawole serce, również te małe odmiany pomidorków koktajlowych zjadamy jako przekąskę pomiędzy posiłkami.

Pomidory przetworzone korzystnie wpływają na serce. Tak więc koncentraty pomidorowe, ketchupy i pasty nie dość, że ułatwiają szybkie przygotowanie smacznych dań, to dodatkowo wpływają znakomicie na nasze zdrowie. Zachęcamy zatem do tego, aby przygotować trochę zapasów na zimę z polskich pomidorów, możemy zrobić weki lub zamrozić.

Ciasteczka z ciasta francuskiego z pomidorami i kozim serem

• 1 opakowanie ciasta francuskiego (gotowe, dostępne w sklepie) • 1 opakowanie serka koziego miękkiego (rolada kozia) • 5 łyżek ketchupu • 3 sztuki dojrzałych pomidorów • świeże zioła (bazylia, rozmaryn, oregano) • sos balsamiczny do pokropienia ciasteczek

Piekarnik nagrzewamy do 210 st. C. Ciasto francuskie kroimy na kwadraty 4 na 4 cm. Każdy kawałek ciasta smarujemy ketchupem.

Pomidory kroimy w plastry, układamy na kawałkach ciasta, na pomidory nakładamy po kawałku sera koziego, na wierzchu układamy świeże zioła i wkładamy do nagrzanego piekarnika. Pieczemy 15 min. Po ostygnięciu skrapiamy sosem balsamicznym. Jest to doskonała propozycja jako przekąska lub dodatek do letnich sałat. Najlepiej smakują jeszcze ciepłe, prosto z pieca. ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Luksus ciszy

Stany Zjednoczone obchodzą Święto Narodowe 4 lipca, ale z nieznanych mi powodów w tym roku w ambasadzie w Warszawie obchodzono je pod koniec czerwca. Z tej okazji, jak co roku, Ambasada USA wydała przyjęcie. Byłam akurat u znajomych, którzy mieszkają niedaleko, i nie mogliśmy się nadziwić, że zdawałoby się elegancka i poważna uroczystość zatruje całą okolicę dźwiękami jakością i poziomem decybeli przypominającymi wiejską dyskotekę. Ciekawa jestem, jak goście imprezy rozmawiali, skoro w uliczkach odległych o 500 metrów głośno było tak, jakby grali obok.

O problemie ciszy w przestrzeni publicznej pisałam wiele razy. O muzyce w naszych knajpach, co jest, zdaje się, już sprawą systemową, nie do wykorzenienia… na plażach, w sklepach, w urzędach. Świadomość problemu narasta, a ludzie są tym ostatnio coraz bardziej zmęczeni. I świat zaczyna się przed tym bronić: właśnie Krajowy Urząd Morski w Portugalii zabronił puszczania muzyki na plażach. Mandat za złamanie zakazu wynosi 36 tys. euro.

„New York Times", który będąc poważną gazetą, zajmuje się również drobnymi sprawami obywateli, napisał ostatnio o udręce mieszkańców spokojnych przedmieść Virginii, gdzie ulokowano korty do gry w pickleball. „Zszarpane nerwy, tortura, bezsenne noce" – skarżą się sąsiedzi na dźwięk plastikowej piłeczki odbijanej od drewnianej rakietki i od podłoża kortu. Gdy dźwięk zmierzono, okazało się, że wynosi 70 decybeli.

Gdy na Stadionie Narodowym odbywa się koncert (ostatnio Beyoncé), Saska Kępa nie śpi. Mieszkańcy już nie łudzą się, że kiedykolwiek to się zmieni. Organizatorzy już nawet nie przepraszają – wiadomo, głośno musi być. Jest muzyka, jest zabawa. Komu przeszkadza, niech użyje zatyczek do uszu.

Cisza stała się dobrem luksusowym, jak nietknięty krajobraz, czyste jeziora, las bez śmieci. Żeby ją mieć, trzeba by otoczyć się hektarami oddzielającymi od dyskotek, aut, głośników, motocrossów, quadów. Oczywiście marzenie o ciszy absolutnej jest utopią. Zresztą po co aż absolutna? Nie mam takich wymagań. Człowiek zawsze żył wśród dźwięków natury i one mu nie przeszkadzały. Umieszczony w kabinie bezdźwiękowej po trzech kwadransach zaczyna wariować. Słyszy bicie serca, perystaltykę... Dźwięki własnego organizmu stają się nie do zniesienia... Kto walczył w nocnej ciszy z kranem, z którego kapały krople, wie, jaka to tortura.

Jednak coś się dzieje w tej sprawie: ostatnio udało mi się spędzić dwie, prawie trzy sympatyczne godziny w intercity do Krakowa, w wagonie tzw. cichym, wypełnionym zresztą do ostatniego miejsca. Nie jestem sama. ©℗

eprasa.pl 04f299c0b7

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Palę Paryż

Wszyscy wokoło o tych zamieszkach we Francji. Różne analizy, na temat różnych aspektów, ale brakowało mi jednego. Szukałem, szukałem i samo do mnie przyszło. Ponieważ dziś wszystko kojarzy się z kontekstem klimatycznym, jak do niedawna z covidowym, to nie mogło zabraknąć i kontekstów klimatycznych zamieszek imigracyjnych.

Pan prezydent Macron zaapelował do protestujących, by nie palili samochodów i budynków, gdyż… pożary szkodliwie oddziałują na środowisko. Nie wiadomo na razie, czy ten apel poruszył grasujące tłumy, ale sądząc po narastaniu aktów wandalizmu i agresji, chyba argument klimatyczny nie zadziałał. Zresztą to ciekawe, jaki jest stosunek migrantów do walki z klimatem. Nie jest to błahy problem, gdyż ta część nowych Francuzów rośnie w liczbę i siłę, za chwilę uzewnętrzni się, co nieuniknione, na legalnym poziomie politycznym i zobaczymy, czy zieloni ze sztandarów podzielą troski białych Europejczyków, grających w zielone.

Podejście Macrona jest ciekawe, gdyż pokazuje wielowątkowe priorytety głowy państwa. Po pierwsze, klimat, po drugie – uspokajanie nachodźców, dopiero na końcu – Francuzi. No, bo to przecież czyjeś samochody, czyjeś domy, ale to się nie liczy. I (sic!) pal licho ich własność. Liczy się klimat, nie to, że komuś spłonęły samochód czy dom. Ciekawe zresztą, co się dzieje z ratami za spłonięty samochód? Jak traktuje to ubezpieczalnia? Czy jest to force majeure, czyli siła wyższa? Czy efekty zamieszek traktowane są jak rezultaty wojny, a więc czy powodują utratę odszkodowania? Czy klauzule ubezpieczeniowe zawierają takie przypadki, traktując Francję jako teren potencjalnych działań wojennych?

No właśnie – co na to Francuzi? Francuzi, którzy przecież niedawno wybrali swego prezydenta. Francuzi, którzy niedawno szumieli na ulicach w sprawie reformy emerytalnej. Pod osłoną zamieszek stare sprawy idą po swojemu, system emerytalny się odmyka, wchodzą nowe zamordystyczne ustawy. Kraj się rządzi dekretami, większość parlamentarna rządzącym jest do tego niepotrzebna. Macron, jak będzie chciał, to pod pretekstem wygaszania zamieszek może wprowadzić dowolny poziom zamordyzmu. Ma na to papiery, które – oby to była prawda – podrzucił mu los. Został tylko suweren, kompletnie pomotany, w kraju, w którym wybrano na prezydenta ukrytego autokratę, aby nie rządziła ta przeklęta faszystka. Ciekawe, czy Francuzi tego żałują i czy w ogóle wiedzą, co się tak naprawdę u nich dzieje?

A dzieje się na razie to, że ich płonące samochody i domy szkodzą klimatowi. I tylko z tego powodu głowa państwa uważa ten rokosz za szkodliwy. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Heretyk czy sojusznik?

Awantura wywołana przez transseksualistę podczas Mszy św. w kościele pw. bł. Radzyma w Gnieźnie, o której pisałem w ubiegłym tygodniu, została jednak odnotowana przez kurię metropolitalną. Pisząc poprzedni tekst, nie znałem jeszcze odpowiedzi na zadane rzecznikowi kurii pytania. Dziś wiem, że wobec osoby, która zakłóciła liturgię – czyli sprofanowała najświętsze obrzędy – władze diecezji nie zamierzają wyciągać żadnych konsekwencji.

Istotnie kuria stoi przed trudnym zadaniem. Mężczyzna, a może powinienem napisać – transseksualna kobieta – zamieścił(a) swoją wersję zdarzenia w mediach społecznościowych na profilu „Klaudiusz Święcicki", a wpis i kolejne posty dotyczące Kościoła pełne są heretyckich teorii, reformatorskich pouczeń, odniesień do niemieckiej „drogi synodalnej", a przede wszystkim emocjonalnego wzmożenia. Skoro według „Wyborczej" sprawca, Kladiusz (Klaudia) Święcicki(a), jest „naukowczynią" reprezentującą środowisko akademickie UAM, to biorąc pod uwagę takie zachowania i publikacje, powinniśmy tę osobę traktować raczej ze specjalną troską.

Nic więc dziwnego, że choć sprawa zakłócenia nabożeństwa wypełnia znamiona czynu zabronionego, to od takiej osoby kuria nie chce się domagać odpowiedzialności karnej.

Inną przyczyną zamiatania sprawy pod dywan przez władze archidiecezji może być świadomość, że zgłoszenie do prokuratury tęczowego aktywisty to prezent dla lewicy i całego środowiska LGBTQ+. Prześladowana przez kler transseksualna kobieta staje się natychmiast gwiazdą mediów, a listy otwarte w jej obronie ogłaszają o. Paweł Gurzyński, Kongres Katoliczek i Katolików, „zwykli księża", „Więź", Andrzej Seweryn i Janina Ochojska.

Jest jeszcze trzecia możliwość braku reakcji władz kościelnych. Performance miał na celu zwrócenie uwagi na postulaty artykułowane wobec Kościoła przez tęczowych aktywistów. Ich zdaniem Kościół w Polsce musi zmienić nauczanie dotyczące czynów i związków homoseksualnych. Na przykład w Belgii biskupi (rzekomo w porozumieniu z papieżem) metodą aktów dokonanych już wprowadzają jakieś obrzędy dla homozwiązków, a nowy prefekt Dykasterii Nauki Wiary, abp Victor Manuel Fernández, zapowiada, że Dykasteria zgodzi się na błogosławienie związków jednopłciowych. Nic dziwnego, że ów transaktywista, sprawca profanacji, z reformatorskimi oczekiwaniami i poczuciem odpowiedzialności za Kościół, zamiast procesowym przeciwnikiem, może stać się niebawem sojusznikiem kurii gnieźnieńskiej. Liderem laikatu przy wprowadzaniu nowych tęczowych praktyk w diecezji. ©℗

eprasa.pl 04f299c0b7

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Tylko nie wnuki!

Jedna ze strategii politycznych, także wyborczych, nosi nazwę: „Dajcie mu mówić". Stop. Wydaje się, że PiS-owcy realizują właśnie tę strategię. Stop. Donald Tusk zaczął mówić o imigrantach i nastąpiło wielkie zamieszanie, siostra powstała naprzeciwko brata, a brat na siedząco krytykował Tuska. Stop. No może nie brat rodzony, ale jednak dostało się szefowi Platformy za tych imigrantów od swoich. Stop. Janina Ochojska, Anna Żukowska, Adrian Zandberg i niezliczone grono polityków opozycji interpretowali słowa Tuska jako ksenofobiczne, antyislamskie i że w ogóle o co mu chodzi. Stop. I w końcu ta trochę zjednoczona paktem senackim opozycja nie wiedziała, jaki ma teraz program np. na imigracje. Stop. Złośliwi z nutą wredoty w charakterach zaczęli nawet mówić, że program Donalda jest klarowny i wskazują go aktualne sondaże, dodawali nawet, że przed samymi wyborami szef PO może mocnymi słowami zażądać od Niemców reparacji, ale to już chyba przesada. Stop. W każdym razie to, co opozycja zyskała tłumnym marszem, chyba utraciła jednoosobowym przemówieniem. Stop. Będę w sytuację zaglądać i relacjonować dla państwa na bieżąco. Stop.

Francja płonęła przez kilka dni po zastrzeleniu przez policję 17-letniego Nahela. Stop. Nahel był Francuzem, ale – delikatnie mówiąc – nie od wielu pokoleń. Stop. Mieszkał na przedmieściach Paryża, był znany policji i nie zatrzymał się do kontroli drogowej. Stop. Tata Nahela nie widział za życia Nahela, gdyż jakiś czas siedział w więzieniu. Stop. Mama Nahela po śmierci syna wzięła udział w protestach i – co wzbudziło pewne niedowierzenie – na wielu zdjęciach była niezwykle radosna i uśmiechnięta. Stop. Musimy się jeszcze sporo nauczyć o innych kulturach i cywilizacjach. Stop. Pewien francuski minister powiedział, że powodem zamieszek nie są imigranci, tylko młodzi bandyci. Stop. Uważam za mało prawdopodobne, żeby wierzył we własne słowa. Stop.

Janina Ochojska wystąpiła w cyklu „Szaleni ludzie na stanowiskach". Stop. Nasza charytatywna (ale nie, że nie bierze pieniędzy) europosłanka w czasie wywiadu powiedziała słowa historyczne: „Nie musimy bronić naszych granic, bo nikt ich nie atakuje". Stop. Jeszcze trochę i Janka zacznie w komercyjne stand-upy. Stop.

Nowoczesny dziennikarz TVN Piotr Jacoń znany z tego, że ma dziecko, przeprowadzał wywiad z byłym prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim. Stop. Kwaśniewski powiedział, że chciałby mieć wnuki, a Jacoń z naganą, a może i lekkim szyderstwem: „O rany, ale pan powiedział teraz". Stop. Wnuki to według postępu dulszczyzna, ciemnogród, a może nawet i PiS. Stop. Zapamiętali? No! ©℗

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Rosja jak zwierzę?

Zaskakującą opinię wypowiedział ostatnio prezydent Andrzej Duda. „Jak dzikie zwierzę pożre człowieka, to trzeba je po prostu upolować i zastrzelić, bo przyzwyczaja się do jedzenia ludzkiego mięsa. Tak samo jest z Rosją" – oświadczyła, w rozmowie z ukraińskimi dziennikarzami, głowa naszego państwa.

Trudno doprawdy zrozumieć, co pan prezydent miał na myśli. Upolowanie i zastrzelenie wielkiego kraju nie udało się dotychczas nikomu w dziejach. Zamiar wytępienia swoich sąsiadów niczym robactwa, gadów lub dzikich zwierząt, głosiło już w ostatnich stuleciach kilku światowych przywódców, z reguły jednak nie były to osoby wspominane na kartach historii z szacunkiem. Nawet przywołanie ich nazwisk nie byłoby w tym kontekście uprzejme wobec polskiego męża stanu. Co gorsza, próba „zastrzelenia" państwa liczącego sobie 140 mln obywateli i dysponującego kilkoma tysiącami głowic nuklearnych mogłoby zakończyć się jak najgorzej dla myśliwego. Zwłaszcza gdy ten, zamiast w skupieniu i ciszy szykować się do oddania celnego strzału, uprzedza ludojada o swoich zamiarach gromkim pokrzykiwaniem. Myśliwi nie robią wokół siebie tyle niepotrzebnego hałasu. Jest to raczej zadanie przynęty albo nagonki. Nie jest to chyba rola, którą na polowaniu odgrywać powinien polski prezydent.

Jeden z najwybitniejszych amerykańskich historyków, a przy tym znakomity znawca Rosji, prof. Stephen Kotkin, podzielił się ostatnio ze słuchaczami ciekawą refleksją. Dotyczy ona czegoś, co prof. Kotkin nazwał najskuteczniejszą bronią Władimira Putina. Jest nią przekonanie samych Rosjan, że los ich ojczyzny oraz los Władimira Putina mogą być ze sobą połączone. Jeśli upadnie Putin, to także całemu krajowi, Rosji, grozi ostateczna katastrofa. Utożsamienie losu Putina z losem Rosji jest taką właśnie „cudowną" bronią rosyjskiego dyktatora. Sprawia ona, że uczciwi i rozumni Rosjanie (trudno chyba wykluczyć, że zdarzają się w przyrodzie także tacy) obawiać się będą wystąpienia przeciw swojemu przywódcy, nawet gdy otaczająca go aura władzy zacznie stopniowo zanikać. Uczestniczyć w „upolowaniu i zabiciu" własnej ojczyzny może, zdaniem nie tylko Rosjan, tylko łajdak.

Nic dziwnego, że słowa Andrzeja Dudy podchwyciła rosyjska propaganda, a w wojowniczy sposób odniósł się do nich Dmitrij Miedwiediew. Są one wymarzonym paliwem dla podsycania lojalności plemiennej Rosjan i radykalizowania postawy tych, którzy dotychczas wojny na Ukrainie nie popierali. Machina propagandowa Putina potrzebuje skutecznego paliwa. Dlaczego dostarcza go jej polski prezydent? ©℗

eprasa.pl 04f299c0b7

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Pławowice i Stawisko

Przepiękny klasycystyczny pałac z końca XVIII w. w Pławowicach pod Krakowem, własność hrabiego Ludwika Morstina, pisarza i dramaturga, był zawsze jednym z ważnych ośrodków życia kulturalnego. W dwudziestoleciu międzywojennym zasłynął z organizowanych tu przez gościnnego gospodarza zjazdów ówczesnej literackiej śmietanki, m.in. Słonimskiego, Tuwima, Lechonia, Iwaszkiewicza, Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej, Staffa, Wittlina i innych. I choć tylko Iwaszkiewiczowskie Stawisko uchodziło podczas okupacji za azyl dla pisarzy, to były nim także Pławowice, gdzie ukrywano Żydów – m.in. wybitnego reżysera Arnolda Szyfmana, pisarza Artura Marię Swinarskiego – pomagano leśnym oddziałom AK, po powstaniu warszawskim uciekinierom z Warszawy, m.in. Leopoldowi Staffowi. Wszystko z własnych pieniędzy Morstina, Iwaszkiewicz bowiem, o czym się nie pisze, korzystał z funduszów delegatury rządu polskiego w Londynie, które również pisarzom przydzielał.

Gdy do Pławowic weszli Sowieci, ostrzeżono Morstina, że jako „krwiopijcy" i obszarnikowi grozi mu aresztowanie, więc z jednym tylko tobołkiem uciekł razem z żoną do Zakopanego. Już wtedy pławowicką rezydencję rozszabrowano i splądrowano. Próbując ją ratować; już w 1945 r., jeszcze przed parcelacją, Ludwik Morstin przekazał park, ogród i pałac z empirowymi meblami, obrazami, pełną starodruków biblioteką krakowskiemu oddziałowi Związku Literatów na dom pracy twórczej, którym był do 1948 r. Później bowiem finansujące Związek krakowskie władze odmówiły utrzymywania siedziby „jaśniepanów" – jak wtedy pisano. Przeszła na własność Skarbu Państwa, zmieniając ciągle użytkowników – a to suszarnia tytoniu, a to świetlica ZWM, PGR, mieszkania dla dzikich lokatorów, którzy dewastowali, kradli, co tylko mogli – pałac zamieniał się więc w skandaliczną ruinę i nigdy się już z niej nie podniósł, mimo prób kilku kolejnych właścicieli.

Ludwik Morstin bardzo nad tym bolał, a koledzy literaci bardzo się z pana hrabiego naśmiewali. „Czy zjadłbyś talerz gówna, gdyby zwrócono ci Pławowice?" – pytali. „Zjadłbym i jeszcze poprosił o repetę" – odpowiadał. Żeby jakoś pałac ratować, zaczął – jak pisała o nim krytycznie Maria Dąbrowska – „łasić się do władzy". W 1964 r. podpisał np. sławetny „List 600" przeciw sygnatariuszom „Listu 34", z którymi sympatyzował. Prosił też o pomoc Jarosława Iwaszkiewicza, starego przyjaciela, uczestnika zjazdów w Pławowicach. Nie kiwnął jednak dla nich nawet palcem, podobnie zresztą jak dla zabytkowego, modrzewiowego dworu Jerzego Szaniawskiego w Zegrzynku nad Narwią, popadającego z roku na rok w coraz większą ruinę, a w końcu spalonego w niewyjaśnionych okolicznościach, dla rozebranego przez miejscowe władze dworu Gombrowiczów w Małoszycach, zburzonego przez spółdzielnię Samopomoc Chłopska dworu i młynu rodziny Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i wielu innych. Nigdy się na ten temat nie odezwał, choć kreował się na obrońcę i gospodarza polskiej kultury, był w dobrych stosunkach z każdą władzą, z Bierutem, Gomułką, a zwłaszcza z Gierkiem, z „panem Edwardem" – jak się do niego zwracał. Do śmierci był też posłem na Sejm, mógł próbować choćby walczyć o ustawę ratującą czy oszczędzającą dwory pisarzy.

Samokrytycznie jednak przyznawał, że jego posłowanie ograniczało się do „siadania i wstawania", podjął się go dla wysokiego poselskiego uposażenia. Dla Stawiska. Za uwiarygodnianie systemu i wierną dla niego służbę komuniści nagrodzili go bowiem wyjątkowo, nie odbierając mu Stawiska, dworu i majątku, posagu jego żony. Był im za to niesłychanie wdzięczny i nie zamierzał w niczym się im przeciwstawiać. W domu – a czasem także w Związku Literatów – nosił haftowaną czapeczkę po swoim bogatym teściu Lilpopie, prezentował chętnie swoje włości, lubił grać rolę wielkiego pana, dziedzica, choć był tylko synem ubogiego buchaltera, guwernerem w domach arystokratów, parweniuszem marzącym o bogactwie i zaszczytach zdobytych dzięki małżeństwu z dziedziczką fortuny Lilpopów, którą unieszczęśliwił, wpędził w obłęd swoim aktywnym homoseksualizmem. Nie lubił on więc hrabiów, takich jak Morstin, czy pisarzy pochodzenia ziemiańskiego, szlacheckiego, jak Wańkowicz, bo dobrze wiedzieli, kim naprawdę był. Lubił za to uczestniczyć w ich pogrzebach, żegnać „jednego z nas". Przemawiał też nad trumną Morstina i mimo że nie zrobił nic dla jego Pławowic, ciągle do nich nawiązywał, nazywając go ich dobrym gospodarzem. „Niech mu te wysokie drzewa szumią jak w ukochanych Pławowicach i niech ta ziemia przygarnie go jak umiłowana przez niego ziemia pławowicka" – mówił. „Stary kabotyn" – szeptano. Ale czy słyszał? Przemawiał bowiem dalej... ©℗

eprasa.pl 04f299c0b7

GILOTYNA

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Francja potrafi się nie patyczkować, gdy chce. Ma tradycję Legii Cudzoziemskiej, gdzie szkolenie wojskowych jest jak katorga, galery, obóz pracy lub kolonia karna. Różnica jedynie taka, że do Legii idziesz z wyboru, a w kolonii karnej odsiadujesz wyrok.

Francja słynie też z najbardziej okrutnych więzień świata. O Bastylii państwo słyszeli w szkole, a o więzieniu położonym w Gujanie Francuskiej zrobiono film pt. „Papillon" („Motyl"), w którym grali Steve McQueen i Dustin Hoffman. Film nakręcono na podstawie prawdziwej historii skazańca wysłanego na Diabelską Wyspę, która słynęła z tego, że nikomu nie udało się z niej uciec, a za próbę ucieczki dostawało się dwa lata karceru. I był to KARCER, a nie zwyczajna izolatka. Skazaniec srał pod siebie i żarł karaluchy. Przepraszam za drastyczne określenia, ale innych w tym przypadku nie ma.

Francja słynie też z gilotyny. W innych państwach stosowano szubienice lub plutony egzekucyjne, ale Francuzi, sami dla siebie – biali Francuzi dla białych Francuzów – postanowili stworzyć metodę bardziej wydajną i widowiskową. Głowy w Paryżu obcinano na oczach wiwatujących praczek i piekarzy i łapano je do wiklinowych koszy. Krew płynącą po bruku zlizywały koty.

A kilka miesięcy temu francuska władza pokazała, że potrafi zaprowadzić porządek bez patyczkowania się, gdy wybuchły protesty związane z ustawami emerytalnymi. Wtedy umieli zawlec obywatela za włosy do radiowozu, umieli kopnąć w mordę, umieli stratować konno, umieli spałować, rzucić świecę dymną tak, żeby delikwent trafił do szpitala i walczył o odzyskanie wzroku. Umieli kilka miesięcy temu, a zatem potrafiliby nadal także teraz. Czemu tego nie robią? Bo wtedy mieli stosowne rozkazy, a teraz rozkazów brak.

***

To, co się teraz dzieje we Francji, odbywa się za przyzwoleniem władzy. Macron nie wydał rozkazów pacyfikacji dzielnic i bojówek muzułmańskich. Macron z małżonką pojechał zatańczyć na koncercie Eltona Johna, a w tym czasie we Francji: 12 tys. podpaleń, tysiące rannych i ogromne straty. Spalone domy, zrabowane sklepy. W hotelach odwołane rezerwacje. Republika i jej demokracja zagrożone. Sprzeciw uliczny Francuzów w 150 miejscowościach. Starszy Francuz mówi do kamery: „Powinniśmy muzułmanom odciąć przywileje i zasiłki socjalne. Jeśli nie są tu szczęśliwi, to niech wracają do swoich krajów".

To obywatele Afryki. 6–8 mln całkowicie obcych kulturowo muzułmanów, którzy otwarcie mówią, że nie mają się zamiaru asymilować. Połowa uczniów szkół podstawowych nie mówi po francusku. Migranci rozwalający Francję nie kryją, że chcą obalić Republikę. Imam: „Francja BĘDZIE państwem islamskim! Poprzez dżihad. I Francuzi albo przyjmą islam, albo będziemy z nimi walczyć w imię Allaha".

***

Francuskie społeczeństwo zostało rozbrojone (podobnie jest w Polsce i ogólnie w Unii), jednak islamscy wojownicy z Afryki mają na ulicach mnóstwo broni, łącznie z ciężkimi karabinami maszynowymi (to takie, gdzie naboje idą z taśmy). Policja się poddaje i wycofuje. Obywatele próbują bronić się bez broni i są zabijani. Większość filmów, które znalazłem w sieci, robiona jest komórkami islamistów – filmują zabijanie, podpalanie, rabowanie, bicie bezbronnych i w tle zawsze słychać śmiech lub wiwaty. Oni się cieszą z kolejnego zwycięstwa. To jest wojna.

Na ulicach widać palone auta. Napadają na sklepy, na ludzi, palą całe budynki, komisariaty policji. To nie żadne „zamieszki", gdzie chuligani niszczą jeden radiowóz i wybiją dwie ulice szyb – to jest islamska WOJNA.

Ostrzelano nawet autobus z turystami. Turyści byli z Chin, czyli wróg, ale jednocześnie Chiny to sojusznik, bo Chiny się CIESZĄ z chaosu we Francji.

Na Twitterze sceny z radością i ze śmiechem w tle, gdy afrykańscy bandyci rozwalają i rabują wóz francuskiej straży pożarnej. Wypuścili też z zoo zwierzęta – lwy i zebry chodzą po ulicach i nikt ich nie łapie; policji nie ma, a ja oglądam transmisję na żywo…

Francja płonie. Dwa kościoły dziennie są palone, dewastowane, niszczone z RADOŚCIĄ (słychać wiwaty). Rozbrojeni przez własną władzę Francuzi próbują się bronić kijami bejsbolowymi, a w tym czasie na Twitterze afrykański „uchodźca" pokazuje, co zrobi białym: ostrzy rzeźnicki nóż o francuski chodnik i wykonuje ruchy podrzynania gardeł. Nie kryje twarzy. Kto mu co zrobi? Macron?

Islamiści zajęli najważniejsze zabytki i miejsca turystyczne. Spalili bibliotekę, gdzie były historyczne dzieła ze średniowiecza. Mają granaty wojskowe i używają ich do „wchodzenia" do miejsc, które okradają, np. na pocztę.

Policja do Macrona: „My tu toczymy regularną wojnę! To jest pole bitwy, a nie chuligańska rozróba. A jutro będziemy w ruchu oporu – w mniejszości pokonanej przez islamistów" (Macron w tym czasie nadal tańczy).

***

Jako antropolog oraz Polak zamieszkały w USA powiem państwu tyle: żadna akcja asymilacyjna się nigdzie nie sprawdziła. Nie ma czegoś takiego jak asymilacja do obcej kultury. I wiem to, bo mieszkam w Ameryce, w kraju, który każdemu daje szansę asymilacji, a mimo to nadal mamy dzielnice chińskie, włoskie, polskie, żydowskie i nadal z daleka słychać, gdy przez radio gada czarny, bo gada inaczej niż biały. A murzyńską muzykę z USA rozpozna każdy z daleka i ona jest inna niż blues śpiewany przez białych. Asymilacja nie istnieje – istnieje kultura własna. I nie da się z muzułmanina zrobić Francuza, bo ani Francuz tego nie chce, ani afrykański muzułmanin.

Co powinna zrobić Francja? Deportacje.

Czego nie zrobi Francja? Deportacje. ©℗

eprasa.pl 04f299c0b7

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY"

W PREZENCIE

PAKIET KSIĄŻEK

KS. R. SKRZYPCZAK, P. CHMIELEWSKI: „OGIEŃ W KOŚCIELE", BP J. E. STRICKLAND: „ŚWIATŁO I ZACZYN" ORAZ KARD. W. J. EIJK, A. GALLI: „BÓG ŻYJE W HOLANDII"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~537 ZŁ~~

219,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 318 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 04f299c0b7

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

NA TROPIE WOŁYŃSKICH DOŁÓW ŚMIERCI

Odnaleźć i pochować ofiary banderowców

Zagłada Ostrówek i Woli Ostrowieckiej – szokujące kulisy jednej z największych zbrodni UPA

Ścięcie Samuela Zborowskiego – zemsta Jana Zamoyskiego na znienawidzonym rodzie?

Starcie tytanów na łuku kurskim – po tej klęsce Niemcy już tylko ustępowali Sowietom

Towarzyszka „Ola" z dynamitem – była kierowniczką składu amunicji bojówki PPS, przewoziła broń i kochała się w Józefie Piłsudskim

Epopeja Haralda Srogiego – jego usiana trupami droga do tronu Norwegii liczyła tysiące kilometrów

Rywalizacja o półprzewodniki – przewaga uzyskana na starcie wyścigu nie została przez Amerykanów oddana do tej pory

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 04f299c0b7